

Wojciechowski Juliusz



BEZ

ZNIECZULENIA

Juliusz Wojciechowicz

BEZ ZNIECZULENIA



WSTĘP

Wkraczacie w świat cudownie schorowanych pomysłów, a mi przypadł w udziale zaszczyt przygotowania Was do tej podróży, przedstawienia kierowcy pojazdu pozbawionego hamulców. Nie zapinajcie pasów, tym zajmą się sanitariusze – po lekturze.

Wpierw wyobraźcie sobie jaja dziobaka.

To ważne, chociaż wiem, że nie każdy ma ochotę na takie widoki. Pozwólcie, że Wam pomogę, jako biolog z wykształcenia i przeogromny miłośnik zwierząt, szczególnie tych wizualnie popieprzonych (patrz w Google: blobfish). Zróbmy to odpowiednio: od ogółu do szczegółu, jak na prawdziwych detektywów przystało! Na początek zwizualizujemy sobie australijskiego ssaka po całości: bobrzy ogon, gumowaty kaczy dziób i czarne, tłusciutkie ciało pomiędzy. Łapy na bokach, błona pławna, pazurki, jakiś kolec jadowy wprost z taniego s.f. internetowej produkcji.

Macie to?

– A co z jajcami?! – zawołacie, znużeni dygresyjnością powyższych wywodów.

Zatem donoszę: są okrągławe, niewiele większe od jąder niemowlaka, brązowawe, nakrapiane czerwienią alergicznej wysypki i prawdopodobnie nie pachną wanilią, chociaż powinny być porządnie umyte, ponieważ stekowce sporą część życia spędzają w wodzie. Samice składają je najczęściej po dwa, aczkolwiek ciekawy jestem, jak bardzo pokrętną ścieżką podreptały Wasze myśli.

Czy przez sekundkę nie zahaczyliście o międzygatunkową erotykę? Jeśli tak, to wyśmienicie nadajecie się na mariaż purnonsensu z czarnym humorem, charakteryzujący opowieści Wojciechowicza. Jeżeli wyczuliście podstęp i ani na chwilę nie zбочyliście w zбочzone, to miejcie się na baczności! Ta książka Was zmieni – według mnie na lepsze. Nie obiecuję jednak metamorfozy bezbolesnej, środków znieczulających nie załączono.

Żarty na bok, przynajmniej do końca wstępu. Rozpoczynamy podróż po kilkudziesięciu mikroświatach składających się na obraz Polski odbity w źrenicach autora. Podobnie jak u Christophera Priesta, świat przedstawiony daleki jest od obiektywizmu, nasze umysły łączą się na krótkie chwile z umysłami protagonistów, przez co jeszcze mocniej dostaje się czytelnikowi po głowie. Oj, zaszumi pod czaszką! Opowiadania, niczym pływające kielony wódy, spływają do gardeł, w pierwszej kolejności wywołując szok. Potem przychodzi czas na śmiech, refleksję, wstyd, a nierzadko złość lub po prostu smutek. Pozostawcie więc lepiej nadwrażliwość w realnym świecie. Niech śpi albo zdycha gdzieś w kącie, złośnica jedna. Pośmiejmy się jak na miłośników groteski przystało: z samych siebie – bez barier i zahamowań, szydę, głośno i szczerze. To zawsze wychodzi na dobre.

Bohaterom zaklętym w krzywym zwierciadle rzeczywistości puszczaają nerwy niczym w *Dzikich historiach* – fenomenalnym filmie argentyńskiego reżysera Damiána Szifrona – i jeśli o największych mowa, to Wojciechowicz otarł się nadzwyczaj boleśnie o twórczość Rolanda Topora. Tysiące głębokich zadrapań doprowadziły do zakażenia, do kongenialności, oby nigdy nie leczonej. Językiem lepkiem od porównań autor serwuje nam przekąski tak cholernie ciężkostrawne, że jeszcze długo odbijają się

czkawką przemyśleń; natchnienia spływają z szeregu filmów, książek, codziennych zmagani, czyli mowa tu o postmodernistycznej intertekstualności z najwyższej półki, a tę najbardziej cenię.

Bez znieczulenia, nie oszukujmy się, często zaboli; poczerwienieją oczy, piach zgrzytnie w zębach – szczególnie gdy odnajdziecie się charakterologicznie w którejś z historii. Trochę jak przy rysunkach Marka Raczkowskiego czy stand-upach Abelarda Gیزی. Dlatego postawcie na śmiech – ten oczyszcza – a brud zbiera się nam wszystkim pod paznokciami od tysięcy lat, odkąd w ogóle zaczęły ludzkości rosnać.

Przyznam, że zaskoczyła mnie różnorodność stylistyczna i fabularna serwowanych treści, przez co pochłonąłem całość w jeden długi wieczór, wsiąkając bez reszty w mrok zalegający pod czaszką pisarza, czarująco gęsty. Nie mogło być inaczej, skoro wyobraźnia Wojciechowicza przesiąkła lekturami Carrolla, Kinga, Simmonsa, Gombrowicza czy Orbitowskiego – bez wstydu może zacząć dreptać do ich szeregu, choćby i w różowych papciach. Rzucam znanymi nazwiskami nie bez powodu; nie dla szpanu, a już na pewno nie życzeniowo. Uważam, że u progu literackiej kariery potrzebne są niczym głos Tracy Chapman dźwiękom gitary akustycznej. Lektury niedopasowane do gustu potrafią zrazić do książek, a tego my, pisarze, nie chcemy.

Skacząc na główkę między kartki *Bez znieczulenia*, wprost w głębokie bagna lepkich, brązowoszarych zdań, traficie do niby innej, a tak dobrze znanej rzeczywistości. Tej naszej. Polskiej.

I najważniejsze: pamiętajcie, że gardła wiszą nam wszystkim na tyle nisko, by nie trzeba było do nich skakać.

MAREK ZYCHLA

*Świat jest komedią dla tych, którzy myślą,
i tragedią dla tych, którzy czują.*

Horace Walpole

*Zarówno optymista, jak i pesymista są
przekonani, że świat stoi przed nimi
otworem. Jednak tylko ten drugi
zdaje sobie sprawę którym.*

Andrzej Poniedziałki

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

Dla Oli

Bylem tłusty, łysy i nosiłem niemodne okulary o haniebnie grubych szklach. Oprócz walki z nadwagą, wypadaniem włosów i metryką nieubłaganie zmierzającą ku sześćdziesiątce, toczyłem do niedawna bój z moją eksmałżonką o resztki skromnego majątku. Byłem też, i jestem nadal, poczytnym, ukrywającym się pod pseudonimem autorem kilkunastu bestsellerowych kryminałów. Na przekór losowi i marudzeniu wydawcy udało mi się zachować pełną anonimowość. Nie bywam na spotkaniach autorskich, nie udzielam wywiadów na żywo, żadna fotka mojej prawdziwej facjaty ani – czego się zawsze najbardziej obawiałem – pulchnej, pingwiniej sylwetki nigdy nie wyciekła do gazet, Internetu, telewizji i innych mediów, lubujących się w ukazywaniu swoich ofiar w niekorzystnym świetle. Tylko redaktor Owczarek – zobowiązany prawnie klauzulą milczenia – z wydawnictwa Noir, dawniej Literatka, kojarzył moje, równie obrazoburcze co wygląd, nazwisko z pseudonimem literackim. Dla świata byłem nic nieznaczącym karakanem, Romanem Parową, do czytelników kłaniał się, z mrocznych, ociekających krwią okładek, niepokorny, cyniczny i nadzwyczaj elokwentny Jack Cross.

Na początku nie było różowo – wydawca nalegał na spotkania z czytelnikami, na oficjalne wywiady i udział w prelekcjach na dużych festiwalach literackich. Ja, choć zdawałem sobie sprawę, że świetnie piszę, chciałem uniknąć konfrontacji literackiego alter ego z nieznośną formą biologicznego bytu. Chyba naprawdę zrobiłem duże wrażenie na wydawniczych selekcjonerach, bo już po kilku tygodniach impasu otrzymałem zaliczkę i umowę na kolejne powieści z serii „Krwawy półksiężyc”. Wbrew obawom ludzi ładujących w moją pisaninę tony pieniędzy, anonimowość autorska okazała się marketingowym strzałem w dziesiątkę. Wierni czytelnicy i wielbiciele Jacka Crossa, już po ukazaniu się pierwszej powieści, ufundowali nagrodę dla osoby, której uda się odkryć prawdziwą tożsamość tajemniczego skryby. Nazywano mnie objawieniem nowoczesnego kryminału, uszlachetnioną wersją Raymonda Chandlera, czarodziejem suspensu i cytuję: „niekwestionowanym mistrzem konwencji *hardboiled*”.

Zanim się ktokolwiek połapał, wydawnictwo Literatka zmieniło nazwę na Noir i przeniosło działalność do Emiratów Arabskich, a moja nota biograficzna na skrzydełkach okładek ograniczała się do komiksowej facjaty a’la Humphrey Bogart z nieodłącznym papierosem w ustach, ukrytej w półcieniu gangsterskiego kapelusza i kilku zdawkowych informacji typu: „Wybitny prozaik, autor kryminałów, tłumaczony na «x» języków”.

Byłem więc anonimowym pisarzem, którego konto notowało coraz większe wpływy. Bawiło mnie niezmiernie przesiadywanie w małych, zapomnianych kafejkach przy zakurzonych stolikach, niekiedy w bezdusznie obdartych z prywatności galeriach handlowych, z laptopem na kolanach. Obserwowałem ludzi, notowałem, zdania same spływały na ekran komputera. Nikt nie miał prawa skojarzyć łysiejącego, podstarzałego i samotnego grubaska, jakich wielu w takich miejscach, z wielkim pisarzem Jackiem Crossem. Nigdy nie epatowałem bogactwem, nadal jeździłem kilkunastoletnim, nadzartym przez korozję passatem, nosiłem workowate ciuchy, tani zegarek. Nawet wierny laptop domagał się natychmiastowej

wymiany, strasząc logo nieistniejącej już firmy i posklejanym srebrną taśmą kablem zasilającym. Tylko czasem zastanawiałem się, co mogą sobie pomyśleć o mnie czytelnicy. Jak prezentuję się w ich wyobrażeniach, jaką narodowość mi przypisują?

Tak to właśnie wyglądało i, nie licząc bolesnego w finansowych skutkach rozwodu, było nieźle. Do czasu. Do momentu, kiedy pewnego ranka zadzwonił telefon.

– Czy z panem Romanem Parową mam przyjemność? – Wybrzmiało w zapoconym odsłuchu mojej sfatygowanej nokii. Niemal widziałem ironiczny uśmiech na twarzy rozmówcy, kiedy wymawiał moje nazwisko.

– Tak, w czym mogę pomóc? – wydukałem nieco wytrącony z równowagi. Nie byłem przyzwyczajony do telefonów innych niż: „Jack, przypominam, że zostały trzy tygodnie do dedlajnu. Książka musi wyjść o czasie”.

Nawet Owczarek tytułował mnie „Dzięki”.

– Czy Teresa Parowa, z domu Kędziorek, to pańska żona?

– Eks – odparłem, wietrząc kłopoty. – Alimenty płacę na czas, jeśli o to chodzi – dodałem na wszelki wypadek.

– Otóż w tym rzecz, że pańska żona zaginęła...

Dalszego wywodu sierżanta Malinowskiego słuchałem z przyklejonym bananem do twarzy. Z całych sił próbowałem nie dać po sobie znać, jaka radość mnie rozpiera. Wisienką na torcie okazała się wiadomość, że w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła cała jej żyjąca rodzina, ze schorowaną, dziewięćdziesięcioletnią seniorką rodu na czele. Byłem wolny, w końcu wolny. Fakt, że natura poskąpiła nam potomstwa, teraz okazał się wybawieniem. Nie obchodziło mnie, co, jak, gdzie i kiedy. Koniec z ukrywaniem części dochodów, koniec z przerażającym widmem ujawnienia prawdziwej tożsamości Jacka Crossa. Pijawka poszła po prostu do piachu, piekła, czy – jak kto woli – na łono Abrahama, ewentualnie porwali ją kosmici. Wszystko jedno, ważne, że zniknęła.

Poczułem lekkość. Prawdziwą, fizycznie odczuwalną lekkość. Do tego stopnia, że w przyptywie radości stanąłem na wadze. Kiedy rok temu postanowiłem po raz ostatni wystawić ją na próbę, nieznośne cyferki pokazały sto siedemnaście kilogramów. Od tamtej pory panicznie bałem się nadwyrężyć Bogu ducha winne urządzenie. Skala kończyła się na stu dwudziestu. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, tego pamiętnego ranka licznik zanotował sto pięć kilogramów. Czyżbym bezwiednie aż tyle zrzucił? Natychmiast wciągnąłem podwójną porcję naleśników ze śmietaną i dżemem. Należało mi się.

Kolejno następujące dni i tygodnie muszę zaliczyć do najszcześniejszych w moim życiu. Od czasu wydania pierwszej powieści nie czułem nic równie przyjemnego. Choć obzerałem się do upadłego, kilogramy znikwały w zastraszającym tempie. Zanotowałem również niepokojąco szybko rosnący meszek na wyglancowanej latami i specjalnym smarowidłem z filtrem UV łysinie.

I nie uwierzycie. Nogawki spodni zaczęły się kurczyć. Zawsze leżące na butach, wiecznie skracane i fastrygowane przez lokalnego krawca, teraz sięgały najwyżej do pół łydki.

Nie minął kwartał, a w domowym lustrze, które wcześniej omijałem szerokim łukiem, zamiast straszyć marnym, okularnym metr sześćdziesiąt pięć w tłusto-łysej oprawie, witał mnie przystojny, wysportowany, do tego wyraźnie dużo młodszy mężczyzna. Nie mogłem wyjść z podziwu i samozachwytu. Wstyd się przyznać, ale potrafiłem stać kilkadziesiąt minut przed zwierciadłem i delektować się własną, idealnie mocną szczęką, ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, muskularnym torsem, starannie wyrzeźbionymi ramionami i udami wyczynowego sprintera. Nawet ten zazwyczaj smutno zwisający między nogami makaronik nabrał sprężystej elastyczności, a co najważniejsze, rozmiaru godnego rozplodowego byczka.

Godzinami mógłbym przeczesać gęstą, choć krótko przystrzyżoną czuprynę i wpatrywać się w stalowo-niebieskie oczy, które, nie potrzebując wątpliwej ozdoby grubych szkieł okularów, przenikały mnie na wylot cyniczną, męską pewnością siebie. Ach, i ten wymarzony trzydniowy zarost, na cienkiej granicy między nonszalancką elegancją a hipsterskim pseudozaniebaniem.

Potrzebowałem nowych ciuchów. Zakładanie starych, rozciągniętych, dresopodobnych imitacji garderoby nie wchodziło w grę. Z rozkoszą mierzyłem się i ważyłem. I jeszcze raz, i ponownie dla pewności. Liczby nie kłamały. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, osiemdziesiąt kilogramów beztłuszczowej masy ciała, osiemdziesiąt centymetrów w pasie, sto piętnaście w kłacie.

Takie ciało zasługuje na markowe garnitury.

Wydałem krocie. Na eleganckie jedwabne koszule i marynarki o odcieniu czerni tak głębokim, że wyglądały jakby sam szatan je osobiście utkał, na krwistoczerwone krawaty, błyszczące dostojeństwem buty, paski, srebrny sygnet i tytanowy zegarek. Kilka cyferek zniknęło z konta równie sprawnie i bezboleśnie, jak zadowolony z wysokości napiwku kurier. Byłem gotowy na podbój świata.

Zacząłem od wizyty w eleganckiej restauracji w centrum miasta. Bezwiednie usiadłem w klimatyzowanej sali dla pałących i zamawiając drinka, uświadomiłem sobie, że poprosiłem o szkocką z lodem, której nigdy nie lubiłem. W jeszcze większe zdziwienie wprowadził mnie fakt, że szukam zapalniczki po kieszeniach, a chęć zapalenia cygaretki Cohiba jest nie do odparcia. Przecież nigdy nie miałem w ustach nawet papierosa. Na szczęście lokale tej klasy, gdzie rachunki opiewają na kwoty średniej krajowej, dysponują niezwykle usłużnym i obrotnym personelem. Nie minęło dwadzieścia minut, a ja delektowałem się drugą szkocką, ćmiłem cygaretkę, w palcach obracając gustownie wygrawerowaną zapalniczkę Zippo. Z głośników popłynął *Dziwny jest ten świat* Niemena.

– Mister Cross? Jack Cross? – Wyrwało mnie z zadumy nad nowym pomysłem umeblowania mieszkania, tudzież planów pozbycia się leciwego volkswagena passata na rzecz choćby aston martina.

– Yes, indeed – odpowiedziałem z lordowskim wdziękiem, wydmuchując smugę dymu przed siebie. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że uśmiechnięta i niezwykle stremowana kobieta zwraca się do mnie po angielsku, nieśmiało trzepocze rękami i w zbiegających od ściskania dłoniach trzyma egzemplarz mojej ostatniej powieści *Krwawy półksiężyc – dożynki*, a ja kretyn, Roman Parówa, ot tak zdradzam swoją tożsamość, w języku, którym nie władam nawet w stopniu podstawowym.

– I knew it! – wykrzyknęła z zapalem nastoletniego podlotka.

Zakręciło mi się w głowie. Coś w niej trzeszczało, a mrowienie pod czaszką stawało się nie do zniesienia.

– Przepraszam szanowną panią, ale ja niespecjalnie się dziś czuję – wymamrotałem, jednak mój głos ewidentnie obniżył się do zmysłowego, nieco zachrypniętego barytonu, a z ust płynęła wzorowa angielszczyzna, ubarwiona starolondyńskim akcentem.

– Ach, przepraszam. Ja po prostu nie mogę wyjść z podziwu, że wygląda pan dokładnie tak, jak sobie pana wyobrażałam. Koszula, garnitur, srebrna biżuteria, nawet cygeretki pan pali. I ten zimny, cyniczny wzrok... Czy to szkocka z lodem? – Trochę zaczynał mi przeszkadzać jej marny, zapewne wyuczony na miejscowej uczelni akcent, niemniej postanowiłem wysłuchać radosnego słowotoku do końca. – Założę się, że jest pan rodowitym Anglikiem... Ten styl, te maniery. Proszę wybaczyć porównanie, ale kojarzy mi się pan z Jamesem Bondem, taką idealną mieszańką Seana Connery'ego i Daniela Craiga.

– Ach, tak? – udałem zainteresowanie.

– Tak... Gdyby pan mógł mi książkę podpisać... Tak się cieszę... tak mi głupio... Proszę się nie martwić, nie wydam pana... nikt się nie dowie... Ach, Jack Cross we własnej osobie...

Słuchałem jednym uchem, drugim próbowałem wyłowić niezrozumiałe słowa nieco historycznej piosenki sączącej się z głośników.

Gdzieś za oknem przemykał podstarzały, tragikomicznie śmieszny, łysy grubasek z wysłużonym laptopem pod pachą.

Serdecznie mu współczuję.

KONKURS

Dla Aśki

I dzie. Ostrożnie, z namaszczeniem stawia stopy jedna za drugą, jakby od jej chodu zależały losy świata. Spowity sztuczną mgłą korytarz zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Maria sunie statecznie, prawie nie odrywając złotych sandałów od podłoża. Niebieskie szaty łopoczą niczym żagle na wietrze, biały welon z gracją opada na ramiona. Świetlisty, upstrzony połyskującymi cekinami tren podąża za nią, wije się leniwie, pełźnie, mieni bielą i purpurą, podczas gdy potężne turbiny przemysłowych dmuchaw właczają masy powietrza, mieszając je z białymi tumanami chemicznej mglistej poświaty. Dyskretne języki kolorowych reflektorów muskają idącą postać, rytmiczne dźwięki bębnow zdają się ją unosić nad ziemią. Psychodeliczne miauczenie harfy, urywany szloch kilku sitarów i drżące dziecięco głosiki małych dzwoneczków dołączają do uroczystego orszaku. Szum widowni stopniowo narasta, by przez niecierpliwe brzęczenie rozgniewanego roju przejść w ryk tysięcy potępieńców.

Maria wkracza na scenę. Na środku, niczym krzew Mojżesza, płonie futurystyczny stół z wielkimi neonami w kształcie krzyży. Za potężnym meblem, prawie niknąc na tle pokrytego cyfrowymi płomieniami blatu, siedzi trzech jurorów – sędziów i katów w jednej osobie. Święta i nieomylna Trójca – wyrocznia dyktująca trendy i mody, decydująca o przyszłości swych herosów. *Vox Dei*, za którym posłusznie podąża *vox populi*, by za pomocą elektronicznych impulsów choć po części uczestniczyć w boskim dziele kształtowania świata. Pierwszy z lewej, wiecznie świeży, wiecznie młody, zawsze poetycko elokwentny, blisko pięćdziesięcioletni celebryta ciekawie zerka znad najdroższych we wszechświecie okularów. W myślach powtarza jak mantrę przygotowane dzień wcześniej recenzje. Obrazoburcze i groteskowe „gotowce”, dzięki którym zmiesza z błotem lub wyniesie na ołtarze wybranego uczestnika Wielkiego Konkursu. Na środku, z przyklejonym do twarzy głupawym uśmiechem niedorozwiniętego dziecka, rozpościera się pierwsza dama telewizji śniadaniowej, caryca serialowych tasiemców, królowa plebsu, bogini gospodyń wiejskich. Akurat ona nie ma żadnych przygotowanych wcześniej wypowiedzi. „Było pięknie, emocjonalnie, bosko. Jestem na tak!” – powtarza po każdym występie, by było równo, poprawnie i nikomu nie zaszkodziło. Z prawej, mocno posunięta w latach czarna mamba o niewyparzonemu języku, pluje rynsztokową łaciną tak gęstą, że w mocno konserwatywnej telewizji publicznej jej wypowiedzi sprowadzają się do jednego wielkiego „piii”.

Wierni fani piosenkarki-buntowniczkki śledzą jej oratorium w nieocenzurowanym Internecie, by następnie cytować je jako własne na wszystkich dostępnych portalach społecznościowych.

Maria zaczyna tańczyć. Płasa w rytm dziwnej arabskiej, a może indyjskiej muzyki. Coraz szybciej zatacza kręgi, zaczyna nucić; cicho, potem coraz głośniej. Z jej ust płyną melodyjne słowa, z jednej strony miękkie i czyste, z drugiej zaś chropowate, twarde, wręcz bolesne. Nikt nie ma pojęcia, co to za język przypominający mieszankę chińskiego z aramejskim. Nie ma to żadnego znaczenia. Publiczność jest oczarowana, jurorzy zainteresowani. Kobieta wiruje coraz szybciej, jej szaty zlewają się w jeden wielki

całun, który oplata ją tak ciasno, że wygląda jak olbrzymi kokon. Rytm bębnowi osiąga tak zawrotną prędkość, że przypomina jeden pulsujący łomot. Maria piszczy, jęczy, rzezi. Nagle nieruchomieje; muzyka zwalnia, a ona jednym zgrabnym ruchem wyciąga spod fałd błękitnej szaty krwawy ochłap, wydający zduszone, płaczące dźwięki.

Czy to lalka, czy prawdziwe dziecko?

Publiczności jest w tej chwili wszystko jedno. Tłuszcza szaleje z zachwytu, znudzona wcześniejszym występem Bożydara, który z wysokości trzymetrowego pala wygłaszał monolog własnego autorstwa ku chwale i czci zapomnianego już od dawna zespołu – Sztynny Pal Azji. Co prawda mieli okazję śledzić jego przygotowania; na bieżąco obserwować, jak ostrzy koniec długiego, sosnowego pnia, jak po łokcie zanurza ręce w beczułce z wazeliną, a potem intensywnie wciera ją w krocze, lecz nikogo nie zdziwiły trzy krzyże-neony świecące jednoznacznie na czerwono. Jurorzy nie mogli być na „tak” przy tak mało widowiskowym występie.

Ale teraz to co innego. Chociaż Maria jest dopiero w połowie performance'u, wszyscy czują, że będzie faworytką. Artystka ponownie wpada w trans. Znowu kręci się w szaleńczym tempie, lecz tym razem towarzyszy jej „nowonarodzony”. Niezdarnie macha rączkami i nóżkami, bezradnie szybuje nad głową matki, ograniczony jedynie długością jej ramienia i elastycznej pępownicy. Maria zręcznie uwodzi publikę. Raz po raz „zarzuca lasso” w stronę widowni albo „puszcza jojo” w kierunku jurorów. Wszyscy są oczarowani, wręcz zahipnotyzowani niesamowitymi pomysłami pretendenci do ścisłego finału Wielkiego Konkursu.

Nagle muzyka cichnie, powietrze przecina błysk stali. W rękach performerki lśnią dwie maczety. Z prędkością światła szatkują opadający, ciągle jeszcze wierzgający krwawy ochłap mięsa. Tylko telewidzowie mają okazję zobaczyć tę akcję w zwolnionym tempie i zauważyć, jak zgrabnie artystka wyciąga schowane w podłodze srebrne tace i błyskawicznie rozstawia w ten sposób, by skrawki mięsa opadły wprost na nie, idealnie na środku. Na scenę wbiegają ubrane w kuse, czerwone szorty hostessy i przechwytyją skrzące się tysiącami barw zakrwawione naczynia. Rozchodzą się na trzy strony i częstują oniemiałą z zachwytu publiczność jeszcze ciepłymi, wciąż drgającymi kawałkami mięsa. Głowa noworodka trafia na stół jurorski, gdzie już płoną zielonym światłem krzyże aprobaty.

– Jesteś jak owsik szerzący anarchię w jednolitym głównie mainstreamu, jak pierwiastek kałowy w sterylnej czystej krainie domostosu, jak kleks na białej bieliźnie... jak... Jestem na tak!!!

Celebryta zgrabnie dobiera formułki ze swojego schowka pamięci, najwyraźniej szczerze zachwycony i pozytywnie zaskoczony świeżością i oryginalnym pomysłem młodej uczestniczki.

– Jesteś kur... piii zajebista! Najbardziej wkur... piii mnie to, że kur... piii lepiej odpierd... piii niż ja. Piii, piii, piii, jestem kur... piii na tak.

Czarna mamba aż pluje z zachwytu. Wydłubuje czarnym, długim pazurem modre oczęta ze zmasakrowanej główki, co chwilę turlanej po blacie jurorskiego stołu. Przy aplauzie publiczności dostaje zgodę artystki na zachowanie ich w celu przerobienia na kolczyki – prawdziwe „coolczyki” dla prawdziwej rockmanki.

– Emocjonalne, niebiańskie, wspaniała metafora – duka pulchna aktorka, rozdziawiając mięsiste usta, wypełnione kawałkiem dopiero co odkrojonego policzka. Wygląda teraz jak karykatura glonjada rozplaszczonego na szklanej tafli akwarium, którego jedynym życiowym celem jest ustawiczne parcie na szkło. – Jesteś jak prawdziwa Matka Ludzkości, Matka Natura, Matka Wszechświata, dobra matka, która karmi nas ciałem syna swojego. Alma Mater!

Ogólny zachwyty sięga zenitu. Publiczność w studio od dawna stoi. Niekończąca się owacja i gromki aplauz łączą się z setkami tysięcy wyrazów aprobaty mknących cyfrowymi autostradami pod postacią elektronicznych impulsów, które niezmordowanie przelicza telewizyjny komputer.

Tylko jedna osoba nie podziela wszechobecnej radości. Za kulisami do swojego występu przygotowuje się Błażej. Jak zwykle na szarym końcu, wszędzie ostatni i zawsze gorszy. Już wie, że nie ma szans po tak zjawiskowym występie Marii. Co chwilę przymierza do ramienia ciężką, drewnianą konstrukcję w kształcie litery T. Monstrualne pięciocalowe gwoździe pobrzękują w kieszeni luźnych jeansów. Jego performance nosi tytuł *Dobry łotr* i Błażej wie, że nawet gdyby jakimś cudem udało mu się samemu przybić do krzyża, to nie jest w stanie dorównać występującej przed nim koleżance. Nie ma mowy, by prześcignął ją w kreatywności, a telewizzowie pewnie już wydali ostateczny werdykt.

Jak zawsze postanawia jednak walczyć.

Do końca.

Dosłownie.

CHWYT MARKETINGOWY

Zatroskany Jezus szedł piaszczystym brzegiem jeziora Genezaret. Na Boskim czole odznaczały się zmarszczki utrapienia, po Boskim karku, skrząc refleksami słońca, spływały krople Boskiego potu. Syn Człowieczy martwił się okropnie o swoją wiarygodność w oczach coraz mniej licznych, za to coraz bardziej dociekliwych wyznawców.

Tak, ponoć wiara czyni cuda – pomyślał, a głośno dodał: – Tylko że teraz jest zupełnie na odwrót; to cuda czynią wiarę.

Zawsze, kiedy był mocno zatroskany o los swoich owieczek, miał w zwyczaju spacerować i gadać sam do siebie. Bóg Ojciec w swojej nieskończonej mądrości chyba trochę jednak przesadzał z wymaganiami wobec Syna swego jedyne. Jak tak dalej pójdzie, to zostaną mu jedynie apostołowie, kilku wiernych „pomimo wszystko” maniaków-fanatyków i bezrobotny Duch Święty przysypiający z nudów na ramieniu.

A co z planem przejęcia władzy nad światem? Jak przekonać ludzkość do swojej Boskości z tak skromnym wachlarzem możliwości i cieniutkim arsenałem mocy? Co prawda Ojciec wyposażył go w pakiet cudów, którymi mógł do woli dysponować, lecz były to jednorazowe gotowce, wyreżyserowane spektakle – taki pakiet podstawowy, wręcz socjalny. Oczywiście, każdy cud dało się wykorzystywać wiele razy, ale jak długo można zwodzić ludzi chodzeniem po wodzie tylko po jednym jeziorze (w innym poszedłby przecież na dno jak kamień), zamienianiem wody w wino (wyłącznie w jedną stronę), czy wreszcie wskrzeszaniem po raz setny biednego Łazarza, który i tak już od dawna balansował na granicy schizofrenii. Najgorzej było wtedy, gdy został niejako „zmuszony” do wyczarowania kilku tysięcy bochenków chleba i tyluż ryb, podczas gdy głodna była zaledwie pięćdziesięcioosobowa grupka wiernych słuchaczy.

– Tak, miarka się przebrała – stwierdził Jezus. – Czas najwyższy na największy cud wszechczasów, tak spektakularny, by zapamiętany został do końca świata i jeden dzień dłużej. Czas na ZMARTWYCHWSTANIE.

Trochę nie w smak była mu wizja męczeńskiej śmierci na krzyżu, lecz przy odrobinie szczęścia i odpowiednich działaniach marketingowych ludzkość już zawsze będzie rozpamiętywać Wielką Ofiarę Mesjasza-Zbawiciela. Przy ździebku wyobraźni i pomysłowości człowiek stworzy rytuał karmienia się nawzajem ciałem i krwią Odkupiciela pod jakże symboliczną postacią chleba i wina.

Używając telepatii, jedynej zdolności wrodzonej, a nie nabytej w pakiecie cudów, Jezus wezwał do siebie Piotra – najstarszego i najbardziej rozgarniętego ze wszystkich apostołów. Objął mu plan działania, poinstruował o szczegółach „trzykrotnego zaparcia się nim kur zapieje” i wybrał żołnierskie ucho, które miało zostać odcięte Piotrowym mieczem podczas obławy w ogrodzie oliwnym. Dokładnie opowiadał o teatrze z Faryzeuszami i Herodem w rolach głównych oraz o przystankach podczas drogi krzyżowej, nazywanych później stacjami. Następnie polecił wezwać Judasza przed swoje Boskie oblicze. Judasz szlochał straszliwie nad okrutnym losem Mistrza. Prosił, wręcz błagał na kolanach Pana i Pasterza rodzaju ludzkiego, by oszczędził mu wiecznego potępienia i haniebnego losu zdrajcy, by nie skazywał na stanie się wiekuistym symbolem zdrady, tchórzostwa i zakłamania.

Pan jednak był nieugięty. Plan wymagał ofiar.

Tymczasem Piotr zadumał się nad jakże zmyślną i szczwaną strategią – chwytem marketingowym Króla Niebieskiego i nucąc pod nosem „Panie, dobry jak chleb”... trenował precyzyjne cięcia świeżo naostrzonym mieczem na zielonych głowach soczystych arbuzów.

GNIEW

Ranek jest miły. Śliczny, cudowny, majowy poranek. Miłym czyni go choćby to, że nie zwracam śniadania; ani jedną ani drugą stroną. Notoryczna „stres-kupa” i „stres-paw”, jak mam w zwyczaju nazywać swoje poranne problemy fizjologiczne, dzisiaj najwyraźniej wzięły wolne. Kawa, papieros i broń Boże nie myśleć. Podliczam majątek zgromadzony w słoiku po ogórkach.

Pięć złotych, kurwa!

Zadanie bojowe na dzisiaj: przetrwać za garść monet, wliczając w to fajki. Otwieram paczkę i sprawdzam, czy aby na pewno są tam tylko trzy papierosy. Są, trzy pomięte namiastki szczęścia. Zaglądam do lodówki. Czar poranka pryska. Wszechpustka absolutna. Otchłań nicości. Brakuje tylko muzyki Ennio Morricone i pustynnych „kłaczków”, którymi wiatr targałby po zimnym zadupiu chłodziarki. W głowie układam listę zakupów, robionych zazwyczaj na pobliskim targu. Dziesięć bułek, margaryna, mleko... Wróc! Sześć bułek, mała margaryna, mleko w worku...

Powinno wystarczyć. Po dwie kanapki na posiłek, mleko na żołądek, ale co z fajkami? Trzy sztuki to strasznie mało. Najwyżej będę palił po pół, a „calaka” zostawię na wieczór. Jakoś to będzie. Carpe diem! Co za kretyn to wymyślił? Na pewno jakiś cholernie bogaty kretyn.

Ubieram się powoli, zerkając z ukosa na gadające głowy wypełniające wypukły ekran starego telewizora. Ostatni przedstawiciel wartościowych przedmiotów czekający na czarną godzinę. Niedługo dołączy do reszty sprzętu w pobliskim lombardzie. Sprzedam go jak tanią, zużytą dziwkę, za równowartość flakonu wódki i dwóch paczek papierosów. Wiernego towarzysza ostatnich pięciu lat samotności i bezrobocia.

Przemierzam krótki odcinek klatki schodowej w zamyśleniu. Miarowy stukot podkutych martensów zdaje się zakłócać walkę smrodu fekaliów z ostrym zapachem lizolu. Odwieczne zmagania odoru ludzkich odchodów z barbarzyńską wonią higieny, typową dla miejskich latryn publicznych.

Widzę go z daleka. Stoi na chwiejnych nogach, lustruje okolicę w poszukiwaniu ofiary. Niczym sęp wietrzący padlinę, namierza wzrokiem przechodniów, próbując wyczytać cień empatii z ich twarzy. Zatrzymuje wzrok na mnie i już wiem, co mnie czeka. „Daj dwa złote. Rzuć się szlugiem. Poratuj na browara”.

– Masz może fajeczką poczęstować?

Uprzedzam pytanie o dwa złote szybkim i mocnym ciosem. Lewy w żołądek łamie go wpół, prawy hak unosi go w powietrze i rzuca na glebę. Wracająca z zakupami staruszka-dewotka podnosi krzyk.

– Ludzie, na pomoc! Gdzie jest policja?!

Chwytam betonowy śmietnik i ciskam w kierunku jazgoczącej, świętojebliwiej wiedźmy. Babcia przyjmuje kubeł na klatę i rozpląszcza się na chodniku. Ze zgniecionej czaszki wypływa czerwona jucha, mieszając się z szarą galaretowatą mazią.

– Już po niej – myślę na głos i przez chwilę czekam, czy nastąpi wniebowzięcie. Nic się nie dzieje. Widocznie datki na tacę były niewystarczające, by zapewnić sobie odejście w chwale wiekuistej. Rzucam się biegiem w stronę kompleksu handlowego. Po plecach przebiegają przyjemne ciarki, w uszach

dudni, a świat zaczynam widzieć na czerwono. Wpadam do pierwszego z brzegu zakładu. Usługi kosmetyczne. Nie mogłem lepiej trafić. Cichy trzask sprężyny zwalniającej ostrze noża skutecznie zagłuszają potężne suszarki. Trzy dziunie oddają się kompleksowym zabiegom upiększającym.

– W czym mogę po...?

Zimna stal zamyka usta spalonej sztucznym słońcem blondynie. Jej głowa groteskowo odgina się do tyłu, szeroka rana gardła rozwiera się i ziejże, wesoło bulgocząc. Przez chwilę zastanawiam się jak by wyglądała, gdyby w te drugie krwawe usta wsadzić sztuczną szczękę. Podwójnie wyszczekana kretyńska, zgrzytająca podwójnymi zębami – śmieję się do rozpuku. Grubasce, która właśnie poddawała się zabiegowi pedicure, wbijam w oko lokówkę leżącą na stoliku obok. Skwiercząc wychodzi z drugiej strony czaszki z niezwykłą łatwością. Pusty łeb – myślę z rozbawieniem. Jej tłuste, świeżo wydepilowane nóżki podrygują niczym gotujące się parówki. Trzecia sztuka, wygramoliwszy się z fotela, z pocieszoną trwałą w trakcie realizacji, rzuca się na kolana. Przerwanym głosem, z głową na wysokości mojego rozporoka, cicho miauczy:

– Nie zabijaj, zrobię wszystko.

Przez chwilę rozkoszuję się wizją fellatio w tak nietypowych okolicznościach przyrody. Szybkim ruchem skręcam kark niedoszłego lachociąga i wybiegam na zewnątrz. Słońce świeci, ptaszki śpiewają, w powietrzu czuć wiosnę. Jestem szczęśliwy.

Połówką cegły wybijam boczną szybę w przejeżdżającym srebrnym oplu i wyciągam zaskoczonego kierowcę. Dwa szybkie ciosy nożem, pod jedną i drugą pachę, uwalniają mnie od natręta wrzeszczącego coś o odszkodowaniu, prawnikach i bandytach.

Rozsiadam się za kierownicą i z piskiem opon ruszam w stronę głównej arterii miasta. Mam zamiar urządzić małe igrzyska – taki *Carmageddon*.

– To co z tą fajką, masz czy nie?

Z wielkim bólem wracam do rzeczywistości. I to akurat w momencie, kiedy do akcji wkroczyły policyjne helikoptery.

Znowu odpłynąłem, kurwa.

Z uczuciem obrzydzenia do samego siebie wyłuskuję zmiętego papierosa z paczki i podaję sępowi. Nawet nie próbuje mnie prosić o nic więcej. Ciekawe, na jak długo odpłynąłem w czasie rzeczywistym. Czy były to ułamki, czy całe sekundy. Chyba nie chcę wiedzieć.

Na targu kupuję pięć bułek i dziesięć papierosów – ukraińskich, na sztuki, bez filtra. Chrzanić margarynę i mleko. Mocna herbata i ukraińskie śmierdziuchy powinny załatwić sprawę głodu i wrzodów żołądka.

Do domu wracam okrężną drogą, bacznie wypatrując wrogów czyhających na moje fajki.

Wyścig

Nieśmiało ustawiają się na linii startu. Napięte mięśnie, niemal nabożne skupienie na twarzach. Zawzięte oczy spoglądają ze strachem, bacznie obserwując rywali.

Wyścig czas zacząć.

Odległość nie jest duża. Może pięćdziesiąt metrów, podzielonych na dwa równe etapy, z betonową wysepką umieszczoną dokładnie w połowie dystansu. Półmetek, wyznaczony przez organizatorów imprezy, może być prawdziwym wybawieniem, zwłaszcza dla tych starszych lub niepełnosprawnych zawodników. Brak jakichkolwiek reguł, kategorii wiekowych czy wagowych, czyni to powszednie widowisko niezwykle atrakcyjnym. Stawka jest wysoka. Gra idzie o życie. Starszy pan w szarej jesionce i wielkich okularach w rogowych oprawkach w pozycji „gotowi” czeka na sygnał. Nikt nie wie, że ma po prostu naturalnie przygięty kręgosłup, toczony przez zespół wszelkich możliwych patologii. Gruba babcia będzie oszukiwać. Ma pomocnika, który nerwowo zaciska pięści na uchwytach wózka inwalidzkiego. Kawał chłopca z tego faceta, jeszcze przed trzydziestką. Mają duże szanse na wygraną. Dalej, po lewej, młodzieniec w wieku gimnazjalnym, z miną zblazowanego pokerzysty, prowadzi standardową rozgrzewkę. W słuchawkach o gabarytach małego hełmofonu rozbrzmiewa miarowe „łup, łup, łup”, pomieszane z historycznymi, równie rytmicznymi krzykami jakiegoś demona płci żeńskiej. Jest jeszcze tęgawy czterdziestolatek; spokojny, zdający się mieć wszystko i wszystkich głęboko w przepastnym zadzie. Pusty wzrok, nijaki wyraz twarzy i dwie szramy biegnące wzdłuż lewego policzka. Blizny i mocno militarny strój sugerują wypalonego życiem weterana, może nawet ekskomandosa. Na linii startu napięcie sięga zenitu. Jeszcze nie teraz... Za chwilę... Lada moment... Publiczność zgromadzona na obu końcach toru wyścigowego leniwie przygląda się zawodnikom. Trzeba by czegoś więcej niż kolejnej już dzisiaj gonitwy. Chwila skupienia – zdążą, czy nie zdążą – a potem tryumf garstki nieudaczników kurczowo trzymających się nic nie wartego życia. Kilka uśmiechów ulgi na mecie i zaraz kolejni ustawiają się na starcie. Nuda.

Nagle porządek igrzysk zostaje zakłócony. Do linii startu niewiarygodnie szybko zbliża się długowłosa nastolatek. Jakimś cudem utrzymuje zabójcze tempo, pomimo ciężkich podkutych buciorów, komicznie kontrastujących z rachitycznymi, długimi nogami. Wygląda jak wielki, oszalały pajak, któremu w przypływie jakiejś niezrozumiałej, sadystycznej zachcianki kazano stepować na dwóch pozostawionych wyłącznie w tym celu kończynach. Uważni obserwatorzy powinni dostrzec czterech odzianych w dresy młodzieńców w odległości nie większej niż sto metrów za uciekinierem. Stukot ogromnych gланów skutecznie zagłusza sapania i przekleństwa obutego w sportowe cichobiegi pościgu. Długowłosa, niesiony siłą panicznego strachu, bez pardonu przelatuje nad linią startu. Wiedzeni owczym pędem ruszają wszyscy, bez wyjątku. Nie czekają na sygnał, nie rozglądają się na boki. Źrenice kurczą się i nieruchomieją. Zwążają pas startowy do rozmiarów swoistej, zamglonej tulei. Naprzód wychodzi gimnazjalista i jak kozica, w rytm dziwnej muzyki dudniącej w słuchawkach, dobiega sprawnie do półmetka. Trzy sekundy później dociera cało do mety, tuż za wściekłym rzęzącym Długowłosym. Gruby komandos, kołysząc się śmiesznie na boki, robi krótką przerwę na wysepce, podczas gdy duet wózkowy

i przygięty dziadek idą łeb w łeb w szaleńczej walce o przetrwanie. Karykatura rydwanu, w odwrotnym zaprzęgu, zмага się z geriatrycznym sprinterem ze stajni ZUS&Company, połykając kolejne białe pasy wymalowane w poprzek toru wyścigowego. Babcia usilnie wychyla się do przodu, jakby w ten sposób chciała przyspieszyć tempo jazdy i choć trochę pomóc pchającemu wózek opiekunowi. O długość sztucznej szczęki wygrywają ze staruszką, który wyraźnie powłóczy prawą nogą. W końcu bezpiecznie dobijają do wysepki, gdzie weteran już spina się do pokonania ostatniej prostej. Skupione spojrzenia koncentrują się na zbawiennej linii mety. Już niedługo, jeszcze trochę, jeszcze kawałeczek. Nagle załoga rydwanu i dziarski komandos robią krok do przodu i natychmiast się cofają. O mały włos nie wypadliby z zawodów. Zwykła dyskwalifikacja równa się śmierci lub kalectwu. „Miej oczy wokół głowy” – tak brzmi motto olimpiady. Zasapani staruszek, który nie chce być ostatnim na mecie, a już na pewno samotnikiem na bezludnej, betonowej wyspie, również daje desperackiego susa do przodu. Tylko do przodu...

Ogromny czarny kamaz przy akompaniamencie potężnej syreny, pełniącej rolę klaksonu, dosłownie zmiata zgiętego dziadka. Starszy pan, niczym wielki strach na wróble, szybuje w górę i opada z gracją, jakby w zwolnionym tempie na żółte, stalowe barierki, rozdzielające trasę szybkiego ruchu na dwie części. Urwana w kolanie prawa noga groteskowo się kołysze, nadal stojąc na krawężniku wysepki – bezpiecznej przystani, umiejscowionej dokładnie w połowie przejścia dla pieszych.

– To tylko proteza! Sztuczna noga!

Weteran wydziera się histerycznie, jakby to w jakiś sposób mogło pomóc leżącemu bez ruchu dziadkowi. Tłum szaleje, wiwatuje. Czterej zasapani młodzieńcy w strojach sportowych, grzecznie i bez pośpiechu przechodzą przez aktualnie bezpieczną zebkę.

– Jeden zero dla kierowców – mruczy pod nosem aspirant z drogówki, naciągając czarny worek na starczą twarz, niemiłosiernie pokiereszowaną odłamkami szkła z rozbitych okularów w rogowych oprawkach.

MIĘTÓWKA

Skar jest nie do wytrzymania. Żar leje się z nieba, nie bacząc na to, że jest już grubo po osiemnastej. Od dwóch godzin gniję na postoju, w mało przyjaznym wnętrzu taksówki. Passat, rocznik dziewięćdziesiąty pierwszy, nie jest najlepszym środkiem do zarabiania w ten sposób pieniędzy. W zimie wiecznie niedograny, latem zamienia się w piekarnik. Pseudoklima, montowana seryjnie w tych modelach, jak najbardziej zasługuje na swoją nazwę. Zresztą od dwóch lat nie działa, a mobilny wiatraczek podłączany do gniazda zapalniczki tylko leniwie miesza gorące masy powietrza. Równie dobrze mógłbym wsadzić głowę do piekarnika i dmuchać przed siebie w nadziei, że będzie chłodniej. Modłę się do wszystkich arktycznych bogów, żeby raczyli chociaż pierdnąć w moim kierunku. Z zazdrością obserwuję dumnego właściciela nowego merca okularnika. Leży rozwalony na siedzeniu i w idealnej temperaturze dwudziestu jeden stopni delectuje się lekturą kolorowego szmatławca. Z całego serca życzę mu co najmniej zapalenia płuc i hemoroidów. Jest nadzieja, że zaraz coś się ruszy. Przecież jest piątek i tłumy ruszą do miasta, wydawać lżej lub ciężej zarobione pieniądze na rozrywki, które przez parę godzin dadzą namiastkę odskoczni od codzienności. Hipnotyzuję wzrokiem gruchę od CB-radia, mając nadzieję usłyszeć zbawienny głos dyspozytorki. Radio milczy uparcie, a czas wydaje się stać w miejscu. Teraz już wiem, jak musiały cierpieć wszystkie owady łapane do słoików za czasów błęgiego dzieciństwa. Z nudów i upału zaczynam w myślach filozofować. Zawsze musi ktoś cierpieć, by innemu było dobrze. Bez punktu odniesienia nie bylibyśmy w stanie określić skali naszego szczęścia lub porażki życiowej. Z perspektywy sąsiada-menela jestem bogaczem, którego stać na utrzymanie auta, telewizję kablową i codzienne zakupy w osiedlowej Biedronce. W oczach dyrektora banku, wręczającego mi napiwek, dwukrotnie przekraczający wartość wskazywaną przez taksometr, jestem tylko małym robakiem z nizin społecznych, desperacko walczącym o przetrwanie.

Z tych jakże wzniosłych rozterek egzystencjalnych wyrывa mnie tubalne:

– Szczęść Boże! Jest pan wolny?

– Wolny jak Murzyn na plantacji bawełny – odpowiadam, siląc się na dowcip. – Niech ksiądz wsiada.

Opasły, uśmiechnięty od ucha do ucha klecha w średnim wieku ładuje się z gracją kaszalota na tylne siedzenie wysłużonego passata. Zgłaszam przez radio kurs do centrum. Ruszamy w kierunku katedry. Duchowny głośno mlaska, raz po raz sięgając po zielone cukierki do szeleszczącej torebki.

– Miętówka to dobra rzecz na takie upały. Mógłby pan włączyć klimatyzację?

Odpowiadam, że korbkę od klimy ma po prawej stronie – na drzwiach. Ksiądz łapie dowcip i odkręca szybę do oporu. Podróż szybko się kończy. Pasażer płaci odliczonymi co do grosza drobnymi. Nawet nie pytam, czy to z dzisiejszej „tacy”.

Nie mija pół godziny, gdy do auta pakują się wypacykowane jak na odpust wesołe podlotki płci żeńskiej. Dwie, na oko szesnastoletnie blondyneczki zamawiają kurs na drugi koniec miasta. Z urywków rozmowy, którą prowadzą konspiracyjnym szeptem, dowiaduję się, że jadą na jakąś studencką prywatkę. Będzie tam Stefan – nowy chłopak tej z prawej i jego kolega Błażej, aktualnie „wolny” student medycyny.

Panowie ponoć mocno śmierzdzą groszem i bardzo lubią wszelakie rozrywki. Potencjalna dziewczyna Błażeja z uwagą słucha bardziej doświadczonej i obytej w uniwersyteckich klimatach koleżanki.

– I słuchaj, następnym razem zrób sobie miętówkę. Ja tak zawsze robię.

Nowicjuszka nie bardzo rozumie. Ja również przysłuchuję się z wytężoną uwagą.

– No wiesz... lewatywę znaczy... no, naparem... z mięty...

Boję się słuchać dalej, a koleżanka w żaden sposób nie może załapać, o co chodzi.

– Znaczy... Bo wiesz... Stefan to lubi, jak mu biorę do buzi, zaraz potem jak mnie przerżnie w dupała.

Teraz kumasz?

Oboje kumamy.

Jestem trochę zniesmaczony, a uświadamiana przed chwilą dziewczyna drażni temat, pytając, czy może stosować szałwię, melisę i inne herbatki.

– Możesz i borówkami się wysmarować, jak ci smak mięty nie odpowiada! – krzyczy mentorka porażona ciężkim przypadkiem jednak nie do końca kumatej kumpeli.

Dziewczyna w końcu załapuje. Na szczęście docieramy do celu, bo sytuacja zaczynała się robić niezręczna.

Dostaję wezwanie za wezwaniem i następne sześć godzin mija szybko i rutynowo. Wreszcie nadchodzi szósta rano i spokojnie zjeżdżam do domu. Parkuję pod blokiem i zamykam auto. Przy wejściu do klatki schodowej zderzam się z sąsiadem-menelem.

– Saaaasiaaad... pooożycz pięć zeta.

Ta codzienna śpiewka już mnie naprawdę męczy. Mijając go w drzwiach, serdecznie życzę mu pięciu złotych i wspominając osobliwe nastolatki, polecam zrobienie sobie „miętówki”. Zbity z tropu sęp odpuszcza.

Gdy pakuję się w końcu do łóżka, przypominam sobie nagle słowa mojego pierwszego klienta – grubego księdza opychającego się cukierkami: „Miętówka to dobra rzecz na takie upały”.

wnuczka na olbrzymiej klawiaturze komórki dla niedowidzących seniorów. Ma zamiar zaprosić go na wspólną zabawę *klockami*.

Dźwięk przychodzącego sms-a na szczęście przerywa ten osobliwy strumień niewyspanej świadomości. Żona pisze, a właściwie wścieka się, że zapłaciłem dzisiaj rano kartą za paczkę fajek na stacji benzynowej. Dzięki tej operacji brakuje jej teraz równych dziesięciu złotych do jakiegoś ważnego przelewu. Dopisuje do tego kilka zjadliwych uwag dotyczących mojego nałogu, czym skutecznie wyprowadza mnie z równowagi. Zamiast jej odpisać, wydzieram się na telefon. „Ja ci na buty nie żałuję. Na cholerne perfumy, podpaski, wkładki, żele! Dziesięć złotych! Niech ci się po stokroć zwróci! Albo niech ci bokiem wyjdzie, ty skąpa cipo! Albo jedno i drugie!”. Sam już nie wiem, co mówię, naprawdę jestem niewyspany. Jedno jest pewne: Wiertara przestaje wiercić, a rekolekcji z góry już prawie nie słyszeć. W ten oto sposób wmurowuję kolejną cegielkę patologii społecznej w naszą wesołą kamienicę.

Powoli się uspokajam. Z letargu wyrywa mnie ciche pukanie do drzwi. Pewnie pan Miecio ze swoim codziennym: „Sąsiaad... maasz fajkę?”.

O dziwo, to listonosz. Pyta o żonę, a następnie, czy przyjmę polecony w jej imieniu. Przyjmuję i jak prawdziwy cham z dziesięcioletnim stażem małżeńskim otwieram adresowaną do żony pocztę. Kancelaria komornicza wzywa do zapłaty. Niezapłacony dziesięć lat temu rachunek za telefon na kwotę dziesięciu złotych, jakimś dziwnym trafem, zmieniając firmy windykacyjne, kancelarie i sądy, urósł do tysiąca. To fakt, że zmienialiśmy adres zamieszkania osiem razy w ciągu ostatnich kilku lat, ale jakimś cudem akurat dzisiaj odnalazł adresata. „Diabli nadali tego listonosza!”. Znowu wydzieram się w pustym mieszkaniu. Nagle doznaję olśnienia. Diabli nadali... Czy nie tak przed chwilą krzychałem? Czy nie wyrażałem wcześniej woli, żeby jej się te cholerne dziesięć złotych zwróciło po stokroć i jednocześnie wyszło bokiem? W tej chwili przypomina mi się ulubione powiedzenie mojej siostry: „nie wypowiadaj życzeń na głos, bo nigdy nie wiadomo, który Bóg akurat słucha”.

Mnie wysłuchał ten, który wiedział o wspólnocie majątkowej. Pewnie ma niezły ubaw, pieprzony Wishmaster.

URZĘDNIK

Dla Basi

Ryśka obudził trzepot ptasich skrzydeł. Zza uchylonych drzwi balkonowych dochodziły odgłosy zażartej walki. Spasione gołębie toczyły morderczy bój o ziarenko ryżu – jedno, z jakichś tylko im zrozumiałych przyczyn najważniejsze spośród tysięcy usypanych zgrabną ścieżką wzdłuż parapetu. Ognistoczerwone jęzory światła pełzały po śnieżnobiałej firance, by zaraz załamać się i zniknąć w przepastnych objęciach złotych kotar, delikatnie muskanych pocałunkami letniego wiatru. Słońce chyliło się ku zachodowi, zdawało układać się do snu w mięciutkim puchu białożółowych cumulusów.

– Kurwa, już szósta! – wycharczał Rysiek, natychmiast profanując idyllę codziennej, popołudniowej pobudki. Niemiłosierny skurcz jelit targnął nim potężnie, natrętnie domagając się natychmiastowej ulgi. – Jeszcze... kurwa... nie teraz... – mamrotał, ściskając się w pasie i skręcając z bólu. – Jeszcze nie...!

Zrezygnował z kawy, palić mu się nie chciało, wskazówki zegara nieubłagane przypominały, że już czas.

W Urzędzie do Spraw Socjalnych i Patologii Społecznych nie tolerowano spóźnień, zwłaszcza w tych najbardziej prestiżowych sektorach służby nocnej. Rysiek był agentem terenowym i miał pod sobą dwa osiedla, z opieki nad którymi kazano mu się codziennie rozliczać. Trzecia zmiana i specyficzny charakter służby nocnej łączyły się z dużo większymi zarobkami, z drugiej zaś strony z ruiną zdrowia fizycznego i poszarpanymi nerwami.

Służbowym, czarnym oplem patrolował więc kręte osiedlowe uliczki, fotografował budynki z zewnątrz i penetrował ciemne czeluści klatek schodowych, zawilgoconych piwnic, tonących w pajęczynach mrocznych stryszków. Oceniał utrzymanie elewacji, czystość piaskownic, stan techniczny wind i praktycznie całego ogólnie dostępnego, publicznego dobra. Był specem od estetyki odpowiedzialnym za wygląd i odbiór społeczny podległego mu rejonu.

Musiał jednak pamiętać, że wystarczą trzy uzasadnione skargi złożone przez niezadowolonego obywatela strefy vip albo kontrolera z Urzędu nadzorującego pracę agentów terenowych, by stracił posadę i niewątpliwie trafił pod opiekuńcze skrzydła Socjalu.

Dlatego był solidny i dawał z siebie wszystko. Podręcznikowo i według urzędowych instrukcji, skrupulatnie i z poświęceniem notował, zbierał opinie, docierał w najbardziej niedostępne i niebezpieczne rejony. Potem jechał do złowieszczonego gmachu w samym centrum miasta, by tam przygotować strategię naprawy rzeczywistości osiedlowej, ustalić plan działania, przedsięwziąć odpowiednie kroki. Przeglądając uwagi mieszkańców strefy vip, którzy przecież swoimi ciężko opodatkowanymi zarobkami niejako partycypowali w kosztach utrzymania socjalnych molochów, natrafiał nazbyt często na sugestie dotyczące czystości piasku w piaskownicach, nagannego wyglądu klatek schodowych i wręcz niedopuszczalnego stanu wizualnego elewacji trzech podległych Ryszardowi kamienic. Kontroler jakości pracy natomiast wytknął mu w ostatnim monicie, poprzedzającym skargę

oficjalną, nienależyte dbanie o stan oświetlenia zewnętrznego przy wejściach do budynków oraz nagminne zaniedbywanie kwestii zabezpieczeń piwnic lokatorskich.

Rysiek wiedział, że od dzisiejszej interwencji w terenie może zależeć nie tylko premia za skuteczność w działaniu, ale nawet sam fakt uzyskania pełnej pensji bez potrażeń karnych. Wszystko spoczywało w jego rękach, słynnych już przecież logistycznych zdolnościach umysłu, a nawet w umęczonych trzewiach, które coraz częściej odmawiały współpracy, nadmiernie eksploatowane i zwyczajnie przepracowane.

Zgarnął ze stołu potwierdzone czerwonymi odciskami urzędowych pieczęci dokumenty, z szuflady wyjął fiolkę z białymi tabletkami, a ze schowka gospodarczego wyciągał kolejno: obcęgi, kawałki cegieł, butelki, słoiki, gwoździe, młotek i kilka pojemników przypominających lodówki turystyczne. Zapakował wszystko zręcznie na paletę wyposażoną w zmyślne kółeczka i potoczył w kierunku podziemnego parkingu. Wierny towarzysz i niezawodny przyjaciel cierpliwie czekał w boksie o numerze XXI, poważnie i dostojnie czernił się matowym odcieniem służbowego lakieru. Wymknęli się niepostrzeżenie i zostawiając za sobą dyskretną mgiełkę dieslowskich spalin, przepadli w mrokach letniej nocy.

Ryszard działał metodycznie i choć czas go naglił, nie mógł pozwolić sobie na fuszerkę. Już w pierwszej z listy klatce schodowej z uczuciem prawdziwej ulgi wypróżnił się na trzeci od dołu schodek (zalecenie odgórne, poparte uchwałą Rady).

Następnie oddał mocz na drzwi, drugie z lewej, gdzie mieszkała niezwykle upierdliwa staruszka. Nie dość, że regularnie sprzątała korytarz, to jeszcze ośmielała się zamazywać wulgaryzmy na ścianach, a nawet wkręcała prywatne żarówki stuwatowe, podnosząc w ten sposób nienależny standard placówki.

Dzisiaj, na szczęście, stolec i strumień moczu wystarczyły, by przywrócić godny, socjalny wygląd tej części budynku. Łykając trzy tabletki laksigenu, pospiesznie ruszył dalej. Jeszcze dwa wypróżnienia w bloku przy ulicy Nędznej 13 i w wieżowcu naprzeciwko, na rogu Beznadziejnej i Biednej, dewastacja elewacji przy Skromnej i kibolskie napisy na ścianie dwóch śmietników – szczęśliwie miał gotowe szablony: „Motor king” i „Avia ciągnie druta”. Pospiesznie, prawie w biegu, rozrzucał po okolicznych piaskownicach psie kupy, wyciągane zgrabnym ruchem z przenośnych pojemników-lodówek. W tym wypadku nie mógł oszukiwać. Podręcznik wyraźnie określał rodzaje odchodów i miejsca im należne. Zresztą Kontrolerzy wyposażeni byli w detektory wykrywające w przeciągu kilku sekund pochodzenie kału taktycznego. Tu nie mogło być mowy o fuszerce.

Czas przeciekał przez palce, a Ryszard dwoił się i troił. Niszczył drzwi do piwnic, podrzucał „śmierdziuchy” o woni spermy lub rozkładu na stryszki, rozpylał sprayem mysie zapachy, wysypywał szurze odchody z woreczka wprost na wycieraczki, nie omieszkał wykręcić kilku żarówek przy wejściach do budynków, przypalić zapalniczką gumowych przycisków domofonów; niektóre po prostu opukiwał młotkiem, skutecznie je zniekształcając. Rozbijał butelki i słoiki na parkingach, wybił odłamkami cegieł kilka szyb w uśpionych samochodach i uaktywnił schowane wśród koron drzew „megafony”, zaprogramowane tak, by emitowały dźwięki syren policyjnych, pijackie wrzaski, strzały z broni palnej czy krzyki gwałconych kobiet. Ustawił funkcję „shuffle”, aby losowo przez dwie godziny – dokładnie między pierwszą, a trzecią w nocy – raczyć mieszkańców odgłosami wszelkich możliwych patologii, wpasowujących się w typowy dla takich dzielnic entourage. Zręcznie rzucał przez rachityczne parkany zatrute kawałki mięsa podwórkowym burkom, a te nauczone, by nie jeść z obcej ręki, namiętnie drażnił elektryczną pałką.

Ostatnim wynalazkiem Urzędu byli tak zwani „mroczni przestępcy” – kukły odziane w dresy z białymi lampasami i czarne bluzy z kapturami, które umieszczał w ciemnych kątach podziemnych przejść lub na naziemnych kładkach dla pieszych. Straszyli, mającąc złowieszczo w mroku, roztaczając woń butaprenu

i dworcowego smrodu niemytych ciał ludzi bezdomnych; przed świtem zdejmowani z posterunków przez przemykających chyłkiem Kontrolerów.

Alarm ustawiony w telefonie komórkowym poinformował Ryśka, że czas kończyć na dzisiaj naprawianie osiedla. Jeszcze tylko powiesić zwłoki rudego kotka na kłamce od przedszkola, porzucić zużyte tampony i prezerwatywy na gimnazjalnym boisku, wysmarować towotem ławkę na przystanku przy rondzie Nieudaczników i do domu.

Zdążył wykonać plan, był z siebie dumny. Niech teraz nawet stu urzędowych sprawdzaczy zlustruje efekt jego ciężkiej pracy, niech sam burmistrz z orszakiem Rady osobiście dokona oględzin. Nic i nikt nie mógł podważyć jego kompetencji, a tym bardziej dobrze wykonanej roboty.

Przywitały go pierwsze, nieśmiałe promyki słońca pomykające lekliwie po białej firance. Zajrzał do gołębi powracających do świata jawy na balkonie. Znowu zaczynały swary o ryż, którego jeszcze nie zdążył wysypać na parapet. Odwiązał nóżki tych, które padły od zatrutego ziarna, i czym prędzej schował do stalowego pojemnika – akceleratora rozkładu. Na jutro będzie jak znalazł. W końcu zamknie usta Marceli Bogackiej – prezes Rady strefy vip, która z niesmakiem zauważyła na ostatnim walnym zebraniu, że przy ulicy Zapyziałej brakuje widoku padłych ptaków na chodniku wiodącym do kościoła parafialnego pod wezwaniem brata Alberta. Tak, to kobieta cholernie cięta na dysonans międzyspołeczny, bojowniczką o prawa klasy pracującej, której to ciężko zarobione pieniądze idą na utrzymanie niewdzięcznych darmozjadów, najwyraźniej nierozumiejących potrzeby kontrastu pomiędzy Strefą a Socjałem.

Tymczasem gołębie nawoływały wdzięcznym gruchaniem karmiącą rękę Ryszarda, gdy ten z czystym sumieniem i bolącymi trzewiami rozścielał wygodne vip-łóżko w klimatyzowanym vip-mieszkanie z dala od strasznej rzeczywistości brudnego i groteskowego zagłębia patologii i zgnilizny socjalnego bytu.

PORA KARMENIA

Dla Róży

Czas był dla niego niezwykle ważny. Wskazówki zegara, czy też elektroniczne cyferki na wszelkiego rodzaju wyświetlaczach dyktowały rytm życia, przeliczały rzeczywistość, wymuszały dyscyplinę bytu. Wszystko miało swoją porę i swoje miejsce. Posiłek, przełknięcie tabletki przepisanej przez doktora Psychotropa, toaleta, sprzątanie, gotowanie... Każda z tych czynności określona czasowo zyskiwała na ważności i osobistym znaczeniu. Do rangi celebrium urastała natomiast pora karmienia kota Izydora, który wdzięcznie dostosowywał się do surowej kindersztuby narzuconej przez niezwykle dokładnie ułożonego pana.

Zbliżała się więc nieubłagane godzina dwunasta, kiedy dwa zależne od siebie istnienia przygotowywały się do wspólnego posiłku.

Siedzieli wpatrzeni w ścienny zegar, czekając na pełną godzinę. Kot zezował w stronę ogromnej lodówki-karmicielki, człowiek wypatrywał pary kukulek wyjeżdżających na drucianej platformie z wnętrza starego zegara, by mogły wdzięcznymi głosami oznajmić porę karmienia. Ku jego ogromnemu zdziwieniu zamiast drzwiczek w zegarze otworzyły się wrota olbrzymiej chłodziarki i zamiast kukulek wychylił się kucyk. Rytmicznie rżąc godzinę dwunastą, rzucał konserwami w przestraszonego kota, który grzecznie siedział przy swojej miseczce, czekając, jak co dzień, o tej samej, wyznaczonej porze, na ulubioną karmę. Człowiek zareagował błyskawicznie (a przynajmniej tak mu się zdawało) i zasłaniając własnym ciałem puchatego Izydora, zatrzasnął czym prędzej drzwi od lodówki. Od wewnątrz nadal dochodziło przytłumione rżenie, wszak godziny dwunastej wyrzeć szybko się nie da. Ignorując wszelkie zasady godzinowego rygoru, sięgnął po niebieskie tabletki i połknął dawkę „jutrzejszą” z godziny siódmej zero pięć. Opadł ciężko na krzesło, zamknął oczy i czekał na zbawienny wpływ leku.

Kiedy je otworzył, natychmiast zauważył, że zegar z kukułkami zniknął, kota również gdzieś wcięło. Ostrożnie zbliżył się do lodówki. Na ledowym wyświetlaczu, obok wskaźnika temperatury, skrzyła się zielonkawą poświatą godzina jedenasta pięćdziesiąt dziewięć. Dyskretnie zajrzał do wnętrza chłodziarki i natychmiast go cofnęło. Na górnej półce leżał Izydor i w najlepsze się obżerał. Właśnie kończył obgryzać drugą kukulkę. Człowiek wrzasnął przerażony i w momencie, gdy sięgał po pojemnik z pigułkami od doktora Psychotropa, zaczęło mu się rytmicznie odbijać. Z przyzwyczajenia liczył beknięcia. Doliczył do dwunastu. Rozpaczliwie walczył z „bezpieczną” nakrętką medykamentu. Sił dodawał mu widok kucyka łaszącego się do nóg, zerkającego wymownie w kierunku pustych misek.

Wsypał sobie wprost do gardła porcję, którą śmiało można by określić „dawką trzydniową z plusem”, przy czym prawie połowa zawartości opakowania wylądowała na podłodze. Natychmiast odpłynął. Powrotowi do rzeczywistości towarzyszyło dziwne poczucie, że coś jest nie tak. Z poziomu podłogi doskonale widział siedzącego na sofie kucyka wlepiającego gały w ścienny zegar. Znowu było za minutę południe i tym razem nie było lodówki. Na drucianej platformie zegarowego mechanizmu wyjechały dwie kukulki, miaucząc niczym kocury w rui, kucyk kłął po ludzku, jak szalony podskakując na kanapie, a on

wpatrując się w swoje lśniące, puchate łapki kukał opętańczo ze strachu. Kątem oka ujrzał rozsypane na podłodze tabletki. Zlizął wszystkie czternaście, kilka połknął, resztę upychał pod policzkami, nie nadążając z przełykaniem.

Nawet się nie zdziwił, kiedy wyjechał na drucianej platformie, będącej nieodłączną częścią mechanizmu lodówki ściennej, zgrabnie wmontowanej w elektroniczny wyświetlacz sofy. Twarz kucyka zamieniona w tarczę zegara zdecydowanie wskazywała godzinę dwunastą, choć sekundnik w kształcie kota wyraźnie zahaczał o nieco przydługi nos konika.

Błyskawicznie przypomniał sobie o pigułkach zachomikowanych w policzkach i natychmiast je połknął.

Ocknął się w całkowitych ciemnościach. Przez chwilę analizował sytuację. Ciemność. Spokój. Tylko dlaczego jest tak zimno? Zarżał z przerażenia. Zrozumiał. Był w lodówce. Wrota chłodziarki otworzyły się, a on nagle poczuł przymus wyrzucia godziny dwunastej i rzucania zegarami, w kukułki, które z przypiętymi do skrzydełek imiennymi tabliczkami (na obu widniało imię Izydor) siedziały na sofie w kształcie kocich miseczek i najwyraźniej szykowały się do konsumpcji.

Wyskoczył na środek pokoju i rzucił się w stronę pojemniczka z tabletkami. Pokój dziwnie przypominał żołądek od środka. Różowe, elastyczne ściany pulsowały rytmicznie, na podłodze powiększała się kałuża syczącej cieczy, rozpuszczającej wszystko na swej drodze. Kiedy zauważył olbrzymie, pozlepiane kłęby włosów walające się po kątach, zrozumiał, w którym żołądku się znajduje. Wpadł w panikę. Desperacko próbował chwycić pojemnik z pigułkami, lecz kopyta ślizgały się po obłej, plastikowej powierzchni. Nie był w stanie odkręcić „bezpiecznego” wieczka. Dotarło do niego, że został uwięziony na zawsze w godzinie dwunastej – wiecznej porze karmienia. Brak dostępu do tabletek doktora Psychotropa skazywał go dodatkowo na wiekiową rzeczywistość w roli kucyka połkniętego przez kota. Przyszłość nie malowała się zbyt różowo. Chyba, że... Nagle go olśniło. Usłyszał swój własny głos odbijający się echem w przepastnym żołądku.

– Dalej, Izydorku! To tylko kłaczek!

Trzymając się kurczowo najbliższej kępki włosów, modlił się, by w świecie na zewnątrz jak najszybciej nastąpiła godzina czternasta trzydzieści osiem – utarta od lat godzina wyrzygiwania kłaczka.

Zoo

Dla Loeren

Ostatnimi czasy Adam czuł się niczym pijak podczas jakiegoś cholernie koszmarnego karnawału, odbywającego się w największym cyrku świata. Był to ten rodzaj zabawy, w czasie której ludzie wirujący na superszybkiej karuzeli, kątem oka widząc poluzowane śruby siedzeń, wrzeszczą z prawdziwego strachu, zagubieni w gabinecie luster zgubili się rzeczywiście, a karły, garbusy i kobiety z brodami patrzą na człowieka z fałszywymi uśmiechami na ustach i autentycznym przerażeniem w oczach. Adam zaczął odbierać życie w ten sposób kilka tygodni temu, by teraz żyć już w całkowitym przeświadczeniu, że wszyscy sprzedawcy handlują trucizną, samochody istnieją tylko po to, by go potrącić, a z głośników w centrach handlowych płynie nieustająco marsz pogrzebowy. Prawdziwy karnawał potępieńców. Oprócz lęku o własną osobę przerażał go również ogrom nieszczęść dotykający ludzkość jako taką i każdą jednostkę z osobna. Odnosił też nieodparte wrażenie, że jest jedynym osobnikiem z gatunku homo sapiens na Ziemi, który dostrzega, a czasem wręcz fizycznie czuje ból istnienia wszystkich istot zamieszkujących błękitną planetę, tym samym był prawie pewien, że właśnie ta nadmierna troska o innych jest przyczyną jego samopoczucia rodem z piekła. Czuł się jak jakaś groteskowa karykatura mesjasza, któremu dane jest przeżywać prawdziwe „WSPÓŁ-CZUCIE”.

Teraz, gdy wolno kroczył alejkami chorzowskiego zoo, zastanawiał się, w jaki sposób dał się przekonać do odwiedzenia tak przytłaczającego miejsca. Czy ból, sprawiony odmową przyjęcia podarunku (biletu) od sąsiadki, nie byłby mniejszy niż istny koszmar ścigających go martwym wzrokiem zniewolonych zwierząt? Przecież mógł nie iść do zoo, mógł oddać komuś bilet, wyrzucić... Ale gdyby Milena się o tym dowiedziała... Na samą myśl o urażonej sąsiadce, która z dobrego serca wręczyła mu bilet, żeby się trochę rozerwał, wyszedł ze swoich czterech ścian, odetchnął... Poczuł tak silne ukłucie żalu i frustracji, że natychmiast przestał roztrząsać temat. Zawsze jest przecież tak samo: żebrakowi nigdy nie odmówi, akwizytor mu wszystko sprzeda; cholera, nawet jak pies na jego widok zamerda ogonem, on automatycznie szuka smakołyku, by go wynagrodzić. Koszmar, przed którym nie uchronią ściany mieszkania. Co z tego, że wyrzucił telewizor, plujący ludzkimi tragediami, radio, sączące aksamitnym głosem spikera jad niegodziwości, gazety, opisujące z literackim wdziękiem cudze nieszczęścia, czy wreszcie komputer z dostępem do istnego „suffernetu”. Zawsze znajdzie się sąsiadka-samarytanka, listonosz-poślaniec czy ktokolwiek inny gotowy obarczyć go swoimi problemami i wszystko zepsuć.

– Mamciaaa! A co tu jest najciekawszego w zoo? – Z zadumy wyrwał Adama skrzek przechodzącego właśnie mutację, pryszczatego młodzieńca i zanim zdążył zastanowić się nad sensem tak sformułowanej wypowiedzi, znokautowała go rzeczowa odpowiedź mamci.

– Zdecydowanie żyrafa, synku, zdecydowanie.

Natychmiast zalała go fala współczucia dla młodego człowieka, który nie potrafił sam ocenić, co jest ciekawe, a co nie. Wręcz paraliżowała go niewolnicza niemoc umysłu kobiety, której gust mierzył

internetowy gustomierz, finansami rządził bankowy finansometr, a wycieczka z dzieckiem do zoo podyktowana była popularnością w dziale „inteligentna rozrywka” na Facebooku.

Adam przyspieszył kroku, uwalniając się z jarzma patrzenia na świat oczami bezwolnej kobiety, zręcznie wywinął się depresyjnym niedźwiedziom z wybiegu tuż obok, paranoiczne surykatki ledwie mignęły po lewej stronie, a apatyczny lemur mógł go tylko śledzić wzrokiem, jak pokonywał kolejne wzniesienia. Tchu Adamowi zabrakło przy klatce z lwami, ale całe szczęście w niewielkiej odległości stała pusta ławka, jakby czekająca tylko na niego. Z uczuciem ulgi i skrajnego zmęczenia opadł bezsilnie na siedzisko i łapiąc oddech niczym wielka ryba, utkwiał wzrok w okratowanej lwiej jaskini. Ogromny samiec z przepiękną grzywą wlepił w niego żółte, hipnotyzujące ślepie. Stał niczym posąg na muskularnych łapach i miarowo oddychał, wprawiając w rytmiczny ruch szeroką klatkę piersiową. Grzywa falowała na letnim wietrze, skupione oczy odbijały promienie słońca, natarczywie szukając wzroku człowieka.

Nagła intensywność doznań, jaka trafiła w Adama, była niczym uderzenie pioruna. Żółte ślepie zdawały się wyrzucać wiązki światła, które przenikając na wskroś oczy Adama, implodowały w mózgu, sprawiając, że każda żywa komórka w ciele mężczyzny odczuwała, widziała, przeżywała każdą pojedynczą sekundę z życia drapieżnika. Wszystko naraz i w skondensowanej formie jednego impulsu. W ułamku sekundy cały życiorys – od błogiego okresu szczeniństwa na wolności, poprzez stratę rodziców, walki o dominację w stadzie, aż do nędznego żywota w ciasnej klatce ze skromnym wybiegiem. Wszelkie emocje, lęki, frustracje, brak nadziei i świadomość nieuniknionego dożywocia, niczym gorąca lawa smutku i zgryzoty zawładnęła Adamem bez reszty. Niemal czuł w żyłach krew drapieżnika płynącą rzeką rozpacz, mózg rozrywały konwulsje panicznego lęku, płuca dławił zduszony skowyt.

– Wiem, co czujesz. Naprawdę wiem! – Adam szlochał wpatrzony w lwa, który leniwie odwrócił wzrok i ułożył się w pozycji „waruj”. – Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym ci pomóc – wyszeptał, a oczy same się mu zamykały, jakby przeciążone ostatnimi przeżyciami.

Promienie zachodzącego słońca przyjemnie grzały, powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą, gdzieś w oddali wesoło porykiwał osioł. Adam zasnął. Znowu śnił o pięknej kobiecie o dobrych oczach i nieskazitelnie pięknej twarzy, która za każdym razem, gdy spotykał ją w królestwie Morfeusza, prosiła o to samo:

– *Musisz, Adasiu, MUSISZ mnie zabić. Jeśli chcesz żyć, musisz ze mną skończyć.*

Chyba ze sto razy słyszał to zdanie. Zawsze, kiedy o niej śnił, przychodziła do niego, piękna urokiem bogini, dziewczęco niewinna, emanująca matczynym ciepłem i powtarzała tę samą prośbę. A on odpowiadał, niejako drocząc się z nią, powtarzał kwestię utartego scenariusza:

– *Wiesz przecież, że nie mogę. Jak mógłbym cię zabić?*

Tym razem jednak była smutniejsza niż zwykle, a zarazem jeszcze piękniejsza. Sprawiała wrażenie istoty doskonałej, której nikt i nic nie jest już w stanie ulepszyć. Była absolutna.

– *Już nie musisz mnie zabijać, już jest za późno. Dzisiaj osiągnęłam apogeum. Jestem spełniona – oznajmiła i wyciągnęła świetlistą dłoń w pożegnalnym geście. – Żegnaj na zawsze.*

– *Zaczekaj! Powiedz choć, jak masz na imię! Proszę!*

– *Empatia* – wyszeptała kobieta i jak zawsze rozpląnęła się w powietrzu.

– Tatusiuuuu! A kiedy pójdziemy do dinozaurów? – Wesoły szczebiot dziewczynki przeszył na wylot wrażliwe uszy Adama. Otworzył jedno oko, potem z niezwykłym trudem drugie (jak mógł tak zasnąć na ławce? Co za wstyd... I gdzie jest ławka? Dlaczego ci ludzie stoją za kratami? Co się...?) i natychmiast zlokalizował źródło słodkiego głósiku. Blondyneczka, (bardzo apetyczna dziewczynka) lat około

dziewięciu, uczepiona muskularnej ręki mężczyzny (cóż za bujna czupryna i te oczy... dzikie... władcze) z zadartą główką wpatrywała się pytająco w ojca. Mężczyzna nieco zbity z tropu, oderwał wzrok od Adama i spojrzał na córkę. (Te oczy są żółte. On ma żółte oczy!).

– No, przecież byliśmy już w „parku jurajskim”. Nie pamiętasz? Pół godziny temu widziałaś dinozaury.

– Ale tamte były z plastiku! Ja chcę do prawdziwych. – Dziewczynka była wyraźnie niepokojona i już dwiema rączkami szarpała olbrzymie ramię taty.

– Nie marudź, słonko! Popatrz lepiej na lwa!

Teraz już dwie pary oczu spoglądały na Adama.

FELIX

Dla Alicji

Kucyk Felix od zawsze marzył o rzeczach wielkich. Jak daleko potrafił sięgnąć pamięcią, pragnął dawać szczęście. Czuł, że tylko po to został stworzony. Nie mógł się doczekać, kiedy w końcu będzie mu dane spotkać ludzi, o których tyle słyszał. Te wspaniałe istoty, obdarzone duszą i uczuciami wyższymi, niewątpliwie zasługiwały, by im służyć, wielbić je i obdarowywać wszystkim co najlepsze.

Dążył więc młody konik wszystkimi siłami do spotkania z tym fascynującym gatunkiem. Byle doczekać do wiosny, niech tylko stopnieje śnieg.

Wędrował przez gęsty las, w którym się urodził i wychował, wypytywał napotkane zwierzęta o najbliższe ludzkie osady. W duchu modlił się do Wielkiego Ogiera (do ludzkiego boga nie miał śmiałości), by ten pozwolił mu zostać człowieczym synonimem szczęścia, symbolem fortuny, magicznym jednorożcem. Nie słuchał zazdrosnych frustratów i leśnych piniaczy, oszczerczo wyrażających się o dwunogich istnieniach. Przemierzał gęstą knieję wytrwale, ciesząc oczy oznakami nadchodzącej wiosny. Może, gdy ich w końcu znajdzie, da im szczęście i poczucie spełnienia, przyjmą go do siebie jak swojego. Kiedy zobaczą w nim symbol dobrobytu, poznają się na jego dobrych chęciach, to pewnie docenią i pokochają. Może nawet stanie się jednym z nich, zasłuży na duszę.

Tymczasem dotarł na skraj lasu. Po śniegu nie było już śladu. Przez zwiewny, mglisty opar prześwitywały chaty kryte strzechą, słychać było ujadanie psów, obłoczki dymu leniwie snuły się z kominów. Świtało. Ucieszył się kucyk niezmiernie i nie zważając na groźne pomruki uwiązanych na łańcuchu burków, stanął na środku drogi, rozglądając się za człowiekiem. Jego pierwszym człowiekiem.

Echo wystrzału zbiegło się z krzykami i gniewnym nawoływaniem. Z mgły wyłoniło się kilku mężczyzn wściekle wymachujących widłami. Zewsząd dobiegał zgiełk i okrzyki podniecenia.

– Łapcie drania! Spuścić psy! Nie trafiłeś, kretynie!

Uciekał więc Felix przed ludźmi uzbrojonymi w noże, widły, siekiery. Zagłębiał się w las, czując oddech pościgu na zjeżonym grzbiecie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ci wszyscy dobrzy ludzie polują na niego. Dlaczego gonią go tak nieustępliwie i zaciekle?

Olśnienie przyszło nagle, gdy zatrzymał się na chwilę przy leśnym strumyku. Zobaczył swoje odbicie w tafli wody. Najwyraźniej zmieniał sierść na letnią. Cały obrosnięty był świeżutkimi zielonymi listkami, jak to mają w zwyczaju magiczne kuczki na wiosnę. Na swoje nieszczęście nogi miał skąpo zalesione. Z każdej kończyny wystawały tylko cztery cherlawe listki, a głodni szczęścia ludzie tylko to dostrzegali. Nikt nie był w stanie oprzeć się pokusie posiadania czterolistnej kończyny.

POCZEKALNIA

Zenon ocknął się w pozycji półleżącej na twardej, drewnianej ławce. Tyle zdążył zarejestrować jego umysł, zanim mężczyzna całkowicie otworzył oczy i przyjął pozycję godniejszą człowieka cywilizowanego. (To musi być poczekalnia... tylko gdzie...? Szpital? Urząd? Cholerny ZUS?). Rozejrzał się dyskretnie wokół, przybierając minę „jakby nigdy nic”, wciąż niewiele rozumiejąc. Znajdował się niewątpliwie w jakimś pomalowanym na biało holu, ciągnącym się kilkaset metrów w obie strony, gdzie jedyne umeblowanie stanowiły dwa długie rzędy żółtych, drewnianych ławek. Cały korytarz jaśniał błękitem jarzeniówek (to po prostu musi być szpital), chociaż Zenon nie był w stanie zlokalizować źródła światła. Odnosił nieodparte wrażenie, że wypełniający ten dziwaczny tunel blask istnieje niezależnie od jakiegokolwiek zasilania. Najzwyczajniej w świecie jasność biła zewsząd, jakby sączyła się ze ścian, sufitu, podłogi.

Nadzieją napawał fakt, że nie był sam; kilka osób siedziało na ławkach, dwóch panów w średnim wieku spacerowało miarowym krokiem tam i z powrotem (czy ten z lewej nie jest w kostiumie teatralnym? Wygląda jak pieprzony muszkieter), natomiast niepokój budził absolutny brak jakichkolwiek drzwi prowadzących do wejścia lub wyjścia z korytarza. Tunel był tworem zamkniętym po obu stronach – *przypominał* wnętrze wielkiej jarzeniówki, z tą różnicą, że oddychało się tu najwyraźniej powietrzem, a nie mieszką zjonizowanych gazów. Zenon rozejrzał się nieco śmieiej, próbując nawiązać kontakt wzrokowy z pozostałymi osobami, lecz napotkał jedynie puste lub całkowicie zdezorientowane spojrzenia, lękliwie uciekające w bok lub pod nogi. Obmacał się dyskretnie po całym ciele, dotknął twarzy, włosów – wyglądało, że wszystko z nim w porządku, nie licząc faktu, że nie pamiętał, jakim cudem znalazł się w tym dziwacznym miejscu. Nie pamiętał właściwie niczego oprócz własnego nazwiska (Kotłowski, nie Kotlarski) i tego, że niedawno przeszedł na emeryturę w wieku ustawowym. Nie wiedział, czy jest żonaty, dzieciaty, zdrowy czy chory, gdzie pracował, mieszkał. Był świadomy jedynie swojego wieku (sześćdziesiąt sześć z kawałkiem) i nazwiska (zdecydowanie Kotłowski).

Wstał i ruszył powoli wzdłuż korytarza, zdecydowany zaczepić kogoś ze „współlokatorów” tego dziwnego miejsca.

– Pan Zenon Kotlarski! – Zabrzmiało głucho, jakby ze starego radioodbiornika. Obejrzał się zdziwiony i dostrzegł brązowe drzwi, nie dalej niż dwa metry od siebie, nad którymi zmaterializował się niewielki głośnik. (Jak mógł nie zauważyć tych drzwi, tak wyraźnie odcinających się na tle białej ściany? Co tu się dzieje?).

Był tak zaferowany całą sytuacją, że nawet nie zdążył się zdenerwować, gdy przekrecono jego nazwisko – pomimo amnezji coś mu mówiło, że to nie pierwszy raz. Tymczasem pchnął drzwi i przekroczył próg pomieszczenia. Zdezorientowany ulotnością tego, co widzi (jakaś pieprzona fatamorgana, wszystko pływa, rozmazuje się... To musi być szpital, a on miał poważny uraz głowy...), skupił się na blondynce siedzącej za biurkiem.

– Witam pana, proszę spocząć – zaszczębiotała blondynka. – Śmiało, śmiało! Pewnie czuje się pan nieco zagubiony. To normalne, proszę się nie martwić. – Panienska sprawiała wrażenie osoby, która wie,

co mówi.

– Jaaa, yyyy, znaczy... – Zenon bełkotał niezdarne, równocześnie gapiąc się w przepastny i kusząco obfity dekolt kobiety. – Proszę pani, ja nic nie pamiętam. Nie wiem, gdzie jestem i co tu robię. Czy to jest szpital? – zapytał niepewnie, jednocześnie rumieniąc się, gdy złapała jego wzrok z trudem odrywający się od wielkiego biustu.

– No proszę... Spisali się chłopcy z działu...

– Że co, proszę?

– Nic, nic. Przepraszam, taka mała dygresja. – Teraz blondynka wyraźnie nabrała kolorów. – Otóż, żeby nie przedłużać. – Pauza była nieco złowieszcza. – Pan nie żyje. Umarł pan i teraz musimy wspólnie podjąć decyzję, co dalej.

Zenona zamurowało i gdyby nie siedział, pewnie wyłożyłby się jak długi.

– Jak to nie żyję? Przecież rozmawiamy! Tylko z pamięcią mam kłopoty.

– Normalnie. Umarł pan, a teraz musi pan zadeklarować, co dalej. Gdzie zamierza pan spędzić wieczność. Pan, z tego co mam w papierach... ach, nie mogę się do tego przyzwyczaić, te kartki, szelesty... jest katolikiem?

Coś tu nie grało. Zenon doskonale pamiętał z dzieciństwa, że jest Niebo, Czyściec, Piekło, a nie jakieś laski z wielkimi cycami i poczekalnie w tunelach. Poza tym już dawno przestał wierzyć w te brednie. Postanowił wyjaśnić sprawę natychmiast, choćby miał to z laluni wycisnąć siłą.

– Czyli twierdzi pani, że umarłem? Okej. No, to gdzie teraz jestem?

– Według pana wierzeń...

– Jakich wierzeń? Jestem ateistą. Ja nawet w życie pozagrobowe nie wierzę.

Blondyna sprawiała wrażenie zakłopotanej i wyglądała, jakby zaraz miała się rozpląkać.

– W rejestrze dusz mamy wyraźnie zapisane: katolik po przyjęciu wszystkich sakramentów. To właśnie dla takich jak pan nasi specjaliści od wizualizacji robią, co mogą, by umilić wam przejście na drugą stronę. Nasi najlepsi fachowcy pracowali nad wyglądem czyścica, który był pan łaskaw w myślach nazwać tunelem. Nawet ja jestem efektem pracy naszych grafików. Te kartki papieru, biurko, pomieszczenie... To wszystko, żeby wam było łatwiej, jak na Ziemi.

Na twarzy pozagrobowej dyspozytorki widniała szczerą, wręcz natchnioną potrzebą zrozumienia i aprobaty.

– Czyli to nie ma znaczenia, w co wierzę i czy wierzę? Tak po prostu wyślecie mnie na tamten świat? Mogę chociaż wiedzieć, dokąd? – Zenon był niepocieszony i zbulwersowany. – Może mi jeszcze analizę potrzeb klienta zróbcie! – Teraz był już wściekły.

– To nie tak. – Blondyna posmutniała. – Pan sam wybierze, dokąd pan chce iść, w ramach pakietu katolickiego oczywiście. Tego nie przeskoczmy.

– Mogę wybrać? – Zenon był zaskoczony – A jak nie wybiorę, to co, aresztujecie mnie? – rzucił buńczucznie.

– Nikt do niczego pana nie będzie zmuszał. Przecież ma pan wolną wolę, wolny wybór. Ma pan całą wieczność na rozmyślanie. Dopóki się pan nie zdecyduje, będzie pan przebywał w miejscu nazwanym przez pana poczekalnią. Ten Francuz, którego pan widział, spaceruje już blisko czterysta lat tam i z powrotem, nie mogąc się zdecydować. Tutaj mamy mnóstwo czasu. Naprawdę mnóstwo.

Zenon się poddał. Nie odpowiedział już nic. Kiwał tylko głową, potakując, kiedy blondyna wyjaśniała, na czym polega cały system. Z niedowierzaniem słuchał, jak to wszystko wygląda. Dowiedział się, że może pójść do Nieba albo do Piekła – tak przynajmniej umownie nazwano światy, między którymi mógł wybierać, oczywiście po wcześniejszym obejrzeniu symulacji na ekranie w Sali Wyborów. Dał się tam

zaprowadzić niczym cielę na rzeź, za rękę – jak dziecko. Szedł posłusznie za dyspozytorką, ignorując jej ponętnie wypięte pośladki.

Na wielkim ekranie pojawiła się pierwsza prezentacja. Przyjemny głos lektora zachwalał zalety Nieba, a właściwie stan nirwany (tu spece od reklamy najwyraźniej byli niedouczeni w sprawach wiary katolickiej), który osiągały dusze zdecydowane być blisko Boga. Przed oczami Zenona ukazała się zielona przestrzeń przetykana kolorowym kwieciami, po której kroczyli ludzie w różnym wieku i różnej płci, odziani w białe szaty. Chodzili w kółko niczym stado baranów, śliniąc się i wydając dziwne odgłosy. Każdy sobie, każdy dla siebie – nieobecni jak cholerne zombie. Nie zwracali uwagi na to, że wypróżniają się w biegu, że depczą po sobie, że na siebie wpadają. Z autentycznym wyrazem szczęścia na twarzy przewracali się, wstawali. Niektórzy coś rysowali w powietrzu, inni obrzucali się kałem, oczy wszystkich jaśniały nieziemskim spokojem i szczęściem. Zenon oderwał wzrok od ekranu (przecież to istny dom naćpanych wariatów) i przełączył na kolejną prezentację. Z lotu ptaka ujrzał (swoją?) dzielnicę. Niczym satelita uzbrojony w soczewki zdolne przeświećlać ściany, oglądał życie codzienne mieszkańców osiedla. Ktoś akurat uprawiał seks na pierwszym piętrze w bloku nr 33, ktoś inny wyrzucał noworodka do ścieku, jakiś pijak leżał pod płotem, rzygając pod siebie, w pobliskim kościele dzwoniło na popołudniową mszę. Przetarł oczy i zanim się odwrócił, zarejestrował jeszcze, jak kilku małolatów okrada niebieskiego nissana, wąsaty facet okłada żonę gumowym węzłem, a mała dziewczynka, uśmiechnięta od ucha, do ucha przyjmuje z wdzięcznością batonik od obleśnie uśmiechniętego staruszka. Spojrzał na swą przewodniczkę zdumionym wzrokiem.

– To znaczy... – zająknął się. – Mam wybrać między tymi dwoma światami?

– Dokładnie tak. – Blondyna promieniała. – Jeżeli wybierzesz Niebo, będziesz trwał w wiecznym szczęściu...

– Chyba wegetował jak warzywo.

– Słucham?

– Nic, tak głośno myślę... (co za koszmar: albo lobotomia, albo cholerny powrót na stare śmieci, na zawsze!)

– ...a jeśli zdecydujesz się na Piekło, to opracujemy twój profil psychologiczny i odpowiednio wkomponujemy. Tak czy owak, wrócisz, skąd przybyłeś, tylko w innej roli.

– Czyli mogę być zarówno facetem piorącym żonę, jak i żoną?

– Dokładnie tak! – Blondyna była wyraźnie zadowolona. – Jeszcze tylko formularz zgłoszeniowy i gotowe.

– Kiedy ja jeszcze nie zdecydowa... – Zenon urwał w połowie zdania, gdy zobaczył nagłówek formularza. – Zaraz, zaraz ja nie nazywam się Kotlarski tylko Kotłowski.

– Panie Kotlarski! Jest pan z nami?!?

– Yyee, yyy (Kotłowski, kurwa, czy wy się nigdy nie nauczyacie poprawnie czytać?).

– Ooo, obudził się pan. – Lekarz ostrego dyżuru na oddziale neurologii był szczerze zachwycony. – Ale nas pan nastraszył.

– Nazywam się Kotłowski, KOTŁOWSKI!!!

– Przepraszam najmocniej, w pośpiechu pielęgniarka źle wypisała kartę, wie pan, leży tu u nas na oddziale Kotlarski i też Zenon.

– Niech to pan natychmiast poprawi, NATYCHMIAST!

– Już dobrze, dobrze, już poprawiam. A my tu myśleliśmy, że pan doznał rozległego udaru.

– Udaru?

– Tak, wszystkie symptomy na to wskazywały, ale już pan jest z nami, tomografia czysta, tylko niech się pan tak nie denerwuje. Potężne skoki ciśnienia bywają zabójcze.

Podczas gdy lekarz z rozanielonym wyrazem twarzy poprawiał nazwisko na karcie pacjenta, Zenon powoli się uspokajał. Zastanawiał się, dlaczego to takie ważne z tym nazwiskiem (przecież przed chwilą jeszcze wiedział), dlaczego wrzeszczał na lekarza i jak się tu znalazł. Pamiętał, że był na spacerze (jakaś ponętna blondyna z wielkimi cyckami... Tak, na pewno z nią rozmawiał... tylko o czym?), a potem film mu się urwał. Natłok myśli brutalnie przerwał krzyk nadbiegającej pielęgniarki oddziałowej.

– Panie doktorze! Kotłowski ma udar! Szybko, na salę! – Pielęgniarka, dysząc jak parowóz, odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem.

– Kotlarski, nie Kotłowski – rzucił lekarz w kierunku Zenona, jednocześnie puszczając mu „oko” i potruchtał za pielęgniarką.

Dwie godziny później postawny salowy wiózł Zenona długim korytarzem na wózku do wyjścia. Mężczyzna wciąż trajkotał o tym, jakie niedogodności stwarza fakt remontu głównego wejścia do szpitala i dlaczego muszą jechać okrężną drogą przez nieszczęsny oddział psychiatryczny. Zenon, dzierżąc w dłoni plik dokumentów szpitalnych z potwierdzonym wypisem, nieco sfrustrowany faktem, że musi jechać na wózku (co za głupie przepisy, żeby zdrowego faceta tak wozić jak kalekę) rozglądał się, bacznie obserwując mijane pomieszczenia. Ot, zwyczajne sale wypełnione postaciami w białych, szpitalnych uniformach, leniwie snującymi się z kąta w kąt. Jednak, kiedy mijali świetlicę, gdzie po zielonej wykładzinie upstrzonej kolorowymi ciapkami krążyło kilkanaście osób, drepcząc w kółeczko jedna za drugą, zatrzymał wzrok na dłużej. Odnosił wrażenie, że ta gromada śliniących się i porykujących istot tak naprawdę jest zupełnie gdzie indziej, w miejscu bardzo odległym i przyjemnym. Ich oblicza przepełnione były radością i błogim szczęściem, natomiast twarz długowłosego mężczyzny, który przewodził (swojej?) trzódce, zdawała się Zenonowi znajoma, jakby już gdzieś ją widział.

– No to wraca pan do żywych? – zażartował salowy, rechocząc na całe gardło.

– Nie da się ukryć. Życie jest jedno, trzeba się nim cieszyć – odparł grzecznie Zenon i ściskając rękę salowemu, podźwignął się z wózka.

Wyszedł wprost w objęcia czerwcowego popołudnia. Odetchnął pełną piersią, rozejrzał się i uznał pierwszy raz w życiu, że jest naprawdę szczęśliwy.

Wiało, a chmury miały kolor purpury dziecięcych lizaków.

UKŁAD

Dla Pawła

Kiedy cierpisz na chroniczny brak mamony, a życie komplikujesz sobie w nie do końca przemyślany na zimno sposób, chwytasz się brzytwy. Jeśli jesteś przy okazji wystarczająco cwany, łapiesz za rękojeść; ostrze pozwalasz trzymać frajerowi, choć ten do końca będzie przekonany, że rozdaje karty. A ja muszę wyrwać się z miasta, porzucić ten egzystencjalny syf i syfiaste towarzystwo, zadbać, by zbyt wcześnie nie odkopano zwłok mojej ślubnej, której niegdyś powabna powłoka odżywia teraz kolonię kolorowych bratków w przydomowym ogródku. Puściła się suka i zaciążyła. Próbowwała mi wmówić, że bachor jest mój, ale ja nie miałem złudzeń, kto go spłodził. Ponoć wszystkie dzieci zaraz po urodzeniu mają twarze swoich ojców. Takie prawo natury – swojego nie zabijesz. A ja tę mordę rozpoznałem od razu. Resztę ochoczo wyśpiewała panna puszczańska; trudno jest kłamać, kiedy przed oczami ma się posyjący jak wąż i gorący jak piekło płomień acetylenowego palnika.

Dużo o tym wszystkim myślałem i w końcu wpadłem na sensowny pomysł, jak załatwić sprawę tego wiecznie ryczącego i zasranego kawałka mięsa. I pieniędzy. Bez dwunastu kafli nie ruszę się z miejsca. Tyle mi trzeba – na nowe papiery i nowy adres w jakiejś zapomnianej przez Boga dziurze, gdzie nawet diabeł bałby się pokazać.

– Czego się boisz? – rzucam w twarz Kalafiorowi. – Układ jest prosty, pożyczasz mi dwa kafle do soboty. Oddaję trzy.

Kalafior patrzy na mnie z prawdziwie chrystusową udręką wymalowaną na pokiereszowanej życiem facjacie. Marszczy nos, który wygląda jak zszyty z trzech niedopasowanych do siebie ochłapów mięsa; to właśnie jemu ten mafijny cyngiel zawdzięcza prawdziwie mafijną ksywkę. Chłop jest wielki jak czołg, a jego dłonie przypominają szczypcy kraba; w obyciu przyjemny jak kacowy stolec, wrażliwością dorównuje żerującej hienie. Ale ma też swoje zalety. Jest prosty w obsłudze jak budowa cepa i przewidywalny jak pijacki paw po zapiciu wody mlekiem. Zwłaszcza jeśli podpuścić go do jakiejś hazardowej szarady.

– A jak nie oddasz?

Wyczuwam w jego głosie tę specyficzną nutkę nadziei, że nie uda mi się spłacić długu. Drań po prostu to lubi. Uwielbia sprawiać ludziom ból, nawet jeśli nie jest w stanie odzyskać pożyczonych na lichwiarski procent pieniędzy. Zazwyczaj jednak wygrywa podwójnie – maltretowany tygodniami dłużnik w końcu zdobywa kasę, a Kalafior nie dość, że ma okazję, by dać upust sadystycznym żądom, bogaci się w zastraszającym tempie. Ten podły brzydal jest też niestety jedynym dostępnym w okolicy, zawsze pewnym źródłem szybkiej kasy. Bez zadawania pytań, bez zbędnego pieprzenia.

– Przecież mnie znasz, jak mówię, że oddam, to oddam – droczę się z nim z premedytacją. – Nie bądź pizdą i wyskakuj z drobniaków. – Doskonale wiem, co zaraz powie.

– Drobniaki czy nie, zastaw musi być. – W jego oczach zapalają się ogniki morderczej namiętności. – I dobrze wiesz, o jaki zastaw mi chodzi.

– Wiem, ty sadystyczna świnió. Rzepka. Przestrzelisz mi rzepekę w kolanie, jeśli nie dotrzymam terminu. – Twarz Kalafiora robi się niemal przystojna, gdy ubiera ją w uśmiech bezgranicznego szczęścia. Nie mam złudzeń, że będzie wręcz marzył, bym nie uregulował zaległości na czas. Trudno wyczuć, co go bardziej rajcuje: strzelanie ludziom w kolana czy dreszczyk emocji związany z kuriozalnymi zasadami lichwy. Postanawiam podbić stawkę. Koleś raz złapany w tryby hazardu zawsze da się urobić wizją wyższej wygranej. – Albo jeszcze lepiej. Jeżeli nie zdołam cię spłacić do soboty, będziesz mógł przestrzelić obie rzepekę w kolanach mojego bachora.

– Jezu! Jesteś bez serca! – wykrzykuje niby w przypływie oburzenia. Tylko ja wiem jak bardzo nienawidzi dzieci. – Przecież to jeszcze osesek!

– Nie przesadzajmy. Trzy miesiące to już kawał chłopca. Zresztą obaj wiemy, że im młodsze, jak to pięknie ujmujesz, formy niedojrzałe, tym większe obrzydzenie w tobie budzą.

– Ale to przecież twoja krew... – Teraz oczy Kalafiora płoną pożądaniem już na całego.

– Tym większe emocje, nieprawdaż?

– Gdzie tkwi haczyk?

– Mały zakładzik, żebyśmy nie był stratny, przynajmniej w teorii.

– Tylko żadnych kombinacji! – Kalafior nabiera rumieńców, strzela nerwowo palcami. – Żebyś się nie wycwanił jak z tym winem.

Do dzisiaj nie potrafi zapomnieć tej stówki, którą od niego wygrałem w głupim i starym barowym zakładzie. Nie chciał mi uwierzyć, że potrafię napić się wina z butelki bez jej odkorkowywania. Naprawdę każdy choć trochę ogarnięty człowiek mógł rozszyfrować podstęp. Wystarczy zamkniętą butelczynę wina odwrócić do góry dnem, a następnie w jego wgłębienie nalać odrobinę trunku z innej flaszki bądź kieliszka i wypić.

– Rzepekę kolanową to nie wino. Proponuję taki układ: jeśli nie będę w stanie spłacić długu na czas, możesz przestrzelić rzepekę kolanową mojego trzymiesięcznego syna, jednak jeśli nie trafisz, anulujesz dług i dorzucasz dychę. Stoi?

– Dziesięć kawałków? Ty chyba ocipiałeś!

– Pamiętasz? Mój syn, moja krew, kalectwo do końca życia. – Kalafior myśli tak intensywnie, że ból tego skomplikowanego procesu odbija się na całej jego zeszywniałej sylwetce. – No i czym ryzykujesz? Nie trafisz w rzepekę?

– Sobota, ta za trzy dni, mój gnat, moje pestki, walę z dowolnej odległości – upewnia się gorączkowo.

– Tak, ta sobota, twoja broń i amunicja, możesz strzelać choćby z przyłożenia. Deal?

– Deal!

Kiedy przyklepujemy transakcję uściskiem dłoni, jestem pewien, że rozporek Kalafiora rozpiera potężny wzwód. Nie zamierzam jednak sprawdzać tego faktu naocznie.

Dzień wypłaty, to dzień niewątpliwie przyjemny. Jeśli dorzucić do puli odrobinę zemsty, staje się wręcz niebiański. Mało dyskretny łomot do frontowych drzwi sprawia, że zalewa mnie fala rozkosznego ciepła.

– Jest sobota, samo południe, a ty wisisz mi trzy kafle albo rzepekę kolanową twojego dzieciaka. – Kalafior recytuje te słowa z należytą mafijnym cynglom powagą. – Żadnych sztuczek. Umowa to umowa.

– Nie mam kasy – oznajmiam krótko. – Mój syn jest do twojej dyspozycji – dodaję grobowym głosem i wskazuję kojec. – A ty masz moją dychę? Umowa to umowa.

Kalafior krzywi się z niesmakiem. Wszyscy przecież wiedzą, że zawsze dotrzymuje słowa. Wyciąga wypchaną kopertę i rzuca na blat stołu, potem dobywa swojej wysłużonej beretty, podchodzi do kojca, chwytając opatulone becikami niemowlę i układa na stole tuż obok pękatej koperty. Sprawdza magazynek, przeładowuje, przykładając lufę do małego kolanka i pociąga za spust. Zanim berbecz zdąży rozdrzeć się na całe gardło, pada drugi strzał, również z przyłożenia.

Właśnie stałem się bogatszy o dwanaście tysięcy.

Do Kalafiora ten fakt dociera chwilę później, gdy wręczam mu podręcznik dla studentów medycyny. Czyta zaznaczony na czerwono akapit w jednym z rozdziałów poświęconych pediatrii, a jego smutniejąca w zastraszającym tempie twarz wydaje się jeszcze bardziej zabawna, niż wtedy, gdy przegrał barowy zakład.

Akapit brzmi: „Dzieci rodzą się bez rzepek kolanowych. Wykształcają je dopiero około drugiego roku życia”.

Łapię kopertę, wsuwam za pazuchę i zmywam się w pośpiechu. Zastanawiam się nad miną Kalafiora, kiedy przyjrzy się dzieciakowi z bliska, zwłaszcza jego paskudnej mordce. Nie sposób nie dostrzec tak szkaradnego podobieństwa.

NA ZIARNKU GROCHU

Dla Franka

Jak co dzień rano, zaraz po przebudzeniu z krzepiącego snu, spędzam czterdzieści pięć minut klęcząc na grochu. Ten zwyczaj towarzyszy mi nieprzerwanie od ponad siedemdziesięciu lat. Od kiedy tylko potrafię sięgnąć już nieco szwankującą pamięcią, klęczenie na wysypanej w kącie kupce grochowych ziarenek stanowiło pewien constans, nieodłączną tradycję, z czasem ewoluującą do miana wewnętrznego przymusu na granicy nerwicy natręctw. Swój pierwszy raz pamiętam mgliście i właściwie bardziej czuję, niż widzę. Musiało to być jakoś między drugim a trzecim rokiem życia. Strasznie nie smakował mi owocowy przecier, niemiłosiernie kwaśny, ładowany w moje usta z szybkością co najmniej trzykrotnie przekraczającą możliwości połykania i w pewnej chwili ośmieliłem się zachłysnąć i opluć mamę, a właściwie jej białą bluzkę. Mama jak zawsze każdym problemem dzieliła się z ojcem, a ten każdą swoją decyzję konsultował z Bogiem, a tak naprawdę z obrazem Miłosierdzia Bożego, zajmującym prawie całą ścianę w pokoju gościnnym. Tego dnia zniechęciłem ów obraz, który najpierw polecił mojemu tacie wysypać w kącie, obok straszego malowidła Czarnej Madonny, garść bladozielonych, twardych kulek, potem zaprowadzić mnie na miejsce kaźni za wykręconą pod dziwnym kątem rączkę, by w końcu kazać na nich uklęknąć. W klęczeniu miałem nieliczną wprawę. Każdy wieczór kończył się na klęczniku przy moim łóżeczku, gdzie miałem okazję recytować wymyślone przez siebie modlitwy. Czasami tylko, jak się pogubiłem i nie byłem w stanie nic więcej z siebie wydusić ku chwale Najwyższego, dostawałem mokrą szmatą przez gołe plecy i natychmiast wszystko mi się przypominało. Dlatego teraz, gdy z osobistego polecenia Jezusa, strzelającego z obrazu w kierunku ludzi kolorowymi promieniami, miałem klęczeć w kącie na ziarenkach, nie widziałem w tym nic groźnego ani straszego, choć mina taty takie przeżycia zwiastowała. Dopiero, gdy poczułem całym ciężarem swojego wyposzczonego ciała, co znaczą twarde kulki wbijające się w kolana, zrozumiałem, jak poważnym przewinieniem jest wyplucie przecieru na mamę. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak bardzo kochający dzieci Pan Jezus kazał ojcu ukarać mnie w ten sposób, ani dlaczego brudna bluzka mamy ma coś wspólnego z Synem Bożym. Zrozumiałem po dwudziestu minutach, kiedy kara dobiegła końca, a ja po raz pierwszy w życiu wiedziałem, jakie to straszne być sparalizowanym od pasa w dół. Brak czucia w nogach, nie wliczając lekkiego mrowienia w palcach stóp, był o wiele bardziej przerażający niż nieznośny ból powodowany przez obrzydliwe zielonkawe kulki. Bluzka, którą ośmieliłem się zbeczczyć mieszanką zielonej papki o smaku tartych jabłek i soków trawiennych o smaku soków trawiennych należała do tych odświętnych, kościółkowych. Nic więc dziwnego, że kara była surowa. Od tego pamiętnego dnia uwielbiałem i lubię do dzisiaj dwie rzeczy. Spożywać zielony groszek w ilościach hurtowych (najlepiej smakuje mi zmiażdżony widelcem na talerzu lub zmiksowany blenderem) oraz pluć na obraz, ewentualnie okładać go mokrą szmatą. Tak gwoli prawdy, to nienawiść do obrazu i akty zemsty na nim dokonywane, pojawiły się nieco później. Otóż odkryłem, że moje modlitwy i błagania o darowanie tego rodzaju kary, objawianej mojemu ojcu codziennie przez postać z malowidła, jak

i o wszystko pozostałe, choćby o prezenty pod choinkę inne niż różga i gryzące wełniane sweterki obowiązkowo noszone na gołą skórę, nie odnoszą żadnego skutku. Ponieważ nieprzespane noce spędzone na klęczniku z koronkami, nowennami, litaniami i godzinkami na ustach również nie dawały żadnego efektu, stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że Jezus mnie nie lubi, a wręcz podejrzewałem, że ma jakiś układ z moim tatą. W akcie desperacji próbowałem nawet składać ofiary rytualne celem przebłagania, wręcz przeciągnięcia złośliwego Boga na moją stronę. Nie pomagało wrywanie skrzydełek owadom, miażdżenie główek żabom za pomocą obcęgów ukradzionych z ojcowego schowka na narzędzia, duszenie kanarka dymem z palącej się kliszy fotograficznej, która umieszczona w plastikowej foremce z przeciągniętym sznurkiem udawała kadzidło, używane przez księży w kościele. Po tych wszystkich bezskutecznych próbach zjednania sobie łaski Pańskiej, kończących się zawsze tak samo: w kącie na klęczkach, mokrą szmatą, różgą, niekiedy zwykłym, nie noszącym żadnych znamion sakralności wojskowym pasem, dałem w końcu spokój i zacząłem regularną wojnę z obrazem-wyrocznią. Gdy tylko zostawałem sam, plułem na niego, celując w twarz, okładałem mokrą szmatą, wbijałem szpilki w kolana, czasami udawało mi się odchylić nieco monstrum od ściany i od zaplecza wycierałem gluty, niekiedy wcierałem mieszankę soli i pieprzu w miejsce, gdzie – moim zdaniem – nie powinno się niczego wcierać. Z radością wyobrażałem sobie, jak bardzo musi go TAM palić. Zastanawiało mnie tylko, dlaczego o tym nie mówi w codziennych konwersacjach z moim ojcem. Przyszło mi do głowy, że może postaci z obrazów przewrotnie lubią takie rzeczy, a może to, co dla mnie jest karą, dla nich jest pieszczotą.

Nie miałem zbyt dużo czasu, by się nad tym zastanawiać, bo już po kilku dniach wpadłem. Jak co dzień „pieściłem” obraz, korzystając z całego dotychczasowego arsenału pomysłów i środków, nie zdając sobie sprawy, że za plecami stoi tato i cierpliwie się wszystkiemu przygląda, nie wiedząc czemu, nie będąc w pracy. Ten dzień też mocno wbił się w moją pamięć. Klęczałem na grochu tak długo, że zasnąłem w nieszczęsnym kącie, nie czując ciała, oprócz górnej części twarzy, a dokładnie czoła, z którego nadal docierał upierdliwy, swędzący ból od korony cierniowej, uplecionej przez tatę z różanych gałązek, specjalnie na potrzeby dzisiejszej kary. Piekło również to miejsce, w które jednak nie należy wcierać żrąco-ściernych przypraw – nikt mi nie wmówi, że można to polubić. Nie muszę chyba nadmieniać, że rytuał pokuty za grzechy zaczął się od biczowania mokrym skórzanym rzemieniem, by potem przejść w całą drogę krzyżową, odgrywaną ze szczegółami opisanymi w Wielkiej Księdze, z tym wyjątkiem, że nie skończyło się przybijaniem do krzyża, czego strasznie się obawiałem. Nie to jednak było powodem ostatecznego wrycia się tego dnia w mój obszar mózgu odpowiedzialny za pamięć. Był to ostatni dzień, w którym widziałem ojca, a przynajmniej tak mi wszyscy wmawiali. Gdy obudziłem się następnego ranka w pozycji pokutno-modlitewnej, znieczulony i ścierpnięty, weszła mama, wzięła mnie na rękę i zniosła do łóżka w rodzicielskiej sypialni, ułożyła w pachnących piernatach i oznajmiła swoim zdawkowym „zamieć pod dywan i siedź cicho” głosem, że tato zniknął i więcej nie wróci. Nawet nie kryłem radości i na swoje nieszczęście zapytałem, czy wziął ze sobą ten głupi obraz, co poskutkowało natychmiastowym plaśnięciem matczynej dłoni na moich na szczęście jeszcze odrętwiałych plecach.

Jednak Bóg poniekąd wysłuchał moich żarliwych modłów. Co prawda modliłem się o to, żeby tato się zmienił, a nie zniknął, ale skutek był o niebo lepszy. Za żadną cholere nie mogłem sobie przypomnieć, której to sekwencji modlitw czy złożonych ofiar mogłem zawdzięczać ten niebywały prezent od miłosiernego Jezusa. Przestało mnie to męczyć z chwilą odkrycia, że na połowie łóżka, które jeszcze wczoraj zajmował tato, leży ziarenko grochu. Skrętnie je ukryłem w kieszonce spodenek, a potem przemyciłem do swojego pokoju i ukryłem pod ruchomą klepką w parkiecie. Tam trzymałem swoje największe skarby, łącznie z zasuszonymi truchłami niegdysiejszych ofiar rytualnych.

Przez lata spekulowano, kombinowano, tworzono i dorabiano teorie na temat zniknięcia ojca. Od ucieczki z kochanką, przez samobójstwo, do morderstwa, którego to niby moja mama miała się dopuścić. Ja wiedziałem swoje. Miłosierny Jezus dosłownie wysłuchał moich modłów. Zmienił tatę... w ziarnko grochu. Od tej pory, najpierw co jakiś czas, a później codziennie, klęczałem na grochu w ramach własnego widzimi się, nie za karę, tylko dla relaksu, no i może trochę w akcie zemsty. Oczywiście z największą siłą naciskałem kolanem na to jedno, znalezione w łóżku ziarenko – na mojego tatę.

ZACHOWAĆ TWARZ

Nienawidzę kłamców. Jeszcze bardziej sytuacji, kiedy tracę twarz w oczach innych, podejrzewany o mijanie się z prawdą. O prawdziwy ból zębów przyprawia mnie jednak mariaż łgarstwa z frajerstwem. Blagier-frajer to najgorszy typ kłamcy. To mitoman, który manipuluje rzeczywistością, tylko po to, by, ukrywając własną niekompetencję, zachować pozory wiarygodności. Ot, zwykły nieudacznik. Sama myśl, że mógłbym zostać posądzony o łże-frajerstwo spędza mi sen z powiek, zatruwa życie, czasem nawet wywołuje niekontrolowane ataki paniki połączone z hiperwentylacją.

Ostatnio pokłóciłem się z żoną, gwoli ścisłości – kobietą, z którą od dekady dzielę stół i łóżko, w związku zwanym potocznie konkubinatem. Wiecie, jak to jest. Brak komunikacji podniesiony do rangi podręcznikowej patologii. Ona mówi, ja nie słucham, potem ona się wścieka, że nie reaguję, odwiedzając mi się jednocześnie takim samym brakiem uwagi. Ja się odchudzam, ona znosi do domu kremówki i moje ulubione pączki, ona farbuje włosy, ja nawet tego nie zauważam. Takie drobiazgi się mnożą, żerują cierpliwie na zranionym ego, aż w końcu następuje kulminacja i przy okazji pozornie błahego powodu dochodzą do głosu przeraźliwym wyciem.

Ranek, choć od początku pachniał porażką na całej linii, od przypalonego tosta począwszy, na zimnej kawie bez mleka skończywszy, nie zwiastował jednak gwałtownych wydarzeń, które miały nastąpić. I pewnie cała sprawa miałaby zupełnie inny finał, gdyby ten rozczochrany rudzielec bez krzty makijażu na wymiętej twarzy nie nazwał mnie kłamcą.

Nawet nie pamiętam, w związku z czym zarzuciła mi haniebne oszustwo, niemniej jej czerwone usta, ułożone w szyderczy dzióbek, wymawiające TO SŁOWO pod moim adresem, przepaliły bezpiecznik w nadwyreżowanej latami łepetynie. Nie siliłem się na pośpiech, tym bardziej jakikolwiek komentarz. Powoli odsunąłem krzesło, wstałem od stołu, zrobiłem dwa pewne kroki w kierunku wciąż zastygłego w szyderczym grymasie dzióbka i z całej siły złapałem za niegdyś wąż i powabną szyję. Jak ścisnąłem, tak trzymałem, dopóki, po kilku nieudanych próbach obrony, całkiem nie zwiotczała.

Kiedy do mnie dotarło, co zrobiłem, było już za późno. Rudzielec leżał na podłodze jak worek zeszlórocznych kartofli; „szyderczy dzióbek” zastąpił tragikomiczny uśmiech ropuchy, zwieńczony nabrzmiąłym, sinym jęzorem wywalonym na bluźniercze wargi. Z groteskowo wytrzeszczonych, szklistych oczu nie wyczytałem słowa przepraszam.

Ostatnią rzeczą, jakiej bym się dopuścił, byłoby ukrywanie faktu dokonania morderstwa. Przecież nie skalałbym się kłamstwem, gdyby ktoś zapytał, gdzie to się podziewa moja druga połówka. Postanowiłem spełnić swój obywatelski obowiązek i wykonać telefon na policję.

- Policja, słucham – zachrypiało w słuchawce.
- Uduśliem żo... – W ostatniej chwili ugryzłem się w język. – Konkubinę!
- Proszę powtórzyć!
- Uduśliem konkubinę! – potwierdziłem bez chwili wahania. O mały włos nie zostałem wierutnym oszustem, twierdząc, że uduśliem ŻONĘ.
- Nazwisko i adres – padło lakonicznie.

– Sołtysik, Kasprowi...

Straszliwy charkot dobiegał spod stołu. Ta nędzna dziwka najwyraźniej musiała dopiąć swego. Sprawić, bym wyszedł na ściemniacza i lawiranta. Przecież już zgłosiłem, że ją udusiłem, a ta w najlepsze zmartwychwstaje. Od początku udawała, jęcza.

– Halo! Jest pan tam?! – wydzieriała się słuchawka.

– Chwileczkę... – syknąłem wściekły.

Zawinąłem słuchawkę w sweter, żeby wygłuszyć rzeźnię nikczemnej kłamczuchy i w pośpiechu dokończyłem dzieła, dodatkowo tłukąc rudym łbem o kuchenną posadzkę, dopóki krwawo-szara breja nie zabarwiła podłogowych paneli.

– Kasprowicza 23 – dokończyłem i odłożyłem słuchawkę na widełki.

W spokoju, przy otwartych drzwiach do mieszkania, oczekiwałem przyjazdu służb mundurowych.

Żywiłem nadzieję, że przyczyną zgonu okaże się uduszenie, a nie uraz mózgowo-czaszkowy. Naprawdę nie zniósłbym posądzenia o matactwo.

Musicie przyznać, że czasem nie jest łatwo zachować twarz w świecie kłamstwa i obłudy.

O, LORD

Od rana zdycham ze strachu. Ten krwawy kawałek czegoś, uczepiony w głębinie sracza tuż na granicy z rurą kanalizacyjną, nie daje mi spokoju. Dzisiejszej defekacji nie zaliczam do zbyt przyjemnej, lecz to coś, mały kawałek koloru świeżego buraka na dnie muszli na pewno nie jest tym, czego się po dzisiejszym sraniu spodziewałem. Hemoroidy bym poczuł. To niewątpliwie krwawienie z przewodu pokarmowego, a przynajmniej tak twierdzi wujek Google. Niedobrze. Dzwonię do przychodni umówić wizytę. Po dwóch awanturach przez telefon i jednej już na miejscu dostaję skierowanie do szpitala. Na hasło „krwawy stolec” od ręki idę na gastroskopię. Połykam giętką rurę, by powstrzymać pawia skupiam się na cyckach asystentki. Przypominam sobie scenę z filmu *Wielkie żarcie*, kiedy to jakaś panienka wnosi na tacy drżący pudding w kształcie piersi, a następnie karmi nim cukrzyka na granicy zapaści. A jakby tak prawdziwie oberznąć i podać na tacy w krwawym sosie kałowym? Zachłystuję się śliną. Ze śmiechu.

Wyjmują mi węża z bebechów, a zaraz potem dowiaduję się, że jadę na „kolo”. U góry wszystko w porządku, teraz od dupy strony. Nie czuję gardła znieczulonego lignokainą i rozmyślam nad tym, czy z dupą będzie tak samo. W połowie przygotowań do zabiegu nagle doznaję olśnienia. Przecież ta siksa, co ją wczoraj przywlokłem do domu, coś głądziła o tym, że ma ciotę. Pewnie wrzuciła idiotka tampon albo podpaskę do sracza i kawałek utknął w rurze. Dostanie za swoje. I za to, że kłamała odnośnie wieku. Osiemnaście to będzie miała za trzy, cztery lata. Głupia smarkuła i tak nie doczeka.

Korzystam ze szpitalnej toalety. Na lewatywę jeszcze się załapałem. Sprawdzam klocka, papier. Zero śladów krwi. Obsmarowuję boczną ścianę kabiny, palcem kaligrafując podobiznę penisa.

Wchodzę nieśpiesznie do domu. Mam ochotę ukarać małolatę. Szkoda, że nie mogę jej wskrzesić. Otwieram powoli wersalkę i wyciągam dolną część korpusu. Górna rozpuszcza się od kilku godzin w blaszanej balii w piwnicy. Zauważam, że w dolnych partiach również jest blondynką. Natychmiast twardnieję. Gwałcę ją w odbyt. Częściowo za karę, częściowo, by uszanować sacrum miesiączki. Cholera, żebym tak mógł ją ożywić i jeszcze raz udusić. Chociaż nie. Gdybym wiedział, jaki los mi zgotuje, jakie męki gastrologiczne... Jaki lęk o zdrowie. Różałbym piłą na żywca, ewentualnie trochę zmiękczył ługiem.

Wrzucam bezużyteczny już pół-korpus do balii. Do jutra nie będzie śladu.

Patrę na obraz Miłosierdzia Bożego, wiszący krzywo na poźółkłej od nikotyny ścianie. Dlaczego uznałem za dowcipne domalowanie do twarzy Jezusa czarnej maski i zastąpienie napisu „Jezu ufam Tobie” inskrypcją „Star Wars – Mroczne widmo”? Nie wiem. Przecież to jedyna pamiątka po rodzicach i jedyny świadek ich męczeńskiej śmierci po wypiciu udrażniacza do rur, którym namiętnie słodzili sobie herbatę. Biała śmierć. Coś w tym jest.

Otwieram piwo. Sprawdzam plan zajęć pobliskiego gimnazjum. Żeby życie miało smaczek, raz dziewczyna raz... Przepijam do obrazu. Z radia sączy się gospel. „O Lord, my Lord”... Puszczam oko do mojego Lorda. Zdrówko.

TO ZAWSZE BĘDZIESZ TY

Wnętrze kaplicy krematoryjnej jest przeraźliwie sterylne, bezduszenie obojętne wobec rozpacz. W osamotnionej ławce z przodu stoi pochylony wysoki mężczyzna. Ma szarą twarz, a ciemne włosy przetykane srebrnymi nićmi pierwszej siwizny. Zazwyczaj silny, teraz załamany – jedyna postać poza ostentacyjnie nieczułym księdzem, recytującym modlitwy tak, jakby wcześniej umówił się na ważne spotkanie; jak gdyby ta posługa była dlań niemożliwą do uniknięcia przykrością, której końca nie może się doczekać. Nieliczni żałobnicy niepokoją się. Może mają ochotę na papierosa? Ukradkiem spoglądają na zegarki, aż wreszcie któryś z nich głośno kaszle, co zapewne ma być sygnałem zniecierpliwienia adresowanym do duchownego. Przyszli tu przecież wyłącznie z ciekawości. Nikt tak naprawdę nie znał ani przedwcześnie zmarłej kobiety, ani jej męża pogrążonego w smutku.

Zimny, choć skąpany w ciepłym blasku, jesienny dzień. Na zewnątrz betonowe ścieżki pokryte opadłymi liśćmi; promienie słońca wpadają przez wielkie okna, igrając na błyszczącej trumnie. Pawła Ostrowskiego dopada nagły przypływ oburzenia: w całej tej uroczystości nie ma ani krzty uczuć – prócz jego własnych. Dla innych jest to tylko rutyna, interes, sposób zarobienia pieniędzy na cudzym nieszczęściu. Kilkadziesiąt minut – i to wszystko. Na zewnątrz czeka kolejny orszak, słyhać czyjś szloch. Następna śmierć; i jeszcze jedna. Proszę zająć miejsce w kolejce.

Nie jest człowiekiem religijnym, w przeciwieństwie do mieszkańców Baranowa – małego miasteczka zapomnianego przez świat – ale w jego przekonaniu pogrzeby kościelne mają zazwyczaj pewien rodzaj dostojności, którego tutaj ewidentnie brakuje. Czuje się tam czyjaś troskę, choć być może to jedynie kwestia lepszego aktorstwa. Nie pogania się nikogo, pozwala do woli wyżalić, a gdy ciało zostanie już pogrzebane – coś zostaje. To tylko grób, ale można tam chodzić, opiekować się nim, uronić parę łez. Tutaj nie zostawało nic – ot, podpisana kasetka z popiołami, które trzeba najpierw zabrać i potem gdzieś rozsypać. Popioły do popiołów, proch do prochu. Wiatr i deszcz zetrą wszystkie ślady. Magda odeszła na zawsze.

Tydzień temu kochali się, zaraz po lunchu, podczas jego przerwy w dyżurze. Czasem odwiedzała go w małym szpitalu leżącym na obrzeżach miasta, gdzie postanowił się zatrudnić, zmęczony wielkomięskim życiem. Beztroski akt, bardziej chyba fizyczny niż emocjonalny. Najwyraźniej oboje tego potrzebowali. Zrobili to na sofie w ciasnym pomieszczeniu socjalnym, ignorując dzwonki pagera i pukanie do drzwi. Potem ubrali się pospiesznie. Pożądanie zostało zaspokojone. On wyszedł przewietrzyć umysł przed kolejną operacją wyrostka – największym wyzwaniem lokalnej chirurgii, a ona wzięwszy jego civic, pojechała do miasta po kawę. Robiąc ostatnio tygodniowe zakupy najzwyczajniej o niej zapomniała. Mogliby przecież pić herbatę albo on nadrobiłby drogi i zahaczył o stację benzynową. Naprawdę nie było powodu, żeby jechała. O Boże, gdyby stało się inaczej! Gdyby nie ten pośpiech, potrzeba wykorzystania każdej minuty z zaplanowanego urlopu. Tydzień miał być tylko dla nich, w malowniczej drewnianej willi, ukrytej na granicy lasu przed wszechobecną cywilizacją. Niedawno ją kupili, pozbywszy się oszczędności życia. Ona mogła pisać w prawdziwym gabinecie z wielkim biurkiem

i biblioteką, on oddać się pasji majsterkowania w przygotowanej do tego celu piwnicy. Zawsze o tym marzyli.

Wąska, kręta droga – jedyna nitka łącząca szpital z pobliskim miastem. Każdy, kto jedzie tędy szybciej niż pięćdziesiątką, jest głupcem. A dzieciak sołtysa był głupcem, prowadząc volvo swojego ojca grubo ponad osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Stało się to na zakręcie, tuż za kapliczką, zawsze oświetloną, zbawienną w nocy zwłaszcza dla obcych kierowców. Magda zginęła na miejscu; trzeba było ciąć blachę, żeby wydostać jej ciało – idealnie przepołowione na wysokości talii impetem zderzenia. Młody Cholewa uderzył się w głowę. Zabrano go do szpitala, a jakże – najbliższego. Paweł osobiście zszywał mu rozcięte czoło, nie zdając sobie sprawy, że opatruje mordercę własnej żony. Chłopak wyszedł stamtąd jeszcze tego samego dnia. Jego volvo wymagało niewielkiej naprawy. Za tydzień lub dwa gówniarz będzie znowu szalał po drogach. Niewinny zginął, a winny żyje – zawsze tak było.

Ostrowski zastanawia się przez moment, czy rodzina byłaby dla niego pociechą w tym okropnym dniu. Nie dzieci – on i Magda nie chcieli dzieci – może rodzice albo teściowie. Żadne z nich jednak nie miało żyjących rodziców ani braci, ani sióstr. Magda miała tylko daleką kuzynkę, od której nie dostali nawet kartki na Boże Narodzenie. Oczywiście nie zadała sobie również trudu, żeby się pokazać na pogrzebie. Był sam.

Zapada cisza, zabierają trumnę. Koniec przedstawienia. Grabarze pracują, nie ukrywając pośpiechu. Zerkają wymownie, jakby chcieli powiedzieć: „No ruszaj się pan, idź już, nie mamy tyle czasu, inni czekają”. Paweł nie ukrywa gniewnego spojrzenia. *Pijackie skurwysyny* – myśli – *będę tu stał, jak długo zapragnę*.

Idzie powoli, jakby jego ciało nagle sparaliżował artretyzm. Wychodzi na zewnątrz. Liście wirują wokół stóp, jak gdyby chciały go zatrzymać, gdy podąża w stronę parkingu. Ma kłopot z odnalezieniem auta, choć stoi dokładnie naprzeciw. Jakaś psychiczna blokada nie pozwala połączyć znajomych rysów własności ze zdezelowanym landroverem. Podświadomie szuka czerwonego civic, nie mogąc uwierzyć, że ten samochód również odszedł na zawsze. Razem z Magdą.

Przekręca kluczyk w stacyjce. Dieslowski silnik dwukrotnie się krztusi, zanim w końcu złapie miarowe obroty. Świeży powiew wiatru niesie chmurę czarnych spalin w kierunku kaplicy. Przez głowę przebiegają szybkie myśli; jedna z nich bardzo niepokojąca: czy spalili ciało od razu po obrzędzie, czy później? Dręczy go też kwestia: czy na pewno wziął właściwe prochy? Nikt zbytnio się o to nie troszczył. Nikt nie mógł być pewny. Ale czy to ma znaczenie? Ważne, że zmienili przepisy. Może zabrać urnę do domu. Tylko to się liczy.

Wszystko to zdarzyło się zeszłej jesieni. Potem przyszła zima – Ostrowski ledwie zauważa jej nadejście. Jest łagodna, przynajmniej tutaj – w przepastnej, dobrze ogrzewanej piwnicy pod jego willą. W końcu stycznia gruba warstwa śniegu topnieje gwałtownie. Nastaje wiosna, a on jest gotowy.

Czarne volvo pędzi na oślep krętą drogą. Jest coś ekscytującego w tym koszmarowym zakręcie. Dwustukonny potwór z napędem na cztery koła wchodzi pół poślizgiem w długi łuk, mijając o włos przydrożną kapliczkę. Młody kierowca zerka na prędkościomierz.

– Kurwa, dziewięćdziesiąt pięć – klnie pod nosem.

Ćwiczył od miesiący, stawiając sobie za punkt honoru pokonanie feralnego odcinka setką. Z rozrzewnieniem wspomina jesienny wypadek. Jak mógł wtedy się nie wyrobić – jechał zaledwie osiemdziesiąt z kawałkiem. Na szczęście tatuś ma chody u komendanta policji i cała wina spadła na kobietę w civicu. Biegli orzekli, że on jechał prawidłowo, natomiast doktorowa „nie dostosowała prędkości do warunków panujących na drodze”, jak ładnie głosiła oficjalna notka rzeczoznawcy.

Zwalnia do trzydziestki i redukuje do dwójki. Wyszukuje szerszy odcinek i zaciąga hamulec ręczny. Skręcone w lewo koła od razu wprowadzają auto w poślizg, obracając je o sto osiemdziesiąt stopni; zwolnione gwałtownie sprzęgło, gaz wciśnięty w podłogę i wyuczona na pamięć kontra natychmiast nakierowują pojazd na właściwy tor. Przez chwilę wszystkie cztery koła drą asfalt, by zaraz wystrzelić czarny pocisk w drogę powrotną.

Znowu pędzi na oślep. Jadąc od tej strony ma się wrażenie, że kapliczka stoi na środku drogi. Siedemdziesiąt, osiemdziesiąt – wskazówka prędkościomierza pnie się pod górę, prawa stopa wdeptuje pedał gazu do oporu. Dziewięćdziesiąt... Wściekły kopniak w sprzęgło; z głośnym zgrzytem wchodzi trójka. Wskaźnik obrotów ledwo drga, utrzymując się bez przerwy w czerwonej strefie. Samochód wystrzeliwuje z impetem do przodu, niczym rumak, któremu w końcu całkiem zluźowano cugle. Sto, sto pięć... będzie rekord, będzie rekord... Potworny huk od spodu ogłusza mężczyznę. Auto, kładąc się na lewo, sunie w powietrzu, kosząc po drodze kapliczkę, wreszcie koziołkując kilka razy, dachuje na jeszcze podmarzniętym polu. Chłopak, wyrzucony siłą uderzenia przez przednią szybę, krwawi z ust, uszu, ponownie otwartej rany na czole. Powykręcane w odwrotnym kierunku kończyny, oplatają go niczym krwawe macki.

Na poboczu zatrzymuje się obłocony landrover.

Ostrowski ostrożnie zbliża się do wraku. Kierowca jest przytomny i cicho jęczy.

– Wszystko będzie dobrze, posklejamy cię – rzuca w kierunku chłopca, równocześnie zatapiając igłę w jego ramieniu. W oczach młodzieńca można dostrzec mieszankę strachu, ulgi i niedowierzania. Odpływa w niebyt, bez szans na odpowiedź.

Paweł prowadzi szybko, lecz ostrożnie. We wstecznym lusterku bacznie obserwuje buchające z wraku płomienie. Zanim się połapią, ogień doszczętnie strawi miejsce wypadku. Całe szczęście, że młody Cholewa nie zauważył rozsypanych na szosie gwoździ i wymyślnej drewnianej konstrukcji leżącej na środku. Właściwie to nie miał szans ich zauważyć. Ostrowski od miesiąca je przygotowywał. Pięcioletowe olbrzymy, poplątane i powyginane w taki sposób, by tworzyły coś na kształt cierniowego łańcucha, dodatkowo powleczone były towotem. Śliskie, trwałe, niewidoczne i zabójcze. Pomalowany stelaż, na metr szeroki, dopasowany odcieniem do koloru nawierzchni, miał kształt miniskoczni. Pas białej farby szedł idealnie przez środek. Cała sztuczka polegała na tym, by umieścić go na szosie tak, aby pas rozdzielający jezdnię zgrać z tym namalowanym na zdradzieckim rękodziele. Jadący pod górę kierowca, dodatkowo oszukany mirażem kapliczki niby stojącej na środku szosy, nie był w stanie wyłapać nierówności, tak idealnie wpasowanej w kolorystykę asfaltu. W razie czego łańcuch z gwoździ dodatkowo zabezpieczał sprawę. Problemem mogła okazać się jedynie osoba kierowcy. Młody Cholewa niewiarygodnie szybko zawracał, kiedy niezadowolony z pierwszej próby pokonania zakrętu śmierci, jak najprędzej pragnął znowu się z nim zmierzyć. Czasu więc było mało, a „skocznia” do lekkich nie należała.

Plan jednak wypalił.

Głodne płomienie trawią teraz miejsce kraksy, ofiara przytroczona do szpitalnych noszy zajmuje tylną część landrovera. Zabójcza atrapa i cierniowy łańcuch bezpiecznie spoczywają w bagażniku.

Za linią horyzontu widać już gęstą ścianę lasu. Droga jest prosta i pusta.

Ostrowski przyspiesza. Powinien korzystać, dopóki nie skończy się asfalt. Ma nadzieję, że późniejsze wstrząsy na leśnym dukcie nie zabiją przedwcześnie pacjenta.

Słońce chyli się ku zachodowi, zdobiąc szkarłatem krawędzie chmur, nadając całemu niebu odcień niemal krwistej czerwieni.

Osuwa się w ciemność. Przez długą chwilę wisi w powietrzu, patrząc na obracający się wraz z jego stopami krajobraz i migocące w oddali małe światełka. Nie słyszy szumiącego w uszach wiatru – otacza go absolutna cisza, ale wie, że spada i czuje, że spada szybko.

Nie spada sam. Towarzyszą mu inne, niezidentyfikowane postacie, milczący grad anonimowych ludzi. Nikt nie krzyczy, nie płacze. Pikują w dół razem, w mroku, czekając na moment, kiedy nagle zbliżą się do nich drzewa i zderzą się z ziemią.

Czeka bezradnie, przerażony tak bardzo, że ledwie może oddychać. Może ziemia nie wybiegnie mu na spotkanie? Może będzie tak leciał przez całą wieczność, coraz niżej i niżej w noc? Ale potem widzi, jak jedno po drugim gasną światła, zasłaniane przez okoliczne wzgórza, i wtedy wie już na pewno, że zginie. Przeważony wymachuje ramionami, próbując pofrunąć albo chociaż złapać się czegoś, co mogłoby go uratować. Jego lewa ręka natrafia na coś, więc szybko zaciska palce, jednak dopiero za drugim razem uchwyt jest wystarczająco pewny. Odwraca głowę. Jakaś kobieta. Co prawda nie może go uratować i są skazani na wspólny upadek, ale mimo to trzyma się jej blisko; trzyma tak mocno, jak tylko potrafi. Nagle zdaje sobie sprawę, że kobieta wpatruje się w niego w ciemności. Widzi otwarte, lecz matowe oczy. Rozpoznaje twarz – twarz, która zaledwie mignęła przez ułamek sekundy za szybą czerwonego civica.

– Boże, ona jest martwa! – krzyczy w przestrzeń. Sięga w dół, szarpie lewą rękę, próbując się uwolnić; prawą trafia w pustkę. Orientuje się, że trzyma tylko połowę ciała. Kobięcy półkorpus z krwawymi ochłapami poniżej pasa ciągnie za sobą zwoje jelit niczym ogon groteskowej komety.

Wrzeszczy, odwraca się, wrywa, lecz obmierzły tors zdołał w jakiś sposób do niego przywrzeć i młody Cholewa nie potrafi się wyzwolić. Jej zimna krew spływa mu po udach. Rozpoznaje stłumiony świst wiejącego przez poszarpane ciało wiatru. Czuje chłodny dotyk jej wilgotnego policzka.

Wargi kobiety zbliżają się do jego ucha i słyszy wyraźny szept: „Nie daj mi spaść! Nie daj mi zginąć!”.

A potem oboje roztrzaskują się o ziemię.

Otwiera oczy. Leży z zaciśniętymi zębami i mięśniami tak napiętymi, że nie jest w stanie nawet drgnąć.

Nie rusza się przez dłuższy czas, oddychając głęboko, próbuje przetrwać senny koszmar. Z trudem przekonuje sam siebie, że naprawdę nie spadł i że wciąż jeszcze żyje.

I wtedy wraca mu pamięć.

Ostrowski powoli układa narzędzia w niemal sakralnym skupieniu. Skalpele, piły, dłuta, a wszystko błyszczą, odbijając chromowaną powłoką lodowate światło jarzeniówki. Pomalowana na biało piwnica do złudzenia przypomina szpitalną salę. Mężczyzna odwraca się ostrożnie, czując wzrok na plecach. Obandażowana postać, leżąca na stole operacyjnym, naprędce skleconym z domowego biurka i szpitalnych noszy, przewierca go na wylot zalęknionym spojrzeniem. Otwiera bezgłośnie usta, próbując najwyraźniej się odezwać. Ostrowski podchodzi, odchyła skrawek bandaża okalający szyję pacjenta.

Rana po zabiegu już prawie się zagoiła. Żeby wszystkie goiły się tak szybko jak ta po wycięciu strun głosowych. Głaszczkę młodziemka po głowie niemal z czułością. Ponownie podłącza kroplówkę ze środkiem nasennym. Czeka go jeszcze dużo pracy.

Koszmar powraca. Znowu leci w ciemnościach; ani szybko, ani wolno, przemieszcza się w dół, tnąc gęsty mrok z przeraźliwym świstem. Tym razem jednak wie, co go czeka. Rozgląda się wokół: ten sam deszcz niewyraźnych postaci, majaczących w oddali, te same migoczące światełka, gasnące w rytm uderzeń serca. Obejmuje się ciasno ramionami – żeby tylko nie złapać tej upiornej dłoni, wszystko, tylko nie ten straszny beznogi tors. Co będzie teraz? Czy rozbije się sam, tym razem na amen, czy może obudzi się tak jak poprzednio? Ten świst jest nie do wytrzymania, coś swędzi go w dolnych partiach ciała. Sięga ręką w dół – po prostu musi się podrapać. Trafia w pustkę. To wiatr przelatujący przez puste trzewia tak gwizdzie. Młody Cholewa czuje czyjąś zimną dłoń na swojej – najpierw lęklawie muska, potem kurczowo próbuje chwycić jego uciekające palce. Za drugim podejściem uścisk jest mocny, pewny, nie ma szans, by się z niego uwolnić. Patrzy w mrok, coś ciągnie go w stronę towarzysza lotu. Widzi przerażoną twarz mężczyzny, który z całych sił próbuje się oswobodzić; szarpie się, wyje, lecz to tylko jeszcze bardziej przybliżyła ich do siebie. Słyszy szept – swój własny szept bezwolnie wydostający się z przepełnionych wiatrem ust:

– Nie daj mi spaść, nie daj mi zginąć – syczy wprost do ucha wrzeszczącego mężczyzny. Z przerażeniem stwierdza, że oplatające ich blond włosy należą do niego, że tym razem to on jest swoim własnym koszmarem: kobiecym półkorpusem z podwieszonym ogonem poplątanych jelit.

Ziemia zbliża się nieubłaganie; wiedziony instynktem próbuje zająć pozycję na górze, jakby to miało jakieś znaczenie przy upadku z tak dużej wysokości. Rozpoznaje miejsce – to zakręt śmierci. Kapliczka majaczy we mgle, asfalt jest mokry; odbija refleksy księżycowej poświaty.

Budzi się dokładnie w chwili uderzenia.

Z przerażeniem odkrywa całkowity bezwład ciała, a wszelkie próby wydobywania z siebie jakiegokolwiek dźwięku kończą się bezgłośnym, rybitym ruchem warg. Potężne lustro, wiszące tuż nad nim wyraźnie przekłamuje rzeczywistość. Z całych sił próbuje się uszczypnąć; otwiera i zamyka oczy w nadziei, że nadal śni.

Jednak otaczający go świat uparcie tkwi w koszmarnej rzeczywistości.

Ostrowski odwijając bandaż. Jest dumny ze swojego dzieła. Rany zdążyły się już zbliżyć. W samą porę. To już prawie rok od wypadku.

Z każdym nowo odsłoniętym kawałkiem ciała uśmiech lekarza jest coraz szerszy. Kiedy odkrywa jędrne piersi, pierwsza łza wzruszenia skapuje na biały kitel.

– Kochanie, jesteś piękna – szepcze, a słowa z trudem wydobywają się z zaciśniętego gardła. – Pojutrze nasza pierwsza rocznica... – Zbyt silne emocje odejmują mu mowę.

Ostatni skrawek bandaża ląduje w koszu, kipiącym od krwawych gałganów, strzykawek, opakowań po lekach. Ostrowski z czułością pochyla się nad łóżkiem.

– Nie martw się, słonko, choć zostało cię tylko pół, to zawsze będziesz ty, tylko ty.

Zbliżyła usta do gorącego czoła ukochanej i całuje – delikatnie, z troską.

POSIEDZENIE

Dla Gosi

Mamo! Czy my naprawdę musimy to robić wspólnie?

Pytanie Roberta zaskoczyło Małgorzatę. Patrzyła teraz na swojego siedemnastoletniego syna z owym szczególnym wyrazem, jaki maluje się na twarzach ludzi, którzy przez okno jadącego samochodu spoglądają na straszliwie zmasakrowany wrak innego auta. Uczestnicy rodzinnego posiedzenia patrzyli w milczeniu przed siebie. Czas wziął głęboki oddech, a w pomieszczeniu nie było słychać ani jednego dźwięku.

– Przecież robimy to od zawsze, co ci nagle strzeliło do głowy? – Małgorzata niepewnie spojrzała na męża i zaraz dodała: – To przecież powszechna tradycja, tak budujemy więzy rodzinne.

– Masz całkowitą rację, kochanie. – Andrzej zaczerpnął powietrza i jego czerwona, nabrzmiała twarz nieco zbladła. – Dzisiejsza młodzież po prostu nie rozumie podstawowych zasad budowania prawidłowych interakcji rodzinno-społecznych.

Robert omiół wzrokiem zatroskane twarze rodziców i poprawił pozycję na swoim siedzisku.

– Najzwyczajniej w świecie uważam, że spotkanie się o konkretnej godzinie tylko po to, by wspólnie oddawać się czynnościom fizjologicznym i podnosić to do rangi „celebrum” jest po prostu śmieszne – zawyrokował, dumny z tego, że użył łacińskiego wyrażenia.

– Nieważne, co o tym sądzisz, młodzieńcze, niedzielne spotkanie o trzynastej obowiązuje wszystkich domowników, bez wyjątków. Koniec, kropka. Czy wszyscy już są po pierwszym akcie?

Małgosia szybko skinęła głową, Robert zaś ostentacyjnie milczał, mając nadzieję, że nikt nie usłyszał cichego ciurkania. Po chwili jednak przerwał milczenie.

– Ale ja nie mam ochoty na drugi akt. Dlaczego musimy to robić o konkretnej porze, a nie wtedy, kiedy mamy ochotę?

– Bo tak nakazuje tradycja i dobre wychowanie! – zagrzmiała Małgosia. – Zobacz, jak ojciec się poświęca. Pomimo problemów z prostatą i hemoro...

– Już dobrze. – Robert łyknął niebieską tabletkę i za chwilę dołączył do reszty, szybko finiszując i nie czekając na jak zwykle ociągającego się ojca, który sprawiał wrażenie, że specjalnie przedłuża posiedzenie, rozciągając je do granic wytrzymałości.

– No to jeszcze zwieńczenie – przypomniał Andrzej, rozwijając szarfę różowego papieru.

Chór głośnych dźwięków przypominających rozdzieranie mokrej szmaty spletał się z cichym, jakby zawodzącym kwiczeniem i miarowym sykiem.

– Niedzielne posiedzenie uznaję za zakończone – ogłosił Andrzej uroczystym głosem.

Teraz wszyscy sięgnęli do kolorowych rolek, a po chwili zbiorowy szum miniwodospadów oficjalnie zakończył wspólne spotkanie.

– Robercie, dzisiaj twoja kolej zmywania sedesów – oznajmiła z nieukrywaną satysfakcją Małgosia.

Robert spuścił głowę i zrezygnowany podciągał spodnie. Od tych niedzielnych nasiadówek znowu będzie miał sine pręgi po desce.

Po raz ostatni spróbował przekazać rodzicom bezsens ich pseudotradycji.

– Chyba się ze mną zgodzicie, że to, co robimy, to najzwyczajniejsza czynność fizjologiczna?

Rodzice spojrzeli po sobie i Małgosia, podnosząc splotkę, odwróciła się w stronę Roberta.

– Nooo, jeśli spojrzeć na to z tej perspektywy, to niejako masz rację.

– To dlaczego by nie wprowadzić wspólnego jedzenia? Zamiast posiedzeń – wspólne posiłki, bez chowania się w domowych jadalniach czy ulicznych foodtoiach? Przecież jedzenie to taka sama czynność fizjologiczna, jak...

– No, no! Nie rozpędzaj się, młody człowieku! – ryknął Andrzej, widząc wyraz twarzy Małgosi.

– Jesteś obrzydliwy, nie spodziewałam się tego po tobie, Robciu – dodała Małgorzata, odwracając z pogardą wzrok od syna. – Jak możesz te rzeczy porównywać?!

Robert wyszedł zrezygnowany z pokoju posiedzeń i skierował kroki w stronę małej jadalni, by w ciszy i intymnym skupieniu oddać się wstydlivej czynności przyjmowania pokarmu.

Z salonu dobiegał głos telewizyjnego spikera: „pamiętajcie, badania naukowe potwierdzają, że pięć małych wypróżnień jest zdrowsze niż zwyczajowe trzy duże, nie mówiąc już o możliwościach częstszego spędzania wspólnego czasu z rodziną”...

Robert usiadł na małym krzeselku i starając się za głośno nie szeleścić, zabrał się za odwijanie batonika z folii.

GRAJEK

Dla Magdy

Mężczyzna dźwiga się na łóżku z majestatycznym wysiłkiem osoby w wieku przedemerytalnym. Przeciera oczy wierzchem dłoni, przeciąga się i przez chwilę siedzi w zadumie na brzegu materaca, dopóki nie dotrze do niego, że żyje oraz że nie kojarzy, jaki jest dzień tygodnia.

– Niedziela – mruczy wreszcie pod nosem. – Dzień wolny.

Wczorajszy rum nieznośnie pulsuje w skroniach, niesmak w ustach po miodowych cygaretkach mdli niemiłosiernie.

Z trudem wstaje i niezdarnym, chwiejnym krokiem udaje się w kierunku łazienki. Jest zażywny, rumiany na twarzy, o łagodnej posturze potulnego wołu i rusza się jak wół: ociężale i smutno. Odziany w służbowy garnitur dyrektora koncernu ubezpieczeniowego, ogolony i uczesany wzbudza zazwyczaj zaufanie, teraz najwyżej litość i obrzydzenie, jakie odczuwa się na widok bezdomnego lumpa. Ale jest niedziela, a przytulne mieszkanko w kamienicy przy miejskim deptaku pozostanie jedynym świadkiem tej porannej niedyspozycji.

Dociera w końcu do łazienki, w lustrze ledwo miga wymięta facjata z równie sfatygowanym siwym loczkiem opadającym na poorane zmarszczkami czoło. Ignoruje umywalkę, a całą uwagę skupia na sedesie. Sika obficie, długo, przerywanym strumieniem, wstrzymując oddech, żeby nie czuć silnej woni amoniaku wyciskającej mu łzy z oczu. Kończy opróżnianie pęcherza bliski omdlenia i natychmiast wytacza się z ubikacji, gwałtownymi haustami łapiąc powietrze.

Ubiera się, rezygnując z mycia. Delikatnie, delirycznie przebierając palcami po guzikach jak po strunach harfy, zapina koszulę, krzywiąc się z bólu naciąga spodnie. Krzyż i prostata codziennie przypominają mu o metryce. Zbliża się do okna sypialni wychodzącego wprost na leniwie budzący się do życia deptak. Czerwcowe przedpołudnie jest wręcz wzorcowe.

Od wschodu nadciąga osobliwy orszak. Na przedzie, odziany w białą szatę mężczyzna, kroczy miarowo, wybijając niemy rytm obutymi w sandały stopami. Spod olbrzymiego ronda słomkowego kapelusza wyziera ukryta w półcieniu brodata twarz, usta raz po raz dmą w drewniany instrument, przypominający olbrzymich rozmiarów pasterską fujarkę. Jednak żaden dźwięk nie wydostaje się na zewnątrz. Jedyne obszarpane postacie, idące niczym w procesji potępieńców tuż za swoim przewodnikiem, zdają się być zahipnotyzowane bezdźwięczną muzyką. Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy wygnieceni, potargani, o twarzach wyczutych z emocji, zastygłych obojętnością, obcych. Jakby oderwani z nienacka od codziennych czynności dołączyli do korowodu zombie – w roboczych strojach, garniturach, sportowych anugach. Wpatrzeni niewidzącymi oczami w przestrzeń, napędzani rytmem fujarki, bezwolni, bezmyślni, bezimienni. Przemieszczają się jednostajnie wzdłuż sennej, miejskiej promenady, niezauważeni przez

pracowników rozkładających barwne parasole w piwnych ogródkach, nielicznych turystów błakających się w kacowym półśnie, wiernych udających się na niedzielną sumę do pobliskiej katedry. Tylko bezpieczeństwa psy czmychają lekko w pobliskie bramy, czujne kocie oczy śledzą ten groteskowy przemarsz zza knajpianych śmietników. Powietrze drga, choć jeszcze nie do końca zdążyło się nagrzać południowym słońcem.

Ciężki, złowieszczy odgłos katedralnego dzwonu wyrywa mężczyznę z odrętwienia. Patrzy na opróżniony do połowy kubek z kawą. Nawet nie zauważył, kiedy zdążył aż tyle upić. Koniakowy wsad nie spełnia swojego zadania, choć zazwyczaj taki właśnie poranny mikś stawia go na nogi. Zerka na otwartego laptopa, z którego zieje mailową pustką, nie licząc reklamowego spamu i służbowych wiadomości. Machinalnie włącza komórkę – zero nieprzeczytanych sms-ów, brak nieodebranych połączeń. Gruby, skórzany portfel, wypchany gotówką i kartami kredytowymi drzemie bez troski na stoliku i zdaje się szeptać szyderczo: „kup sobie towarzystwo, zapłać za zainteresowanie, przecież miłość jest na sprzedaż”.

Rzut okiem na puste ramki do zdjęć, walające się po podłodze butelki, stertę ubrań czekających na zawieszenie do pralni – to wystarczy, by poczucie beznadziei i samotności, od lat drzemiące gdzieś na dnie umysłu, powróciły ze zdwojoną siłą. Mężczyzna całym sercem pragnie cofnąć czas. I wtedy ją słyszy – melodię, która rozlewa ciepło po całym ciele, którą chłonie każdą komórką organizmu, chwytając ją i nie zamierza puścić. Znowu ma dziesięć lat, niebo jest niebieskie, wiatr roznosi woń matczynej kuchni, a z otwartego okna wiejskiego domu sączą się chropowate dźwięki przedwojennej piosenki z repertuaru Marleny Dietrich. Znowu widzi uśmiechniętego ojca ssącego ustnik ozdobnej fajki, raz po raz wydmuchującego kłęby pachnącego wiśniami dymu oraz matkę kręcącą się przy węglowej kuchni, zajętą wypiekaniem chleba. Najszczęśliwszy moment życia zmartwychwstał i trwa – właśnie tu, właśnie teraz.

Rzuca się do okna. Tuż pod balkonem, trzy piętra niżej, postać w kapeluszu wygrywa tę cudowną melodię – równocześnie dźwięczną, pachnącą, przyzywającą, niemal wizualnie uchwytną. Wstaje i pełen obaw, że tajemniczy gość mógłby odejść i przestać grać, wychodzi na balkon. Grajek podnosi rękę w zapraszającym geście, a melodia płynie coraz głośniejszą, intensywniej, zdaje się zasysać rzeczywistość i oddawać ją piękniejszą, bogatszą, idealną. Mężczyzna przekłada nogi przez barierkę; czuje się młody i szczęśliwy. Nucąc pod nosem *Lily Marlene* robi krok przed siebie.

Kobieta wpatruje się w olbrzymią, oszkloną witrynę firmowego sklepu Samsunga, równocześnie próbując przypalić podniesiony z chodnika niedopałek papierosa. Olbrzymie, płaskie kineskopy wyświetlają program informacyjny lokalnej telewizji. W dole ekranów, na podświetlonym czerwonym pasku przesuwają się skrótowe komunikaty: „...*plaga samobójstw nawiedza kolejne miasta... odratowani, niedoszli samobójcy przebywają w zamkniętych ośrodkach psychiatrycznych... motyw tajemniczego grajka...*”.

Spazmatycznie zaciąga się śmierdzącym petem, stara się ignorować śwąd nadpalonego filtra, przez chwilę zastanawia się, dlaczego w niedzielę, gdy sklep jest zamknięty, ktoś włącza sprzęt wystawowy.

Pieprzone debile – myśli. – Rozpieszczone maminsynki, których życie przerasta.

Kobieta, choć od dekady żyje na ulicy, nadal ma nadzieję, że jej trzydziestopięcioletni żywot nie jest pozbawiony sensu, że jeszcze się odbije od dna, zawalczy o swoje. Żeby tak móc cofnąć czas...

Dźwięki, które nieśmiało docierają do jej uszu, sprawiają, że niemal się przewraca. Nadal patrzy na migające telewizory, ale wszystkie zmysły skupia na niknącej w dali melodii. Niespodziewanie rozbrzmiewa z pełną mocą *Tainted love* w wykonaniu zespołu Marilyn Manson, a ona czuje gwałtowny przypływ energii, spuszczonej ze smyczy chuci i cudowny stan alkoholowego upojenia. Jest w swoim ulubionym barze, tańczy. W kłębach papierosowego dymu przewija się nieziemsko przystojna twarz harleyowca, muskularne ramiona przyciągają ją do siebie, jej własne dłonie zaciskają się na jędrnych pośladkach motocyklisty, ukrytych pod obcisłymi skórzanymi spodniami. Już wie, co ją czeka – upojna noc, ta jedna, jedyna, którą zapamięta na zawsze i choć rozumie, że się już nigdy nie spotkają, to właśnie ten utwór będzie ich piosenką. Nagle melodia zanika, ucieka, oddala się nieubłaganie. Kobieta rzuca się więc pędem w stronę cichnących odgłosów. Biegnie chaotycznie wzdłuż deptaku i, niczym ogar za dziczyzną, wietrzy ulotny trop, wychwytuje eteryczne dźwięki. W końcu dostrzega postać w białej szacie. Postać macha do niej przyjacielsko, zalotnie mruga spod ronda kapelusza, zachęca; z wielkiej, drewnianej fujarki płyną hipnotyczne nuty. Kobieta podbiega, staje na wprost grajka, znowu daje się ponieść muzyce, zatracą się w marzeniach.

Coś wgniata ją w ziemię z potwornym impetem. Coś, co bezwładnie spada z balkonu na trzecim piętrze kamienicy.

ZOMBIE

Oskar musiał koniecznie wyjść do toalety. Nie było sensu się dłużej oszukiwać, że wytrzyma do przerwy. Pęcherz dawał mu się niemiłosiernie we znaki, a pani Kurzajewska przyłapała go wzrokiem, jak wiercił się w ławce. Wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe widoki ciekących kranów, wodospadów, ogromnych pisuarów i reklamy telewizyjnej, zachwalającej nowy środek zwalczający infekcje dróg moczowych, w której to rozciągnięty do granic możliwości płonący cyfrowym ogniem balon dodatkowo szczypany jest klamerkami do prania, przy akompaniamencie potępieńczych jęków i stękania cierpiących niewyobrażalne katusze ofiar takiego czy innego wirusa lub bakterii.

W gimnazjum im. Stefana Żeromskiego pracowało kilku nauczycieli klas pierwszych i wszyscy sprawiali wrażenie sympatycznych i komunikatywnych, z wyjątkiem pani Kurzajewskiej. Stara panna po czterdziestce, z siwiejącymi włosami, wiecznie upiętymi w staromodny kok, wyposażona w skrzekliwy głos podduszanej wiedźmy z zaawansowanym bronchitem i okulary – żywcem wyjęte z lat pięćdziesiątych – o potężnych soczewkach sugerujących dwucyfrową ilość dioptrii, należała do tego rodzaju pedagogów, którzy uwielbiali się znęcać nad chłopcami takimi jak Oskar.

Wiedział od początku, że do niej trafi. Takie miał zawsze szczęście: do gier zespołowych, partnerów na WF-ie, wadliwych butów, słabego pęcherza i nauczycieli pragnących go zniszczyć i upokorzyć. Znów mocno zacisnął kolana, przeniósł dyskretnie ciężar ciała na prawy pośladek, a ucisk w dolnej części podbrzusza przeradzał się powoli w palący ból nie do zniesienia dla osoby dorosłej, a co dopiero dla „prawie trzynastolatka”.

– Oskarze – zaskrzeczała wiedźma, nie odrywając długiego wskaźnika od mapy Polski, który zdawał się przewiercać na wylot miasto Katowice. – Czy chcesz skorzystać z toalety?

W ławce tuż przed nim zachichotała z wdziękiem Magda Kwiatkowska, nie zapominając, by kulturalnie zasłonić przy tym usta.

Robert, siedzący obok Oskara, nie omieszkał zarechotać rubasznym śmiechem pijanego szaleńca i kopnąć go pod ławką.

– Odpowiedz mi, Oskarze – trzeszczała pani Kurzajewska. – Czy chcesz...

ić oddać mocz, na pewno tak powie, ona zawsze tak mówi... I to straszne „Oskarze”, specjalnie odmienia jego imię w ten sposób i pewnie jeszcze doda coś o dotykaniu penisa...

– Tak, proszę pani.

– Co: tak?

– Muszę iść odd... Do toalety muszę!

Kurzajewska uśmiechnęła się promiennie.

– Tak, oczywiście, możesz iść do toalety, oddać mocz i co tam jeszcze chcesz, ale następnym razem nie czekaj, aż cię zapytam.

Klamka zapadła. Teraz musiał wstać, przejść przez całą salę, śledzony ciekawskimi spojrzeniami (żeby tylko Magda się z niego nie śmiała), odprowadzany drwiącymi uśmiezkami (idzie oddać mocz, albo coś innego...), jak zwykle poniżony, obnażony ze swej słabości przy całej klasie.

Droga wlokła się w nieskończoność. Drzwi zdawały się dalekim pustynnym mirażem. Pani Kurzajewska milczała i czekała, aż dotrze do wyjścia (na pewno specjalnie nie kontynuowała lekcji), a on czuł na plecach dziesiątki par gorących spojrzeń i towarzyszące im echo chichotów (tak, ona – Magda – też się śmiała, że on idzie oddać mocz albo co tam jeszcze chce). Zmuszał się, żeby nie ruszyć biegiem.

W końcu wyszedł na szkolny korytarz, odetchnął głęboko, zostawił daleko za sobą duszną i nieprzyjazną salę lekcyjną, drwiny i docinki. Ucisk w pęcherzu znowu był tylko nieprzyjemnym uciskiem, a nie rozżarzonym kłuciem ognistych szpilek. Wszędzie panowała cisza. Kroczył dostojnie wzdłuż pomalowanych na niebiesko ścian, palcem prawej ręki sunął po chropowatej powierzchni, pisząc wyimaginowanym tuszem wyraz na „k” powszechnie uznawany za obraźliwy. „Ka-u-er-wu-a” literował bezgłośnie, w ten sposób zapewniając sobie alibi przed Bogiem na wypadek Sądu Ostatecznego (za literowanie brzydkich wyrazów nawet sam pan Bóg nie może skazać na wieczne potępienie – przecież to tylko pojedyncze, niewinne litery). Przez chwilę za to napawał się myślą, jakie to katusze czekają na Kurzajewską na tamym świecie za znęcanie się nad jego osobą, za delektowanie się jego rumieńcem wstydu na oczach Magdy, która nie musi NIGDY wychodzić podczas lekcji do toalety, a może nawet w ogóle nie musi „oddawać moczu i czego tam jeszcze chce”.

Drzwi od męskiej toalety wyrosły przed Oskarem tak nagle, że się wręcz od nich odbił. Ogromny napis „awaria, prosimy o korzystanie z wychodka w kotłowni” aż kłuł po oczach złowieszczym przesłaniem (wychodka? Kto tak teraz mówi? Dobrze wiedział KTO... Ale dlaczego... To jak fałszywy objazd na leśnym rozdrożu w horrorach, które namiętnie ściągali z Robertem z Internetu i z wypiekami na twarzach oglądali na domowym laptopie pod nieobecność rodziców). Przez chwilę rozważał możliwość skorzystania z dziewczęcego WC, lecz wizja wykrycia tego haniebnego czynu i dożywotniej łatki zboczeńca zakradającego się do damskiej toalety skutecznie go zniechęciła (co by powiedział, gdyby go złapali? Że się przestraszył zejścia do kotłowni, że Kurzajewska napisała komunikat o awarii, żeby go zwabić na dół, że w horrorach... Nie i jeszcze raz nie! A jakby Magda nagle TAM weszła, a on właśnie „oddawałby mocz”...).

Oskar pognął w dół po schodach i z rozpędem wpadł w objęcia jakże chłodnej, pachnącej chlorem i oświetlonej niebieskawą poświatą jarzeniówek toalety. Było czysto i schludnie. Zaraz za drzwiami wejściowymi, po lewej, lśniły nieskazitelną bielą dwie umywalki, krany dumnie błyszcząły chromem, a w wielkich lustrach odbijały się różowe kafelki przeciwległej ściany. Wystarczyło skrócić za róg, w prawo (rozkład szkolnych toalet Oskar znał na pamięć), by ujrzeć po lewej cztery kabiny, które zawsze kojarzyły mu się z kosmicznymi kapsułami z serialu Star Trek, a po przeciwnej stronie, przytwierdzone potężnymi śrubami, trzy nieco obniżone pisuary. Zerknąwszy przelotnie w lustro na swą wymizerowaną, dotkniętą pierwszym rzutem trądziku twarz okularnika, wparował za róg, w biegu rozpinając rozporek... i stanął jak wryty na wprost siedzącego pod kaloryferem (mężczyzny? Zombie?) stwora, zajadającego olbrzymią łyżką coś, co najwyraźniej podano mu w naczyniu przypominającym (ludzką głowę, przecież wyraźnie widać, że to ludzka głowa...) dużą wazę z pokrywką porośniętą włosiem.

W ułamku sekundy Oskar był z powrotem w pomieszczeniu z umywalkami. Przez chwilę zastanowił się, jak komicznie musi wyglądać chłopiec biegający w tę i nazad z wyciągniętą fujarą, a jaki groteskowy widok musi przedstawiać cały pluton wojska ćwiczący „alarm na słońca” w koszarach (wujek coś wspominał o bieganiu z wyciągniętymi kieszeniami i penisami na wierzchu w ramach słynnej niegdyś fali). Jednak już w następnej chwili odezwał się znowu przymus natychmiastowego oddania moczu, przytłumiony przez chwilę panicznym strachem (przecież to niemożliwe. „Dzień dobry, jestem zombie, siedzę sobie w toalecie w kotłowni i zajadam się mózgiem, a ty Oskarze nie krępuj się, nie będę patrzył...”. Co za bzdury...). Czuł, jak serce wali mu w piersi, pocierał nerwowo nos i powoli skradał

się, by zerknąć dyskretnie zza rogu, czy zjawa jeszcze tam jest. Była. Zombie, trzymając za włosy (tak, to musi być głowa i to łysiejąca głowa szkolnego woźnego) „pokrywkę”, w najlepsze wylizywał starannie resztki, głośno przy tym mlaskając i bekając.

Czyjaś zimna ręka prześlizgnęła się nagle po szyi Oskara. Chłopak wrzasnął jak oparzony i przez chwilę był pewien, że narobił w spodnie („...i co tam jeszcze chcesz”). Robert uśmiechał się od ucha do ucha, najwyraźniej zachwycony swoim dowcipem.

– Kurzajka mnie przysłała po ciebie, wcięło cię na amen.

– Ale ja nie mogę tam wejść. – Oskar jeszcze nie opanował drżenia i wciąż stał z siusiakiem na wierzchu, nie zdając sobie z tego sprawy.

– A, to takie klimaty. – Robert drwiąco spoglądał na kolegę. – To ty się tu zabawiasz ptaszkiem, a ja myślałem, że masz zatwardzenie albo co. Poczekaj, aż się Magda dowie, ty zboczuchu! – Teraz Robert już rechotał na całe gardło.

– Tylko spróbuj! – warknął Oskar. – Zresztą nieważne. – Rozpłakał się. – Tam siedzi zombie i wpierdala mózg prosto z czaszki! – wykrzyczał, nie zważając na literowanie brzydkiego wyrazu.

– Też mi tłumaczenie godne onanisty-nieudacznika. Kurzajka cię zabije. Wymyśl coś sensownego i będziemy się trzymać jednej wersji. Ok? I przestań się mazać. – Robert był nieco zniesmaczony zachowaniem kumpla od oglądania zakazanych filmów. Najwyraźniej mu odbiło.

– Kiedy ja mówię prawdę – wyjęczał Oskar.

Zanim zapłakany chłopak zdążył zareagować, Roberta już nie było. Wbiegł z impetem za róg, krzycząc, na wzór bohaterów serialu *Żywe trupy*: „mózgi, mózgi, świeże mó...”, i jakby się zachłysnął, a po chwili zamilkł.

Oskar nie wiedział, jak długo stał, nieruchomy, zmartwiały, z pęcherzem na granicy wytrzymałości. W końcu poruszył się niczym automat, odwrócił do zlewu i puścił strumień moczu (tak, oddawał w końcu mocz i to wprost do umywalki na przekór głupiej ka-u-er-wu-i-e). Nie obchodziło go nic poza błogim uczuciem ulgi. Ani zombie, zjadające właśnie szare komórki kolegi, ani Kurzajka, ani nawet Magda.

Pani Kurzajewska wpadła do męskiej toalety dokładnie w momencie, gdy Oskar zapinał rozporek, nadal stojąc na palcach przodem do umywalki.

– Ach, ty wyrodny chłopcze. Oddajesz mocz do umywalki?!? – Głos Kurzajki przechodził w coś na kształt miarowego syku. – Już ja ci pokażę! Marsz do toalety jak człowiek!

– Ale tam jest... – W ostatniej chwili Oskar ugryzł się w język. W jego głowie pojawił się plan – bardzo dobry i skuteczny plan. (Tak, Kurzajka tam wejdzie, następnie dyrektor, potem tyran od WF-u, a na końcu ten kretyn Bartek, co się przystawia do Magdy, i szkoła znów będzie piękna). – Nic, nic – wyjąkał i rzucił się biegiem z powrotem w kierunku sali lekcyjnej, pokonując po dwa schody naraz, licząc, że Kurzajewską zeżre ciekawość i zajrzy do toalety, za RÓG.

Ze wzrokiem wbitym w podłogę i nadzieją w sercu zajął miejsce w ławce, nie zważając na pytające spojrzenia i drwiące śmiechy, wypełniające ciasną przestrzeń klasy. Właśnie zaczął zastanawiać się nad tym, że cała szkoła sprawiała wrażenie wyludnionej, w żadnej mijanej sali nie słyhać było charakterystycznego szumu, monotonnego bzyczenia, wybuchów nauczycielskich uniesień podczas wykładu (zupełnie jakby ich klasa została sama w całym budynku, jakby wszyscy naraz postanowili pójść „oddać mocz albo coś innego” i trafili prosto w łapy bladego stwora w kotłowni), gdy najspokojniej w świecie weszła do pomieszczenia Kurzajka i z przyklejonym uśmiechem do twarzy cicho zamknęła za sobą drzwi.

– Pewnie ciekawi was drogie dzieci – tu zrobiła znaczącą pauzę – dlaczego Oskara tak długo nie było? Otóż opowiedział mi bardzo ciekawą historię...

– Nic pani nie opowiadałem! – wrzasnął przerażony.

– ...o potworze siedzącym w męskiej toalecie w kotłowni – syczała przez zęby Kurzajewska (dziwnie szpiczaste i trójkątne te zęby, i ta cera ziemisto-błada zupełnie jak u...) – zjadającym ponoć strachliwych chłopców o słabych pęcherzach, którzy MUSZĄ oddawać mocz podczas trwania lekcji. – Złośliwy uśmiech wypełził na wężowe oblicze nauczycielki. – A może musiał robić coś innego, bo nie mógł się skupić...

– To nieprawda, pani kłamie! – kwiczał skołowany Oskar.

– ...może jakaś koleżanka mu się tak bardzo podobała, że...

– Zamknij się ty wiedźmo!!! – Był bliski obłędu, toczył mętnym wzrokiem po twarzach kolegów, koleżanek, Magdy... (to niemożliwe, to sen, to nie może być prawdą). Czuł, że zaraz zemdleje i znowu poczuł palący ucisk w pęcherzu.

– To może w takim razie cała klasa pójdzie do kotłowni sprawdzić, czy kolega Oskar mówi prawdę, a ja tymczasem porozmawiam sobie z naszym fantastą. – Twarz belferki promieniowała jakimś niezdrowym światłem, oczy żarzyły się żądzą, raczej nieprzystającą pedagogom uczącym geografii w pierwszych klasach gimnazjum.

– Nie idźcie, nie... – słabiutkim głosem świszcział Oskar, jednocześnie czując zaciskające się kościste palce na ramieniu (zupełnie jak szpony, nikt nie ma takich twardych palców). – Proszę nie...

Niczym przez mgłę słyszał gwar podnieconych uczniów, rumor odsuwanych krzesel, wesołe pokrzykiwania. Kątem oka widział jak żywa fala wylewa się na korytarz, by możliwie najszybciej dotrzeć do kotłowni (oddać mocz? Krew? A może coś innego?). Z autentycznym żalem patrzył, jak na czoło peletonu wysuwa się Magda i zyskuje znaczną przewagę nad resztą w wyścigu – do toalety, z której nigdy nie musiała korzystać podczas lekcji. Słabł coraz bardziej. Nie mógł się ruszyć, zapadał się w sobie i poczuł gorącą stróżkę uryny ciekącą po wewnętrznej stronie uda.

– Nic nie szkodzi, że oddałeś mocz, nie przejmuj się, to już nie ma znaczenia – syczała przymilnie Kurzajka, głaszcząc go po głowie. – Nasz synek jeszcze rośnie, potrzebuje dużo białka, młodej soczystej tkanki mózgowej... Nam wystarczy ty jeden, w zupełności...

– Jakim nam? – wydukał ostatnimi siłami, lecz nie potrzebował odpowiedzi. Od drzwi wejściowych zbliżał się ku nim (sunął w powietrzu, płynął, jakby nie miał stóp) dyrektor we własnej osobie. Na białej twarzy pełzał ironiczny uśmiech, w lewej ręce dzierżył coś na kształt dłuta (a może to była wkrętarka lub szpikulec do otwierania kokosów z promocji w sieci Biedronka), w prawej zaś trzymał dwie olbrzymie łyżki (takie same jak te, które miał zombie w toalecie) i dwie długie słomki.

Pij mleko, będziesz wielki – zdążył pomyśleć jeszcze Oskar, zanim cios dłuta zrobił pierwszy otwór w jego czasce. Tuż przed utratą przytomności i życia dotarło do niego, że i tak oddał mocz w klasie, publicznie, i że w ten sposób ziścił się jego największy koszmar, który dręczył go we śnie i na jawie, od kiedy tylko potrafił sięgnąć pamięcią.

POŻĄDANA

Chcę być pożądana – szepnęła Dorota, obserwując straceńczy lot spadającej gwiazdy. Do końca śledziła promienisty ślad nieśmiało rozdrapujący ciemności sylwestrowej nocy, aż w końcu po eterycznym ogonie jej prywatnej komety pozostało jedynie mgliste wspomnienie. Wybiła północ na ratuszowym zegarze, na wielkomijskim rynku zawrzało jak w ulu. Tysiące rac wystrzeliło w niebo, eksplodując po chwili kolorowymi pióropuszcami, z potężnych głośników gruchnęła ogłuszająca kaskada dźwięków. Zamknęła oczy, a gwar wiwatujących na cześć Nowego Roku skurczył się do niemrawego bzyku, huk wystrzałów dudnił jedynie dalekim echem, feeria barw ledwo przedzierała się bladą poświatą przez szczelnie zaciśnięte kotary powiek. To była jej chwila, jej życzenie i jej osobista bezludna wyspa pośród oceanu falujących w rytm pulsującej muzyki postaci.

– Chcę być pożądana – powtórzyła z pełną mocą, wspominając zeszły rok – okres niepowodzeń miłosnych, towarzyskich blamaży, braku erotycznego zainteresowania jej osobą. Oczami pamięci roztrząsała obrazy rozdziawionych gąb, znaczących gestów, obscenicznego oblizywania warg na widok Kasi – firmowej sekretareczki. Mężczyźni rozbierali ją wzrokiem, muskali jej odsłoniętą szyję lubieżnymi spojrzzeniami, niektórzy mieli wręcz wypisany jawny gwałt na twarzach, lustrując nieskazitelną linię ud, wzorcowy kształt jędrnych pośladków. Na Dorotę nikt nie raczył nawet rzucić okiem, nie mówiąc już o jakimkolwiek komplemente czy innym odruchu świadczącym o choćby najmniejszym zainteresowaniu jej seksapilem. Odnosiła wrażenie, że nawet gdyby nago stanęła na głowie na środku sali konferencyjnej, nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Ale w tym roku będzie inaczej. Musi być.

Autobus podczołgał się leniwie na przystanek, spóźniony jak zwykle o trzy minuty. Utartym zwyczajem ochlapał nieuważnych pasażerów brunatną breją pośniegowego błota. Ten sam co zawsze grymas zniesmaczenia zdobił wąsatą twarz kierowcy. Ledowy ekran z cyfrowym, bezdusznym wdziękiem lakonicznie wyświetlał datę: drugi stycznia. Tłok był na tyle umiarkowany, że udało jej się zająć miejsce siedzące obok cuchnącego jeszcze Sylwestrem grubego jegomościa w wyblakłym kaszkiecie. Naciągnęła głębiej futerkowy kaptur, wcisnęła „play” w empetrójce i według utartego scenariusza codziennego dojazdu do pracy pograżyła się w nieobecności.

– Ale bym ją zerznął. – Wyrwało ją z nicości. – Nie schodziłbym z raszpli przez tydzień. – Sączyło się cichutko z lewej strony. Dorota poprawiła kaptur i dyskretnie wyłączając odtwarzacz, nadstawiła uszu. Przez chwilę Midnight Oil nadal grał w jej głowie *Beds are burning*, lecz już po sekundzie znowu to usłyszała: – O tak, dziwko... do buzi... bierz do buzi...

– Jezu, jak śmierdzi – wysnęło jej się półgłosem, gdy poczuła odór zjełczałego sera.

– Ma śmierdzieć! Z połykiem, suko! – zawyło jej pod czaszką, równocześnie usta wypełnił kawałek sztywnego mięsa, skutecznie odcinając dopływ powietrza. Chciała krzyknąć, lecz nie mogła wydobyć głosu z przytkanej cuchnącym ochłapem krtani. Zerwała się gwałtownie z siedzenia, tocząc wzrokiem po

wnętrzu autobusu. Wszyscy siedzieli lub stali wpatrzeni w przestrzeń, jedynie kaszkietowy grubas zerkał na nią z ukosa.

– Ssij, maleńka – intonował ochryply głos. – Przecież to lubisz...

Poczuła mocne szarpnięcie za włosy. Niewidzialna ręka wzmocniła uchwyt i ciągnąc z całej siły nadziewała ją raz za razem na żyłaste, rozedrgane prącie. Zaczęła się dusić, charczeć, lecz nikogo to nie obchodziło, tylko wyraźnie rozluźniony grubas wpatrywał się w nią natarczywie. Ostatkiem sił rzuciła się w stronę przycisku do otwierania drzwi. Dławiąc się, ze łzami w oczach wypadła w objęcia przystanku. Ucisk zelżał, obolałe gardło pulsowało, niesmak w ustach był nie do zniesienia.

– Wszystko w porządku? – Usłyszała, jednocześnie czując zimną rękę na piersi. – Jakoś pani blado wygląda. – Starszy pan zbliżał się powoli, dyskretnie wycierając rękawem burej jesionki strużkę śliny ciekącą po zarośniętej siwymi kępkami brodzie. Poczuła mocne uszczypnięcie w sutek. – Potrzebuje pani pomocy?

Oślizgły język penetrował jej ucho, podczas gdy zrogowaciałe, suche palce wykręcały sutki niemal je urywając.

– Niech mnie pan zostawi! – Krzycząc z bólu, próbowała oddalić się od starca. Nagłe ugryzienie w szyję podziałało jak kubeł zimnej wody. Skoczyła do przodu, wpadając wprost w ramiona łysego okularnika kurczowo ściskającego urzędniczą aktówkę.

– Niech pani uważa – obruszył się na chwilę wytracony z równowagi mężczyzna, równocześnie lustrując pożądliwym wzrokiem jej krągłą pupę. Coś twardego napierało natarczywie od tyłu. Osunęła się na ziemię w chwili gdy ogromny, tępy penis wdzierał się boleśnie między zaciśnięte pośladki. Świat zaczął istnieć bez jej świadomego udziału. Urywane słowa otuchy zlewały się z obleśnym rżeniem, pełne litości spojrzenia odzierały zarazem z szat, opiekuńcze gesty były jednocześnie brutalnym gwałtem w psychopatycznym, zbiorowym szale, empatyczne szepty mieszały się z wrzaskami mrocznych żądź. Dwie równoległe rzeczywistości istniejące naraz, tu i teraz. Wszystko jak przez mgłę, jak w sennym koszmarze. *Chcesz w dupala, szmato? No, powiedz, że chcesz...* Niech ktoś wezwie karetkę! *Kręcimy pokrętełka... jak w radyjku... Śliiiiiczne cycuszki...* Niech się pani ocknie... *A masz, ladacznico, pejczykiem... Chodź do tatusia, tatuś ugryzie w karczek...* Co jej jest? *Ona zaraz zejdzie... O tak, w kakao, brudna dziro...*

Ocknęła się w karetce. Przerażliwy jazgot syreny bezlitośnie przewiercał jej mózg. Wszystko ją bolało, absolutnie wszystko. W radiu akurat grali *Take my breath away*, jakby trochę drocząc się z karetkową rzeczywistością. Otworzyła oczy, napotykając skupiony wzrok ratowniczkii o pięknych rudych włosach.

– Spokojnie, zaraz będziemy na miejscu – wyszczebiotała, wysuwając koniuszek języka, niczym wąż wietrzący ofiarę. – Czy jest pani uczulona na jakieś leki? – Pytanie lekarza zbiegło się eksplozją zmysłowych doznań między udami Doroty. Język ratowniczkii pieścił jej łechtaczkę kolistymi ruchami. Ciepłe palce lekarza już po chwili dołączyły, delikatnie gładząc okolice sromu. Pierwszy skurcz, zwiastujący nadchodzący orgazm, wstrząsnął jej ciałem. Kierowca zerknął we wsteczne lustro, zaciekawiony urywanymi pomrukami rozkoszy. Ciasna obręcz zacisnęła się gwałtownie na jej szyi.

– Daj mi ostatnie tchnienie – wrzeszczała nabrzmiała twarz szofera. – Daj mi ostatnie tchnienie...

Siedział na niej okrakiem i dusił jedną ręką, drugą rytmicznie szarpał nabrzmiące prącie w onanistycznym amoku. Lekarz i Ruda nadal ją pieścili. Coraz mocniej, zajadlej. Nie mogła się ruszyć, złapać tchu.

Świat znowu odpłynął. Skrawki świadomości odzyskiwała powoli, będąc już na szpitalnym OIOM-ie. Szczelnie przylegająca do twarzy maska tlenowa, zamieniona w wielką włochatą waginę, ciasno obejmowała jej usta. Elektrody raz za razem zbliżały się do niej i frykcyjnymi ruchami, to dotykając

metalowymi mackami, to znów się oddalając, penetrowały ciało strumieniami elektronów, gwałcąc dosłownie każdą komórkę umęczonego organizmu. Stetoskop lubieżnie obmacywał piersi, rurka do intubacji wspinała się na wyżyny akrobatyki w cyrkowej wersji fellatio. Cewnik już dawno robił swoje, rytmicznie ją ujeżdżając. Wesoło mrugający monitor, nie mogąc się fizycznie zbliżyć, zdawał się werbalnie zachwycać ponętą powłoką pacjentki serią urywanych pisków.

– Chcę cofnąć życzenie, proszę! – Gorączkowo próbowała uchwycić wzrokiem kogoś z ekipy lekarskiej. – Już nie chcę być... Kominiarza... wezwijcie kominiarza – zdołała wyszeptać.

Nie było jednak żadnego kominiarza w pobliżu, którego mogłaby złapać za guzik i odszczekać niefortunne życzenie.

Odeszła, szczytując. Pożegnała się ze światem w pełnej chwale kobiety powszechnie pożądanej.

– Jaka seksowna cizia – mruknął pracownik domu pogrzebowego rozpinając rozporek.

Mniam, mniam, ale apetyczna lala – pomyślał biały, tłusty robaczek, gdy w końcu przegryzł się przez drewniane wieko trumny.

– Jezu, ale laska – zachwycił się odźwierny Piotr, doznając niebiańskiego wzwołu.

WULGARYNKA

Irek dumnie rozwalał się w rozkładanym fotelu, dzierżąc w ręku insygnia władzy w postaci pilota do telewizora i telefonu komórkowego. Ten pierwszy reprezentował niepodzielne władanie w zaciszu domowym, ten drugi szerzył hegemonię w olbrzymich wnętrznościach szklano-betonowego przybytku, zwanego również skromnie miejscem pracy dyrektora handlowego. Na nieco przerośniętym torsie i takowym brzuchu opinała się z gracją czarna koszulka – świeżo zakupiony T-shirt krzyczący białymi literami anarchistyczne hasło: „Fuck Google, ask me!”. Irek był z niego bardzo dumny, a jeszcze bardziej ze swojego pięcioletniego synka Pawełka, którego zamierzał uchronić jak najdłużej się tylko da przed destrukcyjnym wpływem internetu, komórek, wszechwiedzącego Google’a i Facebooka. Razem z małżonką Katarzyną kultywowali zwyczaj rozmawiania z dzieckiem na wszystkie, nawet te niewygodne tematy, ostentacyjnie czerpiąc wiedzę z wielkich encyklopedii, słowników i zakurzonych poradników zalegających na półkach domowej biblioteczki. Mieli również w zwyczaju czytać Pawełkowi do snu lub opowiadać wymyślone przez siebie bajki. Podczas gdy Katarzyna coraz częściej musiała siedzieć wieczorami i ślęczeć nad papierkową robotą – klątwą nauczyciela języka polskiego klas maturalnych – obowiązek wieczornej lektury spadał na Irka, który zazwyczaj swoją powinność spełniał z nieukrywaną radością. Natomiast gdy w grę wchodziły rozgrywki jego ulubionej drużyny piłkarskiej kolidujące z wieczornym „czasem bajek” w dziecinnyim pokoju, sprawa robiła się co najmniej nieprzyjemna. Na swoje szczęście Irek odkrył na łamach codziennej gazety, dostarczanej regularnie do skrzynki na listy, że w ramach akcji „Cała Polska czyta dzieciom” uruchomiono specjalne linie telefoniczne, gdzie po drugiej stronie czekały panie lektorki spragnione telefonów od wygłodniałych bajek dzieci. Można było zadzwonić i wybrać sobie jakiś tytuł lub zdać się na losowo trafiony utwór i przenieść do świata wesołych rymowanek Brzechwy lub mrocznej i smutnej krainy Andersena. Dla Irka to było wybawienie. Kiedy tylko nadchodził czas czytania równocześnie z transmisją meczu, a Katarzyna, uwięziona w domowym gabinecie, w amoku pedagogicznym kreśliła czerwonym mazakiem zwyczajowe „ort”, „styl” i „bzdury, troglodyto!” na marginesach uczniowskich wypracowań, Irek wręczał synkowi bezprzewodową słuchawkę domowego telefonu, wystukiwał numer bajecznej linii i zostawiając dziecko na pastwę baśniowych historii, z czystym sumieniem włączał telewizor. Tymczasem, siedząc już trzeci dzień w „piłkarskim” fotelu, zamiast w pokoju chłopca, i przygotowując się do inauguracyjnej puszki piwa, usłyszał, a może mu się tylko zdawało, śpiewną litanię przekleństw dochodzących z pokoju Pawełka. Ściszył telewizor, nadstawił ucha i... zmartwiał. Z azyłu chłopięcej magicznej krainy dobiegało podśpiewywane „cipa, dupa, cycy, pierdolić”. Na palcach zakradł się do gabinetu małżonki i trzymając palec na ustach, niemal siłą zawlókł przerażoną kobietę pod pokój ich wychuchanej latorośli. „Chuj, chuj, pizda, jebać...” – dobiegało radośnie z półmroku.

– Pawełku! Skąd ty znasz takie brzydkie wyrazy? – niemal chórem wygrzmieli rodzice.

– Yyy, hmm, znaczy... – bąkał wyrwany z wesołego letargu chłopiec.

– Nie bój się, nie gniewamy się, tylko powiedz, gdzie to słyszałeś?

– Od tej pani, co mi bajki w telefonie czyta, ja nie wiedziałem, że to brzydkie wyrazy...

– Nie kłam, Pawełku! Powiedz prawdę!

– Naprawdę, to tato do niej dzwoni, a ona mi czyta... – Pawełek był bliski płaczu.

– Już dobrze, synku. Idź spać, a ja z tatusiem porozmawiam.

No i rozpętało się piekło. „Jaka pani? Dlaczego sam nie czytasz? Co to za pomysły? Dlaczego on kłamie? Skąd on to przywlókł?”. Pytania, zadawane prawie jednocześnie, z prędkością światła, nie wytrąciły Irka z równowagi i jako człowiek praktyczny, a nie gdybający, a także całym sercem wierzący w szczerść swojej pociechy, chwycił za telefon, zamknął drzwi od salonu, włączył zestaw głośnomówiący i wybrał numer do zegarynki.

– *Dzień dobry, dodzwoniłeś się do centrum bajek. Jeśli chcesz posłuchać Lokomotywy wciśnij jeden, jeśli chcesz...*

Irek, nie czekając na dalsze możliwości, wcisnął czym prędzej jedynekę na klawiaturze aparatu i z głośników popłynął damski głos o mocno chropowatym brzmieniu.

– *Stoi na stacji lokomotywa, ciężka, ogromna PIZDA, CHUJ i pot z niej spływa, tłusta oliwa. JEBAĆ KURWĘ. Para buch, koła w ruCHAĆ, PIERDOLIĆ...*

Błady na twarzy Ireneusz rozłączył rozmowę, Katarzyna, z miną porażonego prądem głonojada, ciężko opadła na fotel.

Biedni rodzice nie mogli wiedzieć, że oprócz akcji „Cała Polska czyta dzieciom” trwa również ogólnoeuropejska akcja zatrudniania osób niepełnosprawnych. Tylko roztrzepanie urzędnika, nadzorującego przydział poszczególnych jednostek do konkretnych czynności zawodowych, sprawiło, że osoby o słowicznych głosach i z niedowładem kończyn skierowano do pracy w szklarniach i magazynach; do działów telefonicznej obsługi służb ratowniczych trafili ludzie z wrodzoną wadą wymowy, a do czytania bajek oddelegowano dotkniętych zespołem Tourette’a.

Pawełek tymczasem zasnął, przytłoczony nadmiarem emocji. W złowieszczej krainie Pługawii toczył heroiczne boje z brzydkimi wyrazami, które, wypływane niczym zaklęcia przez złą wiedźmę Wulgarynkę, przyjmowały postać zielonych gnomów i niezmiennie dążyły do przejęcia władzy nad światem.

OPowieść wigilijna

Budzi się przy muzyce, zawsze przy muzyce; przenikliwe pii–pii–pii budzika to dla niego zbyt wiele w tych pierwszych mglistych chwilach dnia. Jak pisk hamulców, odgłos stalowych pazurów Freddy'ego Kruegera, jak dźwięk dentystycznej bormaszyny – tej z cienkim wiertłem, która sika lodowatym strumieniem wody wprost na nieosłonięte szkliwo. Co tydzień ustawia inną piosenkę w odtwarzaczu. Wielokrotnie wysłuchany utwór w koszmarnych okolicznościach porannego wstawania, choćby nie wiadomo jak uwielbiany, szybko staje się synonimem brutalnego powrotu do ponurej rzeczywistości.

Zwleka się z jednostronnie pustego, dwuosobowego łóżka. Już prawie zapomniał, jak to jest dzielić z kimś rozkosze i udręki wspólnej alkowy. „I'll see you, see you on the other side” rozbrzmiewa z czarnych, starych głośników, podczas gdy on stawia stopy na lodowatej podłodze. Krzywiąc się i mrugając nieprzytomnie, z włosami sterczącymi na wszystkie strony, pędzi w kierunku plastikowego boomboxa. Wściekle wali otwartą dłońią w wypukły przycisk z napisem „power”. Świecąca na zielono dioda zmienia barwę na czerwoną, a Ozzy Osbourne zostaje brutalnie odesłany do krainy „stand by” – piekła wiekuistego czuwania, wiecznie niedokończonego refrenu.

Parząc sobie dłonie wysłużoną szklanką, siorbie czarny wrzątek o konsystencji mułu. Bóg zapłać ekspresowi; szkoda tylko, że filtry się skończyły.

Mozolnie wyszukuje ciuchy na dzisiejszą okazję. Z faszystowską wręcz precyzją selekcjonuje ubrania pod kątem koloru. Dzisiaj czerń ma aryjski status. Czarna koszula, buty z marnej imitacji skóry i flauszowy płaszcz, ostatni krzyk mody z katalogu „dziesięć lat i dwadzieścia kilogramów temu”. Czarny krawat przetykany srebrnymi nićmi, urzędnicza aktówka, elegancki zegarek – podróbka Timexa.

Szczerbatą szczotką, jak na złość czerwoną, obłaskawia niesforny chaos długich, poplątanych włosów. Formuje je w niezdarny kucyk, równie na czasie, co cała sfatygowana garderoba.

– Przystojniak, kurwa, od siedmiu boleści – mamrocze, patrząc w popękane lustro. „Też cię kocham” zdaje się odpowiadać zmęczone odbicie, wysyłając puste spojrzenie podkrążonych oczu.

Wychodzi.

– See you on the other side – nuci w pustkę klatki schodowej i zatraskuje zamki. Dwukrotnie wraca, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknął oba. Czy przekręcił klucz dwa razy i czy w dobrą stronę.

Za brudnym oknem od lewej strony nadpełza miasto. Przez szary osad wydaje się jakąś gargantuiczną ruiną, wymarłą Atlantydą, która, wynurzywszy się z morza, martwo spogląda w szare niebo. Dzień znów dławi się brudnym śniegiem, stalowy świt kaszle podmuchami lodowatego wiatru. Wnętrze autobusu śmierdzi poranną kawą, porannym dezodorantem, porannym trawieniem. Twarze obrzmiałe, jak zwykle o siódmej, oczy spoglądające bezbronnie do wewnątrz, niemrawe rozmowy. O tej porze nawet abstynenci wydają się mieć kaca. Zakrywają twarze gazetami, zjednoczeni we wspólnej udręce, a zarazem oddzieleni od siebie murem drukowanych sensacji. „Prezes został królem Polski, akcje na giełdzie zwyżkują, kara śmierci wróciła do łask, aborcji mówimy nie, religia obowiązkowa na maturze, kolejna sex taśma Paris Hilton”. Życie jest słodkie.

On sam ma przed nosem krzyżówkę z „Kuriera” i choć wypełnił już parę krutek, to raczej jest to mechanizm obronny. Dopóki twarze są anonimowe i nikt go nie zagaduje, nie wita, nie pyta, co słyhać – jest w porządku. Bycie jednym z wielu wśród nic nieznaczących jednostek daje poczucie bezpieczeństwa. Jednak nie może oprzeć się pokusie obserwowania innych. Kilku garniturowców, wyróżniających się czerwonymi krawatami, prowadzi rozmowę o niczym przyciszonymi, zaspanymi głosami. W dumnych barwach korporacyjnej sekty nieco odstają od reszty. Sprzedawcy marzeń, akwizytorzy kredytowej niewoli, aksamitne szczury, które do południa będą już na całego pędzić w swoich kołowrotkach, mamieni obietnicami zawrotnej kariery. Pulchna blondyna z uśmiechem błakającym się po twarzy. Czy po upojnej nocy bogaty kochanek obiecywał po raz setny, że zostawi żonę i trójkę dzieci właśnie dla niej? Porzuci wszystko, by do końca życia trwać w jej objęciach? Chudy nastolatek w nieodłącznych słuchawkach z klęską wypisaną na pryszczatej twarzy. Jedzie do szkoły, na wagary, czy do kasyna, gdzie przymykają oczy na nieletnią metrykę? Pomarszczona babcia obraca w artretycznych palcach różaniec, pogrążona w bezgłośnie modlitwie o zdrowie ojca Dyrektora: „Niech Bozia da zdrowie, siły i miejsce na platformie cyfrowej – elektronicznej prawicy Pana naszego”.

I wreszcie on sam: z wyrokiem dożywotniej samotności i frustracji, z przetrąconym przez życie umysłem. Może niegdyś chodził do katolickiej szkoły parafialnej, może zdarzyło mu się przytrzymywać szkolnego fajtlapę, podczas gdy jego kumpel bił na oślep szczerbatą sztachetą, a może zabijał dziesięcioletnich terrorystów w Afganistanie, szerząc pokój w amerykańskim stylu. Nikt w autobusie nie musiał o tym wiedzieć. To właśnie jest fajne w środkach komunikacji miejskiej.

– Wszystko gotowe do świąt? – zaskakuje go pytaniem jakiś facet uwieszony na poręczu tuż nad jego siedzeniem.

Podnosi więc głowę niemal z grymasem, po czym dochodzi do wniosku, że jest to uwaga bez znaczenia, ot, rzucona dla zabicia czasu. Facet, znajomy z widzenia, jest potwornie gruby i już zaczyna śmierdzieć, chociaż bez wątpienia wylał na siebie wiaderko pachnidła z Biedronki. Na szczęście prawie nie patrzy w jego kierunku, więc wszystko w porządku, a on na pewno nie zapomniał, że dzisiaj jest Wigilia. Przecież ma dla wszystkich gwiazdkowy prezent. Jedyny w swoim rodzaju, od serca, wieczny.

– Tak jakby – odpowiada ze wzrokiem wbitym w aktówkę stojącą na podłodze, zawierającą dwa kilogramy C-4 i nic więcej. – Zaczynam się wczuwać w nastrój.

Kierowca autobusu pogłośni radio ustawione na lokalną stację, jak zawsze grają muzykę w stylu retro. Z głośników płynie *White Christmas* we wspólnym wykonaniu Binga Crosby'ego i Franka Sinatry. W uszach właściciela aktówki niezmiennie rozbrzmiewa szlagier Osbourne'a.

See you on the other side – mknie razem z impulsem elektrycznym po miedzianej autostradzie: od przycisku na aktówce do zaspanego zapalnika, gwałtownie wyrwanego ze snu w swoim łóżu z „plastiku”.

OSIEDLOWE KRAJNISTORY

Dla Kasi

Wypadam z półcienia klatki schodowej wprost w objęcia Kleszczowego. Łeb ma, wypisz wymaluj, jak kowadło (ponoć ukształtowany porodem kleszczowym), bełkotliwą mowę i nieco wolno myśli. Odpowiada mi „dzień dobry” z typowym dla niego opóźnieniem, gdy ja już kilkadziesiąt metrów dalej mijam Analnego; ten z istic lordowskim szykiem prowadzi się ze swoim prawie rasowym jamnikiem. Pies zdaje się niedomagać na tylne łapy i niemal wlecze je za sobą, komicznie kręcąc zadkiem.

Analny mieszka nade mną, vis-a-vis Kleszczowego. Niby mieszkania mają takie same, ale Kleszczowy to niechluj pełną gębą, za to Analny – picuś glancuś, blokowy pan Monk. Nawet ten jego jamnik wygląda jak przycięty od miary. Kot Kleszczowego natomiast, z wiecznie rozbieganym wzrokiem, przesiaduje całymi dniami w oknie, nie wiedzieć czemu do połowy zakopany w doniczkę, czeka cierpliwie na codzienną porcję kaszanki. Lornetkowa, jak zwykle, „półzwisła” z balkonu na drugim piętrze z gracją kawałka słoniny, próbując podejrzeć, co porabia Naukowy, który, szczelnie zawekowany w kawalerce w bloku naprzeciwko, tkwi przyklejony do klawiatury komputera, nawet w największe upały.

Naukowy nigdy nie wychodzi z domu. Dwa razy w tygodniu przywożą mu zakupy zamawiane przez internet. Na drzwiach od lat wysprejowane „jechać kumatego” widocznie mu nie przeszkadza. Przykuta do wózka Lornetkowa całymi dniami przesiaduje na balkonie.

Ach, ale było śmiechu, jak jeszcze całkiem zdrowa zleciała z balkonu, śledząc wzrokiem Ospowatego, który roznosi gazety reklamowe. Ospowaty jak w dziewięćdziesiątym drugim tę fuchę załapał tak do dziś dyma, wiecznie przygięty ogromną torbą. Listonoszem był za komuny. Z pracy go zwolnili, kiedy nie zważając na zmianę ustroju, nadal podkradał końcówki rent i emerytur. To Haczykowata go wyspała. Nie tyle dotknięta złodziejstwem Ospowatego, co raczej brakiem zainteresowania z jego strony na jej namolne zaloty i kokieterię. Ale kto o zdrowym postrzeganiu kobiecej urody tknąłby Haczykowatą? Ślepowaty! Ślepowaty nie krył pożądania względem Haczykowatej. Być może w trójwymiarowym pryzmacie jego grubych jak dno słoika goglach wyglądała zjawiskowo. Być może jej monstualny kinol nie przypominał wielorybniczego harpuna po tuningu, a brwi brezniewki zdawały się rzadsze. To wiedział jednak tylko Ślepowaty.

Ślepowaty trzymał sztamę z niejakim Spieczonym, dopóki nie wyszło na jaw, że ów posuwa mu siostrę. Warzywna z wdziękiem wora kartofli, które sprzedawała na pobliskim targu, rozchyłała nogi przed każdym, dosłownie każdym, zwłaszcza przed Spieczonym, królem miejscowej budki zwanej szumnie „Grillbarem”. Ze Spieczonego był kawał chłopca, wyglądem adekwatny do mięsno-smażalnej aury otaczającej go na co dzień. Ponoć kiedyś poślizgnął się podczas przygotowywania zestawu „Mięsny łuj z frytkami” i zamiast rzeczony porcji frytek wsadził całe ramię do kuwety z wrzącym olejem. Teraz dumnie obnosi się ze średnio wypieczoną kończyną, nie wiedzieć czemu działającą jak afrodyzjak na lokalne kobietki. Warzywna zaś, targana niezdrowym popędem, odstawiła ogórki-zaspokajające

i karcianych lowelasów, by całkowicie oddać się mięsnej sztuce Spieczonego o niemal końskim rozmiarze. Chodzili smutni Rybny i Lombardowy, Ruski i Pierdzielowy, czterech brydżowych compañeros. Rybny ciągnął za sobą woń śledzi, jak na ironię pracował przy taśmie w przetwórni o nazwie „Szprot”. Lombardowy oddał już wszystko instytucji lombardu o nazwie „Złoty ząbek”, wliczając w to dwa trzonowce wypełnione owym szlachetnym kruszczem. Ruski żenił poradzieckie budziki, notorycznie przegrywając z chińską konkurencją, a bezrobotny Pierdzielowy godzinami dopieszczał swojego małego fiacika, wpadając w furię na słowa „kaszlak”, „pierdziel” czy „gierkowski wypierdek”, kierowanych pod adresem autka.

Ileż to razy panowie grywali o Warzywną w brydża. Wymagająca była. Jedyne szlemik bez atu otwierał drogę do miłosnych igraszek, za szlem w kolorze kier oddawała się bez pamięci wygranemu duetowi. Ale teraz? Nic z tego. Spieczony zgarniał pulę bez wysiłku, na mrugnięcie, o brydżu nie mając pojęcia.

Wtedy zaczęło się psuć na osiedlu.

Zasadziła się pewnego razu brydżowa czwórca na Spieczonego, gdy ten wracał do domu wieczorową porą, spełniwszy swe ogórkowe obowiązki względem Warzywnej. Plan mieli doskonały, zrodzony w pochłoniętych rują umysłach i nabrzmiałym do granic nabiale.

Pierdzielowy miał za zadanie zarzucić pokrowiec z fiacika na głowę Spieczonego, Lombardowy przyłożyć drewnianą laga, Ruski poćwiartować zwłoki, Rybny zutilizować – po trosze dorzucając do rybnej papki na taśmę w przetwórni „Szprot”.

Plan nie do końca wypalił. Pierdzielowy zaplątał się w pokrowiec, laga chybiła; Ruski ćwiartować już nie miał co. Rybny za to utylizować musiał wszystkich. W ferworze walki wytłukli się nawzajem. No, może nie do końca wszyscy. Spieczony zręcznie połamał napastników, miażdżąc im na koniec czaszki ciosami Fleischwolfa made in Germany, którego akurat pożyczył od Warzywnej. Jego samego zabiły emocje. Zszedł na zawał, nim dopadł Rybnego. Rybny zmuszony sytuacją zręcznie wszystkich poćwiartował, zawiózł kaszlakiem Pierdzielowego do firmy, przemielił i pochował w puszkach. Aferę odkryła Warzywna, gdy otworzyła przypadkiem puszkę śledziową, chcąc zakąsić wódeczkę, którą raczyła się żałobnie, jak przystało na słomianą wdowę. Los chciał, że po smaku rozpoznała znajomą sztukę mięsa (bo kształtem i wielkością do oryginału brakowało), jakże często goszczącą w jej ustach. Dalej na spytki Rybnego, co snuł się jak smród po gaciach i co chwilę pod nosem mruczał: „bez atu, zostałem bez atu”. Popłynęły gorzkie łzy, wyśpiewał wszystko jak księdzu na spowiedzi. Zbawienne katharsis umysłu zbiegło się z gwałtowną śmiercią Rybnego, gdy nóż do obierania kartofli prowadzony wprawna dłońią Warzywnej niemal oddzielił głowę od ciała. Spoczął więc Rybny w worku kartoflanym, w magazynku straganu Warzywnej, która czym prędzej musiała się komuś wyzalić. A komu, jak nie bratu? Ślepowaty wysłuchał jej słów z uwagą, po czym udusił Warzywną wojskowym pasem, pomny artykułu w kwartalniku „Znachor” o cudownych właściwościach smalcu wytapianego z ladacznic-morderczyń, ponoć przywracającego wzrok ociemniałym. Pół wanny tłuszczu zdążył pozyskać i już zabierał się do smarowania, gdy w drzwiach do mieszkania ujrzał Haczykowatą zaniepokojoną nietypowym smrodem. Ta w mig w sytuacji zorientowana, jak nie zdzieli Ślepowatego w czerep wałkiem do ciasta. Okulary wprasowały się w miejsce oczu, mózgowa galareta wypływała uszami na podłogę, a Ślepowaty pierwszy raz w życiu zobaczył Wielki Wóz, zanim zszedł na dobre. Wtedy pojawił się zniecka Ospowaty z torbą wypchaną ulotkami, chwycił za łeb Haczykowatą i tak długo trzymał zanurzony w wannie pełnej smalcu, aż nos niekształtny wypuścił ostatnią bańkę powietrza. Uradowany, że w końcu ukarał denuncjatorkę, splądrował mieszkanie i zamknawszy miejsce zbrodni na cztery spusty, miał zamiar oddalić się chyłkiem. Gdy dyskretnie przemierzał klatkę schodową, niespodziewanie nadział się na Lornetkową, która,

zwabiona hałasem, wytoczyła się przez drzwi na wózek i wypatrzyła co nieco kaprawymi ślepiami, co nieco usłyszała uszami chciwymi plotek.

Ugadać się trzeba było jakoś, podzielić łupem, na zgodę przepić herbatą... kretem do rur posłodzoną, o czym wnet przekonał się boleśnie i ostatecznie Ospowaty. Niedługo myślała nad swym szczęściem Lornetkowa. Balkon przyzywał, kusił maniackalny przymus obserwowania. W samą porę wturlała się na swój taras widokowy, by ujrzeć widok niecodzienny. Naukowy opuścił mieszkanie, stał po raz pierwszy od lat na ulicy, patrzył w słońce, mrużąc oczy odzwyczajone od światła. W ręku trzymał gruby plik kartek; powieść, pracę naukową? Któż to wie, co tam latami pisał w zaciszu domowym. Lornetkowa patrzy, nie wierzy, kręci pokrętłami, przybliża, wyostrza obraz. Twarz Naukowego wykrzywia grymas, ściąga prawy kącik ust do dołu, nieszczęśnik wywraca oczami, w końcu pada jak rażony gromem. Lornetkowa dobrze wie, że to udar, oglądała *Ostry dyżur* na tefalenie. Wychyla się, ile tylko może, szarpie, podciąga, by uchwycić agonię z bliska; wspina na barierkę, już prawie stoi. Wózek leci do tyłu, odepchnięty siłą naporu, Lornetkowa traci równowagę i pikuje przez barierkę głową w dół.

A ja?

Ja wracam tymczasem z zakupów, uboższy o „luj burgera” od Spieczonego, kartofle od Warzywnej, mijam samotnego, pokrywanego się rdzą fiacika, pozbawionego opiekuńczej ręki Pierdzielowego. Patrę w puste okno Naukowego, gdzie nadal zdaje się tkwić utrwalony w próżni cień pochylonej nad laptopem sylwetki. Zerkam na balkon – bocianie gniazdo opuszczone przez obserwatora, nie widzę brydżowych zmagania przy parkowym stolicku do szachów. Ulotki roznosi znowu listonosz. Analnego ponoć zamknęli w psychiatryku, kiedy odkryli powód niedomagania jamnika. Oprócz nerwicy natręctw, objawiającej się pedanterią w czystości, Analny okazał się zoofilem.

Wpadam z powrotem w objęcia klatki schodowej, znowu zderzam się z Kleszczowym; ciągnie na smyczy jamnika po Analnym, po raz kolejny odpowiada mi „dzień dobry”, tym razem wykazując się refleksem. Słyszę go, gdy wchodzę do swojego mieszkania piętro wyżej. Smród wytapianych skwarków jest nieco złowieszczy, choć swojski. Cicho coś dzisiaj, spokojnie jak w grobie. Nawet doniczkowy kot nie śpiewa kocich arii. Ciekawe, jak dogaduje się teraz z jamnikiem?

Przez drzwi słyszę rumor dobiegający ze schodów. Mam nadzieję, że to nie Kleszczowy spadający trzy piętra w dół. Nie chcę zostać sam.

DROBNY PROBLEM

Zona patrzy na mnie dziwnie. Nieufnie i badawczo. Nic nie mówi, ale czuję, jak mnie obserwuje. Czyżby coś podejrzewała?

Pobraliśmy się pół roku temu, wciąż tkwimy w tej specyficznej fazie, w której drugą osobę traktuje się z niesłychaną ostrożnością, nie zdradzając przy tym własnych dziwactw. To tylko kwestia czasu zanim ona okaże się zwykłą zrzędą. Nie jest typem kobiety, która rzuca talerzami, grozi wyrzuceniem z domu, odsyła na kanapę, ale jej ciche, nieustanne lamentsy rujnują mi nerwy.

Muszę przyznać, że na razie panuje nad sobą, nadal próbuje mi dogadzać. Przygotowuje moje ulubione potrawy, we właściwym czasie wstawia piwo do lodówki, razem oglądamy mecze piłki nożnej w telewizji, choć wiem, że ewidentnie woli telenowełe.

Jednak stale mnie inwigiluje. A może mam paranoję?

Wiem, że wyszła za mnie, bo nie potrafiła istnieć bez faceta, bez poczucia opieki, stabilizacji, z ciężącym stygmatem staropanieństwa. Ja wolałem jarzmo małżeństwa niż dotychczasową egzystencję – renta, socjal, komunalna kłitka, samotne życie bez perspektyw.

Zjawiła się w samą porę – Marta, żona doskonała, a wraz z nią mały sklepik z pamiątkami, który odziedziczyła po zmarłym ojcu. Nie mogłem zmarnować takiej okazji.

Jestem więc żonaty, mam dach nad głową, pracę.

Znowu jestem na chodzie – połatany, posklejany, ale sprawny.

I akurat teraz – właśnie to. To dziwne uczucie na granicy obsesji, niemożność myślenia o czymkolwiek i kimkolwiek innym niż Ona.

Nie Marta.

Ona jest eteryczną blondynką o sięgających zgrabnej talii włosach (błyszczą w słońcu niczym złocisty jedwab), aniołem o niebieskozielonych oczach, których barwa zmienia się zależnie od tego, jak jasno jest na dworze i od koloru bluzki, jaką akurat ma na sobie. Czasami błękitnych jak niezapominajki, niekiedy turkusowych niczym głębia oceanu.

Uwielbiam jej ręce – drobne i szczupłe, o długich smukłych palcach. Podziwiam zjawiskowe nogi – delikatne, niemal kruche. Jakby ktoś pieczołowicie je wyrzeźbił z pięknego, jasnego drewna; ktoś, kto miał mnóstwo czasu i wizję pełnej wdzięku doskonałości. Nie ma w Niej nic, absolutnie nic, co można nazwać nieforemnym, niezgrabnym, prostackim.

Marzenie idealne i ulotne jak miraż.

Kiedy o Niej myślę, perlisty pot zrasza mi czoło. Gdy Ją widzę, nie jestem w stanie oderwać wzroku. Zawsze staram się być w bramie domu, kiedy Ona spaceruje wzdłuż ulicy. Przeważnie właśnie wtedy ustawiam cenniki na wystawie, przecieram szklaną witrynę lub zamiatam chodnik – cokolwiek, co pozwoli mi sycić się Jej widokiem. Kocham Jej kocie ruchy, długie, sprężyste kroki, jakże inne od niezdarnego dreptania małżonki. We wszystkim co robi, jest tyle witalności. Nieważne czy biegnie, śmieje się, czy mówi; z całej Jej postaci bije radość, energia, piękno. I nieziemska uroda.

Czy to jest miłość? To musi być miłość. Nie tylko pożądanie, podniecenie, lecz także tęsknota zrodzona z potrzeby kochania. Do nikogo, z moją ślubną na czele, nigdy nie czułem czegoś podobnego. Przecież Marta jest tylko pewnego rodzaju kompromisem, rozwiązaniem awaryjnym; stanowi coś w rodzaju gorzkiej konieczności, której należy czasem ulec, kiedy życie sięga dna, a egzystencja sprowadza się do zwykłej wegetacji.

Dobrze wiem, że sprzeciwianie się życiowym koniecznościom do niczego nie prowadzi. Już dawno zdążyłem się pogodzić z tym faktem. Jednak tli się we mnie jakiś wewnętrzny opór – beznadziejny, niszczący, trwałe, niezłomny.

Ale jaką mam szansę?

Nie jestem atrakcyjnym mężczyzną. Kiedyś może tak, jednak nie dzisiaj. Ogromny brzuch zawdzięczam upodobaniu do piwa i tłustego żarcia, obwisła, nalana twarz straciła wieki temu wyraziste rysy.

Czy to złotowłose чудо, ta piękna laleczka mogłaby mnie na przekór wszystkiemu pokochać? Z ogromnym brzuchem, z parą sinych worków pod oczami, ze świńskim stękanem i poceniem się przy każdym najmniejszym wysiłku? Mimo Marty i jej zazdrości, mimo ryzyka, na które się narażam, ulegając tej zakazanej fascynacji. Posiadam przecież jakieś wewnętrzne wartości, które mógłbym właśnie tej uroczej istocie przekazać. Już dawno zrozumiałem, że wszelkie próby wyrzucenia Jej z pamięci nie mają najmniejszego sensu.

I choć jestem pięćdziesięcioletnim workiem sadła, moją młodą duszę trawi płomień pożądania.

Drobny problem polega na tym, że Ona, blond ślicznotka, za którą usycham z tęsknoty dniami i nocami, jest młodsza.

Dużo młodsza.

Ma dziewięć lat.

LALKA

Dla Marka

Mamo, tato, poznałem dzisiaj dziewczynę. – Na pryszczatej fizjonomii Artura malował się obraz pełni szczęścia. – Czy mogę ją zaprosić na kolację?

Wyraz twarzy rodziców sugerował coś na kształt stanu przedudarowego, lecz już po chwili zdołali się opanować.

– Pewnie, synku. Będzie nam bardzo miło – wydukała Irena, kopiąc jednocześnie Adama w kostkę.

– Taaa, nie ma sprawy – wycharczał ojciec, przecierając nerwowo szkła okularów. – Dzisiaj, o siódmej, może być?

– Milena jest elastyczna, na pewno się zgodzi. – Rozanielony uśmiech nie schodził z oblicza Artura. Przecież to pierwsza sympatia w jego osiemnastoletnim życiu. – Przyjdzie na bank! – krzyknął w stronę wciąż zamurowanych rodziców i pobiegł do swojego pokoju na piętrze, pokonując po dwa stopnie schodów naraz.

Nie posiadał się z radości. Kto by pomyślał, że Milena od razu zgodzi się przyjąć jego zaproszenie.

– Musisz się przebrać – zawyrokował. – Powinnaś wyglądać jak dama. – Zniekształcony głos dudnił z wnętrza garderoby. – Tak, ta będzie idealna.

– On ma dziewczynę... Słyszałeś? On ma dziewczynę! – Usta Ireny otwierały się i zamykały, upodabiając ją do wielkiej zdziwionej ryby.

– Słyszałem. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. – Adam wyraźnie chwiał się na nogach. – Przy jego chorobliwej nieśmiałości to wręcz niewiarygodne. Jestem z niego naprawdę dumny. – Opadł bezwładnie na fotel. Bezwiednie namacał pilota i machinalnie włączył telewizor. – On ma dziewczynę. Mój syn, odludek i marzyciel, w końcu znalazł dziewczynę, on naprawdę kogoś ma.

Pustym wzrokiem gapił się w ekran brzuchatego telewizora, widząc już oczami wyobraźni jak chwali się kolegom z pracy: „Słuchajcie, Artur ma dziewczynę. I to jaką! Mówię wam, laska jakich mało”.

Rzeczywiście, była piękna urokiem nieco osobliwym i niewątpliwie elastyczna, choć w tym momencie sprawiała wrażenie trochę zeszywniałej. Przy suto zastawionym rodzinnym stole oniemiała z zaskoczenia rodzice wpatrywali się w syna, który z uroczystym wyrazem twarzy wkroczył do salonu, taszcząc pod pachą sklepowy manekin wystrojony w galową suknię Ireny.

– To jest właśnie Milena – oznajmił Artur najwyraźniej mocno zdenerwowany. – Prawda, że jest cudowna?

– Co to ma znaczyć? – wybuchnął ojciec i zaklął pod nosem, gdy łokieć małżonki boleśnie ugodził go

w zębra.

– Bardzo nam miło – wydusiła z siebie Irena, nieśmiało wyciągając rękę w geście powitania. Chłodny, twardy plastik wypełnił jej spoconą dłoń. Podtrzymując ramię manekina, Artur przesunął lalkę w kierunku ojca.

– Jej również jest bardzo przyjemnie – oznajmił, niezdarnie wpychając sztuczną dłoń Mileny w wielką, żyłastą prawicę Adama.

Dusznna atmosfera stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Gęstniała z każdą chwilą.

– Tak, tak, to dla nas wielki zaszczyt – chrząkał ojciec, nerwowo oblizując wargi. – Siadajcie proszę, częstujcie się.

– Milena jest na diecie i nie będzie jadła, ale na pewno napije się herbaty – oświadczył młodzieniec, sam nagarniając sobie na talerz podwójną porcję ryby po grecku.

Teraz powietrze można było już kroić nożem.

– A czy mogę wiedzieć, w jaki sposób się poznaliście? – Irena z wypiekami na twarzy skakała rozedrganym wzrokiem od syna do lalki, to znów od plastikowej kukły do swojej pociechy. – No, bo jakoś musieliście się poznać, prawda?

Chłopak rytmicznie miał rybę zębami, raz po raz głośno mlaszcząc, rodzice zaś wpatrywali się w Milenę jak zaczarowani.

Trzymała się nieco krzywo, pośpiesznie usadzona na krześle. Czarne długie włosy opadały równą falą na kościste ramiona. Wyglądała dosyć groteskowo w co prawda eleganckiej, lecz zdecydowanie za dużej dla niej sukni Ireny. Jak niesforna nastolatka, która próbuje dodawać sobie dorosłości, przebierając się w mamine ciuchy. Była równocześnie niezwykle infantylna i w pewnym sensie złowieszcza. Coś nie do końca pasowało w jej wyglądzie. Jakiś szczegół mocno kłócił się z wyobrażeniem typowego manekina. *To jej oczy* – równocześnie ich olśniło. Wyglądały jak... żywe. Jakby ktoś wsadził duszę do plastikowego ciała.

– Artek! Dosyć tych wygłupów! Gdzie się pozna... Gdzie ją znalazłeś? – ryknął ojciec, nie mogąc już dłużej znieść tej maskarady.

Wzdrygnął się, gdy poczuł przenikliwy wzrok lalki na sobie. W pokoju wyraźnie spadła temperatura.

– Odpowiadaj! Skąd ją wzięłeś! – wydzierała się Irena, tym głośniejsze, im bardziej czuła zimne ciarki wędrujące wzdłuż kręgosłupa.

Zrobiło się lodowato, a światło przygasło, jakby nagle zasłonięte mrocznym cieniem.

Sufit zniknął.

Wszystkich uniosło w powietrze.

– Milena! Marsz do łóżka! Rozmawialiśmy już chyba na temat pory gaszenia światła. Boże, dziewczyno, ile ty masz lat? Nie wstyd ci wciąż bawić się tymi starymi lalkami? Dorośnij wreszcie! To już prawie liceum, czas wziąć się za poważniejsze rzeczy niż zabawę rodziną Barbie.

Kobieta chwyciła trzy plastikowe postaci i wyjąwszy je z różowego domku, bezpośrednio przez uchylny dach, skierowała kroki w stronę wielkiego, drewnianego kufra, w którym córka zwykła trzymać stare zabawki. Gdy zamykała ciężkie, okute blachą wieko, odniosła nieodparte wrażenie, że w namalowanych oczach lalek czaił się autentyczny strach. Coś stuknęło cichutko o podłogę. Schyliła się. Miniaturowe okulary były ledwo widoczne na tle ciemnych paneli. Nie przypominała sobie, która z lalek mogła je „nosić”. Rozdeptała je z twardą premedytacją. Od niedomkniętego okna ciągnęło zimowym chłodem.

– Jutro zrobisz porządek z zabawkami. Chyba już najwyższy czas pozbyć się niektórych, raz na zawsze – rzuciła gniewnie. – I na litość boską, przestań w kółko wietrzyć.

Drzwi zatrasnęły się z hukiem za kobietą.

– Dobranoc, Arturze – szepnęła Milena, omiatając tęsknym wzrokiem ogromną skrzynię. – Twoi rodzice są naprawdę mili – dodała i sięgnęła do wyłącznika światła. Pokój zalała ciemność.

Świt był okrutny. Jaskrawe promienie słońca, dodatkowo potęgowane przez wszechobecną biel śniegu, przewiercały zaciśnięte powieki, wdzierając się wprost do mózgu.

– Co za bezczelna małolata! Musiała wyjść bardzo wcześnie i cicho. W ogóle jej nie słyszałam. – Zaspana kobieta gniewnie wypluwała z siebie potok słów do nieistniejącego audytorium, stojąc w rozchełstany szlafroku na środku pustej sypialni córki. – Bez śniadania, bez tornistra... Z czym, do cholery, ona się do szkoły wybrała? Już ja jej pokażę! Fiu, bździu w głowie i te przekłete zabawki.

Niczym małe tornado szalała po prywatnym królestwie Mileny.

– Lalki, te pieprzone lalki, to wszystko przez nie! – Złowrogie echo odbijało się oskarżycielsko od ścian pomieszczenia. – Już ja zrobię z wami porządek – wykaszała z siebie z głośnym świstem, sięgając do drewnianego kufra.

Ognisko wesoło trzaskało w ogrodzie. Dymiło koszmarnie, naprędce rozpalone starym harcerskim sposobem – mokre drewno i litr benzyny. W drżących od emocji rękach kobiety tkwiły plastikowe karykatury miniaturowych ludzi. Nagie lalki odbijały światło bijące od paleniska. Spojrzała na nie z nienawiścią i cisnęła w sam środek żaru. Plastik topił się, kurczył i skwierczał. Zdawał się obejmować pobliskie drwa lepkimi ramionami wrzającej, syczącej mazi. Przez krótką chwilę kobieta uległa złudzeniu, że słyszy odległy, przytłumiony skowyt bólu.

– Tak, krzyczcie sobie – mamrotała oświetlona blaskiem ognia. Stała nieruchomo, wpatrzona w bulgoczącą masę tworzywa sztucznego, która w żaden sposób nie przypominała już ulubionych zabawek córki. Była prawie pewna, że smarkuła miała tylko trzy lalki. Tę czwartą, o ciemnych włosach, odzianą w staromodną, zdecydowanie za dużą, salonową suknię musiała jakimś cudem przeoczyć. – Nieważne. Czas jaśnie panienkę Milenkę w końcu ustawić do pionu – oznajmiła strzelającym w górę płomieniom i odwróciwszy się na pięcie, skierowała kroki w stronę domu.

BARDZO NIETYPOWY POGRZEB

Dla Pawła K.

Muszę wam opowiedzieć pewną historię, która nawet mnie, człowieka o otwartym umyśle i szerokim spektrum akceptacji zjawisk niecodziennych, spędza sen z powiek, ba, wręcz dręczy i dusi na samo wspomnienie. Otóż zacznę od informacji, że cierpię na niecodzienną przypadłość: raz w miesiącu, dokładnie na dwadzieścia cztery godziny, cyklicznie i quasi-regularnie jak okres mojej ślubnej, zamieniam się w kota. Nie, nie dosłownie. Nie wyobrażajcie sobie, broń Boże, że porastam sierścią, że wyrasta mi puchaty ogon i wibrysy, a już na pewno nie kalajcie swych umysłów obrazem stukilogramowego kocura wylegującego się wam na kolanach. Nic z tych rzeczy. Najzwyczajniej w świecie, zachowując swój normalny, biologiczny wygląd dwunożnego homo sapiens oraz pełną psychiczną świadomość człowieka rozumnego, nagle, niespodziewanie jak grom z jasnego nieba, zaczynam nabierać kocich zachowań.

Wszystko zaczęło się niewinnie, mniej więcej dwadzieścia lat temu, kiedy wkraczałem w wiek ustawowo uznawany za dorosły. Pewnego sobotniego ranka obudziłem się o karygodnie późnej, okołopołudniowej porze, wyspany i szczęśliwy z powodu nadchodzącego weekendu. Jakież było moje zdziwienie, gdy zdałem sobie sprawę, że mruczę, drżąc i wibrując całym ciałem. Przeraziłem się nie na żarty, kiedy zdjęty grozą sytuacji wygiąłem grzbiet w pałąk i zamiast jęknąć lub krzyknąć po ludzku, płacząco miauknąłem. Długo leżałem bez ruchu, analizując swoje dziwne zachowanie, lecz gdy przytapałem się na lizaniu stopy, wiedziałem, że coś jest grubo nie w porządku. Myśli pędziły jak szalone, mózg niemal gotował się od wrażeń, a ja, chcąc nie chcąc, spędziłem kolejne godziny na uganianiu się za muchami oraz wylizywaniu wszystkich dostępnych części ciała. Najgorsze było to, że jednak potrafiłem sięgnąć językiem również w te miejsca, gdzie słońce nie zagląda, co prawdopodobnie zawdzięczałem nieszczęsnemu uprawianiu gimnastyki artystycznej w szkole podstawowej.

Nie mogłem się zmusić do jedzenia sztuccami, wody unikałem jak ognia, za wyjątkiem tej chłęptanej z miski pod zlewem, a zapach ryby z puszkii przyprawiał mnie o przyjemny zawrót głowy. Na szczęście, na wstępnym etapie metamorfozy udawało mi się załatwiać do muszli klozetowej, lecz nie mogłem powstrzymać odruchu zakopywania fekaliiów, co skutkowało połamanymi paznokciami u rąk i nóg.

Większość doby przesypiałem zwinięty w kłębek pod wersalką – no, może nie dokładnie pod, ale strasznie się starałem – w przerwach oddawałem się radosnemu obżarstwu mleczno-rybnemu i niekończącej się toalecie osobistej. Na drugi dzień obudziłem się co prawda jeszcze z cichym miauknięciem i przymusem wyrzycania kłaczka – tu człowiecza fizyczność niewiele mi pomogła, bo kłatkę piersiową i brzuch miałem już wtedy intensywnie owłosione – ale już po chwili zwyczajnie wróciłem do roli, jaką natura mi pierwotnie przydzieliła. Na powrót stałem się pełnoprawnym członkiem dwunożnego społeczeństwa.

Na początku myślałem, że jest to jedynie jednorazowa, dziwna bo dziwna, ale jednak niedyspozycja, z czasem pogodziłem się z faktem, że w każdą pierwszą sobotę miesiąca wymagam co najmniej izolacji,

jeśli nie chcę wylądować w najbliższym psychiatryku.

Studia zleciały jak z bicza trzasnął, moje regularne, comiesięczne sobotnie absencje w lokalnych barach nie budziły specjalnych podejrzeń. Tylko raz zaliczyłem niewielką wpadkę, kiedy mój współlokator ze stacji pochorował się po piątkowej libacji i postanowił nie jechać do rodzinnego Strykowa, tylko leczyć kaca na miejscu. Wparował bez pukania do mojego pokoju, akurat gdy nagi, z prawą nogą założoną za głowę w najlepsze glancowałem sobie jajka językiem, rubaszenie przy tym mlaszcząc i pomrukując. Szybko się zorientował, że wybrał nienajlepszy moment na zapytanie mnie o „fajkę na zbyciu”. Chwila, choć krótka i niezręczna, miała na zawsze pozostać tajemnicą. Tylko ja wiedziałem, że kolega współlokator lubi trzepać kapucyna pod obrazek z podobizną kaczonego Donalda, a że różne dewiacje chodzą po ludziach – lepiej pewne sprawy zachować dla siebie.

Po zakończeniu nauk akademickich wynająłem samodzielne mieszkanie i rzuciłem się w wir pracy zarobkowej przy redagowaniu tekstów dla lokalnej gazety. Czas płynął, nieszczęsny okres przemian starałem się przetrwać zamknięty na cztery spusty w swoim lokum na parterze gierkowskiego bloku, a życie toczyło się w miarę spokojnie i jednotorowo. Już wkrótce jednak poznałem nieziemsko urodziwą długonogą blondynkę, która, nie wiedzieć czemu, zainteresowała się moją skromną osobą na tyle intensywnie, by przebąkiwać coś o ślubie, więc ponownie zacząłem się zamartwiać, że mój sekret ujrzy światło dzienne w najmniej oczekiwanym i najbardziej niestosownym momencie. Przez kolejne dwa lata udawało mi się wygospodarować czas wolny w tę jedyną w swoim rodzaju comiesięczną sobotę, ale kiedy powiedzieliśmy sobie w końcu „tak” na ślubnym kobiercu, a moja druga połówka zaczęła poruszać temat powiększania rodziny, imadło strachu ponownie wzmocniło uścisk.

Uwierzcie mi, naprawdę chciałem jej powiedzieć, wyznać całą gorzką prawdę, lecz koszmarnie lękałem się konsekwencji. Dopóki nie pytała, co robię, dlaczego znikam raz w miesiącu, często bez słowa wyjaśnienia lub z tak marnym, że godnym co najwyżej gimnazjalisty tłumaczącym się z ukradkowego popalania papierosów w szkolnym kiblu, trzymałem gębę na kłódkę. Nie muszę chyba dodawać, że do czasu.

Jak każda kobieta, tak i moja ukochana posiadała endogenny zmysł podejrzliwości. Ja natomiast, jako niezbyt rozgarnięty przedstawiciel męskiego gatunku, popełniłem kardynalny błąd w sztuce kamuflażu. Otóż od kiedy zamieszkaliśmy razem, nie mogłem już liczyć na dwudziestoczęterogodzinną, niczym nieznaną prywatność, więc w przebłysku – jak mi się wtedy wydawało – geniuszu, postanowiłem wynająć pokój w pobliskim, przydrożnym motelu. Nie dość, że było tam tanio i tak dyskretnie, że niemal intymnie, roilo się również od karaluchów i innego niezwykle ruchliwego paskudztwa. Czego chcieć więcej? Niewielkie pomieszczenie z ogromnym łóżkiem służyło za sypialnię, do prysznicowego brodzika wsypywałem żwirek, a rozrywki dostarczały mi wcześniej wspomniane insekty. Miałem gdzie spać i na co polować, bez niepotrzebnego wzniecania taniej sensacji. Ale, jak ostatni do reszty skretyniały imbecyl, rachunki regulowałem kartą kredytową. Tylko kwestią czasu pozostawało, kiedy moja ślubna te transakcje wykryje.

Zjawiła się niespodziewanie pewnej niedzieli nad ranem, akurat, gdy zwijałem się w kłębek, by na motelowym dywaniku przespać ostatnie kilka godzin kociej egzystencji. Przyglądała mi się dłuższą chwilę, raczej z rozbawieniem niż zdziwieniem czy niesmakiem w oczach, potem podeszła, usiadła na skraju łóżka i z prawdziwą znajomością rzemiosła podrapała mnie za uchem, uciszając tym samym rozpaczliwe próby wymiauczenia wyjaśnień i przeprosin. Szybko zasnąłem, utulony przyjemnym mizianiem.

Obudziłem się odprężony i wypoczęty. Dyskretnie odkaszlnąłem resztki zalegających w żołądku karaluchów i kiedy ogarnąłem kuwetę, wziąłem prawdziwy, ludzki prysznic i narzuciłem na siebie pachnący T-shirt oraz czyste dżinsy, rozpoczęliśmy długą i poważną rozmowę.

Wyrzucałem z siebie wszystko, co od lat ciążyło mi na barkach. Tłumaczyłem, jak bardzo się wstydzę tej cholernej przypadłości i że nie ma na nią lekarstwa. Zapewniałem o głębokiej miłości do swej ślubnej oraz że zrozumie, jeśli postanowi odejść. Słuchała z uwagą, a im dłużej opowiadałem, tym bardziej jej twarz nabierała kolorów, usta uśmiechu, sylwetka wiotkości.

– Myślałam, że mnie zdradzasz – szepnęła. – Musiałam się upewnić, zwłaszcza teraz. – Pogładziła się po brzuchu, który ostatnio dość szybko nabierał krągłości. – Przecież to nic takiego, nikomu nie robisz krzywdy.

Odetchnąłem z ulgą. W przyptywie emocji wyznałem nawet, że moim, do dziś niespełnionym, kocim marzeniem jest choć raz upolować mysz.

– No tak, przy twojej posturze może być to problem – zażartowała. Ale już po chwili dodała poważnie: – I na to znajdziemy sposób.

Wracaliśmy do domu, obejmując się czule i ustalaliśmy plan działania na przyszłość. Odtąd nazywaliśmy tę moją anomalię „okresem”, a każdą pierwszą sobotę miesiąca, zamiast włóczyć się po obskurnych motelach, miałem spędzać w letniskowej chatce jej rodziców, która poza sezonem stała pusta.

Ucieszyłem się jak dziecko rozpakowujące wymarzony, gwiazdkowy prezent. Cisza, spokój, wiejskie okoliczności przyrody i na pewno multum myszy. Nie mogłem się wręcz doczekać pierwszej metamorfozy w nowych, dziewiczych warunkach.

Wyczekiwany z utęsknieniem piątek nastał niewiarygodnie szybko. Żona troskliwie mnie spakowała, wsadziła do auta i zawiozła do miejsca przeznaczenia. Szybko uwinęliśmy się z roboczym umeblowaniem dwóch niewielkich izb. Miseczki z kocią karmą i wodą ustawiłem obok legowiska wymoszczonego pod dębowym jadalnianym stołem. Kwestię kuwety mogłem spokojnie ominąć – dom nie posiadał toalety z prawdziwego zdarzenia, więc fizjologiczne potrzeby będę zaszczycony załatwiać na zewnątrz, jak prawdziwemu kotu przystało.

Pożegnałem serdecznie żonę, która na odchodnym nie omieszkała zabłysnąć poczuciem humoru, sugerując, żebym uważał na watahy spuszcanych na noc z łańcuchów, wioskowych burków, bo przecież nigdy nic nie wiadomo. Upewniłem się, że drzwi do ogrodu nie są zaryglowane i zaległem na połowym łóżku w oczekiwaniu na sen i atrakcje dnia następnego.

Wrześniowy sobotni poranek był piękny. Słońce wpadało przez zakurzone szyby, tańcowało po drewnianej podłodze, rzucając złote refleksy na heblowane deski. Czułem, że naprawdę żyję. Po raz pierwszy od niemal dwudziestu lat przywitałem swą kocią egzystencję z prawdziwie radosnym pomrukiem. Było coś jeszcze; dziwna ekscytacja, poczucie rozpierającej pierś wolności. I niezwykle silna potrzeba ukatrupienia myszy. Wiejskie powietrze i namacalne łono natury wzbudzały we mnie, może nie nowe, ale na pewno bardziej intensywne instynkty drapieńczy.

Z prawdziwą rozkoszą defekowałem w przydomowych chaszczach, rozrzucając ziemię z kretowiska na lewo i na prawo. Zwyczajowe, dokładne wylizywanie się ograniczyłem do niezbędnego minimum. Byłem głodny, cholernie głodny krwistego mięsa odzianego w szare futerko.

Warując na stole, pod którym urządziłem sobie legowisko, lustrowałem otoczenie. Miseczki z karmą, przygotowaną przez moją nieocenioną w kulinarnym kunszcie małżonkę, kusily smakowitą zawartością, poustawiane w strategicznym punkcie na środku izby. Ach, jakie to było przyjemne, obserwować nieśmiało wyzierające z ciemnego kąta pod oknem mysie pyszczki. Niemal masochistyczne doznania towarzyszyły mi, gdy opanowując skurcze pustego żołądka, nadal leżałem bez ruchu, a szare stworzonka, ośmielone ciszą i kompletnym bezruchem otoczenia, pojedynczo zbliżały się do kolorowych pojemników i porywając upragniony kęs, w popłochu uciekały do bezpiecznej kryjówki. Czułem każdy, napięty do granic wytrzymałości mięsień, każde ścięgnię gotowe natychmiast uruchomić przykurczone kończyny.

Przez plecy pędziły zimne dreszcze, rytmicznie napędzane adrenaliną. Jeszcze kilka minut, jeszcze tylko odrobina cierpliwości.

Nie musiałem długo czekać. Już po kwadransie czterech przedstawicieli mysiej rodziny nabrało pewności, że nic im nie grozi i ucztowało w najlepsze, na miejscu pochłaniając zasoby miseczek. Upatrzyłem sobie jednego z nich, tego najgrubszego i najbardziej wyluzowanego z całej ferajny. Przysiadł beztrząsco na tylnych skokach, a w łapkach obracał kawałek ociekającego olejem tuńczyka z puszki.

Teraz albo nigdy!

Skoczyłem wprost na małe stadko, wszystkimi czterema kończynami celując w grubego myszaka. Tak, jak się spodziewałem, pozostałe czmychnęły w szaleńczym wyścigu do bezpiecznej kryjówki, ja trzymałem w garści wciąż wijącego się i przeraźliwie piszczącego osobnika. Wiem, że prawdziwemu kotu nie przystoi tak od razu oddawać się konsumowaniu świeżo upolowanego stworzenia, zwłaszcza jeśli nadal dycha i niezdarnie się porusza, prowokując do jednostronnie radosnej zabawy, ale byłem cholernie głodny. Zatopiłem zęby w nieszczęśniku i pożarłem go w kilka sekund. Moja pierwsza upolowana mysz! Cudowne uczucie.

Delektując się przełomowym wyczynem, postanowiłem uciąć sobie drzemkę. Może później jeszcze raz spróbuję?

Obudziło mnie delikatne szuranie i piskliwy głosik, tak dyskretny, że przypominał szelest liści na wietrze:

– Przepraszam najmocniej, ale musimy porozmawiać o bardzo ważnej sprawie.

Tuż przed moją twarzą stały trzy ocalałe z polowania myszy. Pierwsza, największa z całej trójki, składała łapki jak do modlitwy i wpatrywała się we mnie błagalno-przerażonymi, błyszczącymi oczkami.

– Zjadłeś naszego tatę, teraz go oddaj! – popiskiwała dwójka mniejszych zwierzaków, ukrytych za plecami, jak się domyśliłem, mamusi.

– Cicho tam z tyłu, bo się pan obrazi! – syknęła gniewnie mysia mama i na powrót wlepiła we mnie dwa prozalne, czarne punkciki. – Bardzo pana prosimy, chcemy godnie pochować Stefana.

Nie potrafię określić, co było większe – moje zaskoczenie, czy narastające w ekspresowym tempie poczucie winy.

– Oczywiście. Naprawdę strasznie mi przykro. Jak, jeśli to w ogóle możliwe, mogę to naprawić? – wymiauczałem tonem skruszonego mordercy.

– Nic wielkiego. To powinno pomóc – oznajmiła wdowa po Stefanie i spomiędzy jej łapek wytoczyła się okrągła, biała pigułka. – Proszę ją połknąć, a potem udać się do ogrodu za dREWUTNIĘ.

I wtedy mnie olśniło. Nie jestem żadnym, pożałuj Boże, okresowym kotem, pewnie nawet nie mam żony. Być może cierpię na nadzwyczaj upierdliwą odmianę schizofrenii, ewentualnie leżę w śpiączce po jakimś tragicznym wypadku, a całe dotychczasowe życie rozgrywało się wyłącznie w moim pokiereszowanym umyśle. Pigułka to sygnał od tej resztki zachowanej w racjonalnym stanie mikrej cząstki świadomości. Połknę głupią, białą tabletkę, klepki wrócą na swoje miejsce, a ja w końcu zakosztuję normalnego żywota.

Medykament wylądował w moim żołądku, myszy zniknęły. Zamknąłem oczy, czknąłem głośno i czekałem na efekty.

Najpierw coś zbulgotało mi w trzewiach, a już po dziesięciu minutach jelita ogarnęły bolesne skurcze. Skutki uboczne leku, czy Stefan okazał się ciężkostrawny? Nie miałem czasu na zastanawianie się. Pobudka z matriksa nie nastąpiła. Popędziłem do ogrodu z duszą na ramieniu i luźnym stolcem dużo niżej, w tak zwanej zaawansowanej fazie świstaka.

– Tędy, tędy! – Usłyszałem cichy głosik. – Tu, do tego dołka!

Nie analizowałem sytuacji, starałem się nie patrzeć na dziesiątki malutkich, ubranych w czarne surduty żałobników, zgromadzonych wokół świeżo wykopanej mikromogiły, tym bardziej na osieroczone dzieciątka, których niewinne ryjki wykręcał grymas płaczu.

Wypróżniałem się przy wstydlwym akompaniamencie fekalnych gazów i dostojnym „daj mu wieczne spoczywanie” intonowanym przez mysiego klechę, uzbrojonego w miniaturowy egzemplarz biblii. Chciałem zapaść się pod ziemię, uciec jak najdalej i zapomnieć.

Dokończywszy dzieła, potruchtałem z powrotem do chałupy. Ścigał mnie nikły odgłos szufłowania.

LOMBARD

Na dworze jest szaro. Szarą ulicą, rozchlapując mętne kałuże, podążają dwie, niewyraźnie majaczące na tle brudnych budynków postacie. Ołowiane chmury chlipią leniwymi łzami, zbezczeszczone wszechistniejącym smogiem krople deszczu nieubłaganie sięgają bruku. Z poziomu rynsztoka bezimienne kształty rzucają przelotne spojrzenia – odbicia przechodniów, zdeformowane pomarszczoną taflą strumienia nieczystości. Ojciec z synem zmierzają w kierunku centrum. Przy ulicy Sprzedawczyków, pod numerem piątym, mieści się lombard o nieco niepoprawnej politycznie nazwie „U Żyda”. Ośmioletni Marek po raz pierwszy towarzyszy ojcu w wyprawie do samego serca miasta – do słynnego w całej okolicy zagłębia dobrych ludzi, którzy dają tatusiom pieniądze na leczenie chorych mam.

– Co, znowu wybierasz się na „Wallstreet”? – pyta napotkana po drodze sąsiadka. Marek nie rozumie, dlaczego ojciec tylko smutno potakuje przedwcześnie posiwiałą głową. Zawsze jest tak samo – zatroskany, dziękczynny uśmiech mamy i gest otuchy w postaci kolorowych banknotów, drżących w żylastej dłoni taty. Comiesięczny rytuał, dziwny i niezrozumiały dla ośmioletniego chłopca. W końcu docierają na miejsce. W obskurny, łuszczący się liszajowatymi naroślami budynek wpasowano elegancką, oszkloną witrynę. Kolorowe różności zdają się uśmiechać zza ozdobnych żeliwnych krat, nawoływać pyszałkowatymi uśmieszkami barwnych karteczek – cenników sprawiających wrażenie wręcz wygrawerowanych w bogatej materii ekskluzywnego brystolu. Para wchodzi, trzymając się za ręce. Przekraczają wrota wiodące do krainy samotnych istnień, czekających na zbawienie lub piekło nowego żywota. Za potężną ladą dębowego stołu siedzi król tej czystcowej otchłani, zasnutej prawie fizycznie wyczuwalną mgiełką sennego oczekiwania. Kawałek nadpalonego cygara leniwie pełza tam i z powrotem, pokonując ciemny kanion między mięsistymi wargami, tylko po to, by po chwili wytchnienia w zaropiałym kąciku ust znowu podjąć jednostajną wędrówkę. Czerwone policzki poruszają się nieustannie niczym u wielkiego chomika. Zapadnięte w opuchniętych oczodołach małe szcurze oczka błyszczą chciwością i lisim sprytem. Podczas gdy ojciec zaczyna negocjacje z niemiłosiernie grubym właścicielem lombardu, chłopiec z typową dla ośmiolatków ciekawością i fascynacją zwiedza przepastne i tajemnicze zakamarki jakże kuszącego obfitością wrażeń przybytku – prawdziwego zamku pełnego skarbów wszelakich. Czego tam nie ma? Klasyczne zegary: dwumetrowe kolosy, drżące mosiężnymi sercami wahadeł; złote bransolety, nieco już wyblakłe, telewizory, tak nienaturalnie ciche i martwe czernią wypukłych kineskopów. Spod sufitu, girlandami poszarpanych pasów zwieszają się gitary, skrzypce, samotny akordeon wisielczo przekrzywiony na jedną stronę. Są też wielkie lodówki z przeszklonymi wrotami, a w nich pyszniące się krwawą czerwienią równo ułożone kawałki mięsa na srebrnych, błyszczących tacach. Jest i małpka kapucynka w klatce, rasowy sznauzer – dwuletni, mało używany, a nawet prawdziwy krokodyl w olbrzymim terrarium. Marek jest tak pochłonięty cudownym, choć nieco złowieszczym światem, tak zajęty rozszyfrowywaniem wszechobecnych napisów i cyferek, że nie słyszy zaciętych targów, urywanych oddechów, nerwowych ustaleń, toczonych sapiącym półgłosem bitew. Zaledwie stłumione urywki, mgliste skrawki, niczym odległe martwe echo docierają do

świadomości chłopca. Omijają ją jednak dyskretnie, zajęta przecież całkowicie innymi, ważniejszymi sprawami.

...nie jesteśmy bandytami... nie, druga nerka nie wchodzi w grę... najpierw wątrobę trzeba wykupić... nie no, pan to jest niepoważny... jakie serce... to jest poważna firma... nie ma mowy... nie jesteśmy mordercami... dzieci nie... od szesnastego roku życia... a, nie o to chodzi... no chyba że adopcja... albo renting... albo leasing... dobra, tysiąc na tydzień... ale żeby później pretensji nie było... będzie chłopcu lepiej... na pewno...

Na dworze jest jasno. Złote promyki słońca delikatnie muskają idącą postać, zwierciadła kałuż skrząc refleksami, kłują po oczach szpilkami słonecznego żaru. Tylko smutna, zmęczona twarz wciąż zieje szarością, rześiste łzy spływają po zapadniętych, ojcowskich policzkach. Sięgają nagrzanego bruku.

LUBIĘ TO

Roman nie posiadał się ze szczęścia. Spotkało go coś, o czym marzył od zawsze. Wygrał mieszkanie, w pełni wyposażone w meble i sprzęt, a wszystko w najwyższym standardzie. Właściwie nie wygrał, lecz dostał zaszczytu wzięcia udziału w ogólnoeuropejskim eksperymencie konsumenckim organizowanym przez Internetowe Stowarzyszenie Rozrywki i Konsumpcji. Polegał on na tym, że zamiast płacić za mieszkanie i jego wyposażenie, ładując się przy tym w dożywotnią niewolę kredytową, wystarczyło przez trzy lata codziennie klikać w charakterystyczną ikonkę „lubię to”, zainstalowaną przy wszystkich przedmiotach użytkowych będących na stanie oddanego w posiadanie lokum. Rzesza sponsorów codziennie dostawała na Facebooku kolejnego „lajka”, a Roman miał swoje wymarzone mieszkanie i pozornie wszyscy byli szczęśliwi.

No właśnie, pozornie. Już po dwóch tygodniach Roman był na pograniczu psychozy maniako-depresyjnej, a skutecznie narzucony przymus codziennego „klikania” w niebieskie znaczki z uśmiechniętą buźką odciskał coraz głębsze piętno w psychice szczęśliwca, podstępnie przechodząc w nerwicę natręctw. Dzień zaczynał się od aprobaty udzielanej pościeli po wygodnie przespanej nocy, następnie domowe kłapki otrzymywały dziękczynne kliknięcie za to, że są plastikowe i chińskie, a potem po kolei: ekspres do kawy, *klik*, kawa, *klik*, łyżeczka, *klik*, *klik*... Często zapominał o panelach podłogowych, które oburzone tym, że zostały pominięte, natychmiast wyświetlały podobiznę łysej główki z żaróweczką uwieszoną w komiksowej chmurce, z wdzięcznym napisem „Pamiętaj! Lubisz to!”.

Tak było ze wszystkim i tylko wyobraźnia producentów i sponsorów ograniczała sposoby przypominania o wciśnięciu „like it” w poszczególnych sprzętach gospodarstwa domowego. Pralka przykładowo, pominięta w „lubieniu”, natychmiast sikała wodą po całej łazience, bojler grzewczy raził prądem na odległość, a odkurzacz zwracał zawartość odwrotnym cugiem, wprost na kudłaty dywan, któremu zdarzało się wysuwać zdradliwe stalowe kolce układające się w napis „pamiętaj, niewdzięczniku”. Najbardziej obraźliwy i złośliwy był jednak nowiutki telewizor z serii „smart TV”, którego chwalić trzeba było po każdym przełączeniu kanału, w przeciwnym razie uruchamiał serię przeraźliwie histerycznych pisków, grożących utratą słuchu i linczem ze strony sąsiadów. Po dwóch tygodniach ciągłej tresury Roman wszędzie widział niebieskie podświetlane ikonki, nawet w miejscach, w których ich rzeczywiście nie było. Wolał na wszelki wypadek naciskać je po kilka razy, niż ominąć chociaż jedną i zostać ukaranym. Nie przybywało mu od tego przyjaciół ani przyjaźnie nastawionych nieznajomych. Z pracy zwolnił się na własną prośbę po tym, jak „zaklikał” szefa i całą radę nadzorczą po wszelkich dostępnych częściach ciała, zepsuł windę poprzez przyciskanie lawinowo wszystkich guzików naraz i dopuścił się czynu lubieżnego na sekretarce, której prześwitujące przez białą bluzkę sutki wyraźnie świeciły na niebiesko, domagając się kliknięcia. Z komunikacji miejskiej przestał korzystać, gdy pewnego razu wyprowadził z równowagi kierowcę autobusu, wdzierając się do kabiny i z pianą na ustach maniakoalnie wduszał co popadnie. Oczywiście wcześniej zaliczył grono na szczęście bardzo wyrozumiałych pasażerów oraz guziki otwierające drzwi na żądanie. Kierowca zareagował profesjonalnie: obezwładnił Romana i niezwłocznie przekazał go służbom mundurowym. Jakież było

zdziwienie policjantów, kiedy skuty i spalowany prawie do nieprzytomności szaleniec, bełkocząc „jeszcze tu... i jeszcze tu... i jeszcze raz...” próbował niezdarnie miziać po wymagowanych przyciskach policyjne pałki, które przed chwilą dokonały regularnej masakry na jego osobie. Kiedy w końcu w areszcie śledczym niemal wybuchł bunt, rozpętany przez przerażonych więźniów, a służba zdrowia nie bardzo kwapiła się z przyjęciem osobnika na oddział, postanowiono odwieźć Romana do domu. Tam powoli dochodził do siebie. Wyuczonym systemem klikał w niebieskie ikonki, aż do chwili, kiedy to głosy, a właściwie jeden potężny zaprowadził go do kuchenki gazowej najnowszej generacji. Sam Facebóg osobiście nakazał włożyć mu głowę do piekarnika i po obowiązkowym zaakceptowaniu jakości gazu i pochwaleniu samej kuchenki, odkręcić kurek do oporu, udzielając również pokrętku należytą aprobaty.

Śmierć Romana przeszłaby prawdopodobnie cicho i niezauważenie, lecz papieros tłący się w ustach samobójcy załatwił niezapomniane fajerwerki. Świadkowie wybuchu zaklinają się do dzisiaj, że chmury czarnego dymu zaraz po eksplozji ułożyły się na kształt znaczka „like it”, a nieliczni obecni na pogrzebie przysięgają, iż nieboszczyk poruszał dłonią, badając obrzeża otwartej trumny, jakby czegoś szukał, próbował namacać, zupełnie jak człowiek pogrążony w ciemnościach, namierzający włącznik światła.

Życie wieczne uzyskał Roman zaraz po pogrzebie. Jego fanpage odnotował rekordową liczbę piętnastu milionów „lajków” w ciągu zaledwie doby.

BESTSELLER

Dla Przemka i Dominiki

Franek odłożył długopis. Spojrzał na pokreślony, usiany pajęczyną poprawek i przypisów wydruk komputerowy i odetchnął z ulgą. Skończył powieść, a właściwie jej ostateczną wersję. Rozejrzał się po pokoju, który praktycznie sprowadzał się do roli mieszkania i próbował namierzyć jak zwykle „gdzieś” zawieruszoną komórkę. Dobrze że przynajmniej Aneta odpuściła sobie wizyty i nie nachodziła go w okresach wzmożonej pracy twórczej, bo ten chaos mógłby przyprawić ją o zawał serca. Trzeba dbać o swoją przyszłą żonę, zwłaszcza przy jej upodobaniu do ładu i czystości. W jej rodzinnym domu było tak czysto, że można by spokojnie przeprowadzić operację mózgu na dywanie w salonie. Na szczęście wspólne zamieszkanie to kwestia, jak na razie, odległa i mniejszej wagi niż wydanie jego pierwszej książki. Cieszył się ogromnie na tę chwilę, mając już decyzję wydawcy i pomoc redaktorską. Już trzeci raz skracał, ciął i minimalizował, by spełnić wymagania wydawnictwa. Jego pierwotnie sześciuset stronicowa powieść skurczyła się do zaledwie stu dwudziestu, ale jak mawiał redaktor Kapuściński: zyskała na dynamice. Ciężko mu było rozstawać się z obszernymi opisami, poetyckimi wstawkami czy rozbudowanymi życiorysami postaci.

– Czasy poczytności opasłych potworów spod ręki Stephena Kinga minęły wraz z nim samym. Czas się pogodzić z tym faktem, jak i z tym, że mamy schyłek lat dwudziestych i niedługo wkroczymy w trzecią dekadę. To i tak cud, że ludzie jeszcze czytają – mawiał redaktor Kapuściński, podpowiadając, w jaki sposób „ciąć” powieść, by była adekwatna do gustów współczesnego czytelnika. – Po co te dłużyzny? Zamiast: „wydarzyło się to późnym listopadowym popołudniem, gdy całe miasto wyglądało, jakby pokrywała je płynna warstewka odbitego światła i deszczu. W takie dni deszcz jest zimniejszy od śniegu, a wszystko wydaje się podlejsze, bardziej kanciaste. W taki dzień zostaje się w domu, czyta książkę i pije słodkie kakao z białego, grubego kubka” wystarczy: „rzecz dzieła się w listopadzie”. Ludzie mają wyobraźnię, po co o tym wszystkim pisać? Jak będą chcieli, to sobie wersję wizualną książki na VOD zamówią i będą to wszystko widzieć, nieprawdaż? – Kapuściński umiał przemówić do rozsądku.

Franek namierzył w końcu komórkę skrzętnie ukrytą pod stertami ubrań i głosowo zażądał rozmowy z redaktorem. Kapuściński odebrał zdyszany.

– Witam mojego ulubionego pisarza! Jak tam cięcia? – Głowa redaktora wypełniła trójwymiarowy ekran telefonu komórkowego. W kącikach ust tkwiły resztki chipsów.

– Właśnie skończyłem. Sto dwadzieścia stron, krócej się nie da. – Frankowi drżał głos ze zdenerwowania.

– Oj, oj... – Oczy redaktora wyrażały autentyczny smutek, a tłusty podbródek drgał komicznie, gdy jego usta przybierały kształt podkówki. – Za długie, nadal dużo za długie... Ale mam pomysł!

Franek opadł bezwładnie na krzesło. Przecież to, co zrobił ze swoją powieścią, ledwo trzymało poziom artykułu z podrzędnej gazety, nie mówiąc już o uproszczonej fabule rodem z niegdyś popularnych opracowań lektur dla leniwych uczniów czy serii streszczeń z Reader's Digest.

– Tego się już nie da bardziej skrócić – sapał Franek do ekranu telefonu. – Po prostu się nie da. Kapuściński zrobił jeszcze smutniejszą minę i, z zatroskanym obliczem matki Teresy, kontynuował:

– Przecież chce pan wydać książkę, tak?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Zrobimy tak: ja się zajmę redakcją i dalszym skracaniem, a pan spokojnie będzie budował wizerunek medialny artysty buntownika pod okiem pani Kopytko, naszej najlepszej specjalistki od pijaru.

– Aleee...

– Myślę, że zaliczka na poczet nakładu rzędu pięciu tysięcy euro ukoi nieco zszarpane nerwy. – Tu zrobił zręczną pauzę dla podkreślenia wagi sytuacji i po chwili ciągnął dalej. – Niech się pan o nic nie martwi, zrobimy z pana książki bestseller, a z pana gwiazdę. I myślę, że czas byśmy mówili sobie po imieniu, Maks jestem, miło mi!

– Franciszek... Franek znaczy...

Wytrącony z równowagi oszałamiającą wizją posiadania tak zawrotnej kwoty, Franek słuchał cierpliwie przez następny kwadrans wywodów Kapuścińskiego. Maks, z gorliwością psa gończego na tropie dziczyzny i prędkością karabinu maszynowego, wyjaśniał misterny plan zawładnięcia sercami i umysłami przyszłych czytelników. Plan był nie tyle prosty, co dziwny. Zakładał on bowiem całkowity brak uczestnictwa autora w całym przedsięwzięciu. Franek miał po prostu siedzieć w domu jak mysz pod miotłą, podczas gdy szanowna pani Kopytko będzie szkolić z zasad bycia celebrytą jego sobowtóra. Dział „ludzi bez twarzy” wybrał już kandydata, który zdrowotnie i merytorycznie poradzi sobie z przydzieloną mu rolą.

Już po pierwszej operacji plastycznej twarzy i drobnych poprawkach reszty ciała tak, by sprostać aktualnym kanonom wzorcowej męskiej urody, założono Frankowi profil na wszystkich interaktywnych portalach. Po kilku dniach pojawiły się pierwsze relacje z pijackich ekscesów i romantycznych podbojów. Franek śledził uważnie „swoje” drugie życie w telewizji i internecie. Posprzątał mieszkanie i regularnie przyjmował Anetę, która, podekscytowana jego nowym medialnym wizerunkiem, zamieniała się w łóżku w istnego demona wyuzdanych zabaw. Tymczasem wszystkie media huczały od zapowiedzi nowofalowej literatury współczesnej i jej niepokornego twórcy. Frank Newcomer (osobisty wkład Maksa w pseudonim artystyczny) został ogłoszony debiutantem roku, a krytycy literaccy zapowiadali prawdziwe odkrycie współczesnego pisarstwa. Telewizyjne spoty reklamowe uchylały rąbka tajemnicy, puszczając krótkie urywki z prozy autora roku. Pojedyncze litery pojawiały się na ekranie i znikwały, by potem przejść w sylaby, a pod koniec akcji reklamowo-zwiastunowej pojawił się nawet CAŁY wyraz. Redaktor Kapuściński tak zręcznie skrócił powieść Franka, że zawierała się w kilkunastu zdaniach na jednej stronie w formacie A5. Planowano okazały nakład wydany na serwetkach restauracyjnych i serię w odcinkach, na specjalnie na tę okazję wydrukowanych biletach miejskiej komunikacji. Największą jednak nadzieję pokładano w elektronicznym wydaniu SMS-owym i rewolucji na rynku odchodzących już powoli do lamusa przydługich ebooków na czytniki Kindle.

Szał trwał, a Franek vel Frank Newcomer, zrezygnowany po przeczytaniu wersji rynkowej jego miesiącami pisanej powieści, wegetował na wyliniatej sofie w swoim małym mieszkanku, raz po raz przyjmując swą przyszłą żonę Anetę. Gwoździem do trumny okazała się jednak recenzja najsłynniejszego w Europie krytyka Steffena Besserwissera, którą drukowano na tekturowych talerzykach jednorazowych, tudzież wyświetlano na telebimach reklamowych i bannerach internetowych. Wyrazy uznania mistrza elokwentnej krytyki zawierały się w trzech żółtych emotikonach wyszczerzonych szerokim uśmiechem, przy czym ten ostatni bałwochwalczo bił pokłony.

Gdy Franek tak siedział wpatrzony w ekran telewizora, powtarzając utarty schemat kolejnego poranka, z odrętwienia wyrwał go świdrujący dźwięk komórki.

Odebrał telefon. Miał ochotę udusić trójwymiarowy obraz Kapuścińskiego.

– A co to za mina? Nie cieszysz się? – Maks sprawiał wrażenie człowieka dezorientowanego. – Dziesięć milionów ściągnąć w przeciągu miesiąca! A jeszcze publikacje papierowe... Serwetki, bilety... A może by się tak z producentem srajtaśmy dogadać? Niech policzę... Razy dwa euro prowizji autorskiej... Człowieku, jesteś cholernie bogaty i sławny!

Franek milczał. Patrzył na pulchną, spoconą twarz redaktora i zastanawiał się, czy aby na pewno ma do czynienia z prawdziwym człowiekiem, a nie wielką głową na kij.

– To co? Na kiedy napiszesz kolejną powieść? – Maks aż trząsał się z podniecenia. – No, chyba że potrzebujesz urlopu – zarechotał oblesnie. – Podobno masz problem z wątrobą, zapalenie trzustki i pierwsze problemy z potencją?

– Właściwie to już napisałem, a nawet zredagowałem.

– Nie no, powaga? Dawaj, co masz, to upchniemy jeszcze przed świętami.

Franek musnął ekran telefonu i wyświetlił klawiaturę wprost na biurku. „Chuj wam wszystkim w dupę” – napisał, a następnie klepnął w ikonkę „wyślij” i obserwował twarz Maksa, która zastygła w idiotycznym wyrazie oczekiwania, niczym na stop-klatce filmu.

– To jest genialne! Jak tak dalej pójdzie, to pozbawisz mnie pracy. – Redaktor promieniał. – W końcu zrozumiałeś, o co w tym wszystkim chodzi, im krócej, tym lepiej, wytniemy „wszystkim” i będzie idealnie. Ach, jakie to buntownicze i wulgarne. Prawdziwa perełka... I te zakamuflowane treści homoseksualne... A symbol penisa...

Franek przestał słuchać, widok redaktora Kapuścińskiego przyprawiał go o mdłości. Chwycił telefon i wolnym krokiem zbliżał się do łazienki.

– Żegnaj, Maks – wycedził przez zęby i zwodował komórkę w muszli klozetu. Marzył o tym, by zasnąć i obudzić się chociaż dwadzieścia lat wcześniej. Z umywalki zalotnie błyszczała staromodna żyletka.

– Już takich nie produkują – mruknął w kierunku lustra i odkręcił kurek z ciepłą wodą.

I WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY

Jak dotąd jedyne szczęście, jakie mnie spotkało, polegało na tym, że nie zostałem starym kawalerem. Niestety, wiązało się to z marną egzystencją u boku prawdziwego potwora. Kiedy tylko lekliwie unosilem powiekę, by sprawdzić, czy będę miał szansę na chwilę porannego wylegiwania się na tej dużo węższej połowie łóżka, obuch rzeczywistości trafiał mnie prosto w ciemność. To coś, co niegdyś było boginią piękna i seksu, a teraz nijak nie przypominało mojej ukochanej małżonki – właściwie nawet nie do końca wyglądało na kobietę – chrapało przeraźliwie i przy każdym świszczącym wydechu parskało śliną na wszystkie strony. Nieśmiało próbowałem schować stopy pod skrawek wolnej kołdry, lecz gniewne wierzgnięcie i głośne, jakby zniecierpliwione pierdnięcie, natychmiast ostudziły moje chęci. Leżałem więc, rozmyślając o tym, jak doszło do tego, że znalazłem się w tak fatalnej sytuacji. Zaraz będę musiał wstać, zrobić śniadanie, wysłuchać jazgotania grubej wiedźmy, a potem z przyklejonym do twarzy urzędowym uśmiechem pojawić się w pracy, by po dziesięciu godzinach wrócić do jaskini lwa objuczony siatkami z zakupami i znowu wysłuchiwać gniewnych pomruków wiecznie nienazartej i niezadowolonej bestii. Najgorsze są wspólne posiłki, kiedy to muszę patrzeć na wylewające się spomiędzy mięsistych warg na wpół zmielone przeredzonymi zębami jajka na boczku, jednocześnie wysłuchując jakim to jestem niedorobionym nieudacznikiem; że za mało pracuję, za mało zarabiam i jak to ona czuje się niedopieczona oraz egzystencjalnie zagrożona. Istny koszmar, który nigdy się nie kończy, w którym zawsze wszystko jest źle, a ja jestem jedynym winowajcą. Potem jeszcze tylko odkurzyć („Zrób coś z tym odkurzaczem! Dlaczego on tak wyje? Łeb mi pęka!”), pozmywać („Znowu zachlapiesz całą podłogę! Mniej płynu bierz!”), nastawić pralkę (Tylko nie na trzeci program! Potem w niedopranych gaciach muszę chodzić! – w tym miejscu zawsze wtrącam: „chyba leżeć”, ale jedynie w myślach), by wreszcie dostąpić zaszczytu wymasowania królowej łoju niegdyś zgrabnych stópek. To jest zdecydowanie najgorsze zakończenie pracowitego dnia. Czerwono-sine, usiane setkami wystających żyłek ochłapy mięsa, zakończone karykaturami palców przypominającymi rząd parówek, ustawiony w szeregu – od najmniejszej do największej, zakończony olbrzymią pasztetową z wrośniętym, zrogowaciałym paznokciem na czele. Dotykanie tego czegoś przypomina ugniatanie surowego kurczaka nabitego smalcem.

Zadumałem się nad swoim losem i nieprawdopodobnym wręcz pechem egzystencjalnym. W chwili, gdy rozbudzony rozmyślaniami zbierałem się do wstania, celem zaparzenia filiżanki kawy dla siebie i „wiaderka” latte z potrójnym cukrem dla małżonki, ciężka ręka z impetem młota kowalskiego opadła na moją rachityczną pierś.

– Rozbieraj się! – zacharczał potwór. – Zrobisz to językiem! Nie mam ochoty, żebyś po mnie skakał!

W tym momencie uświadomiłem sobie, że jeśli masaż stóp jest najgorszym zakończeniem dnia, to akt czekający mnie za chwilę zdecydowanie nie jest idealnym jego rozpoczęciem.

W przypiływie nagłej furii chwyciłem poduszkę i z całej siły przyciskając ją do twarzy małżonki, wyłem wściekle, miotając najbardziej wulgarne przekleństwa. Nie wiedziałem, jak długo walczyłem z wierzgającą kupą tłuszczu, gdyż nagły atak gruźliczego kaszlu wyrwał mnie z objęć Morfeusza.

Wciąż sapałem z wysiłku i emocji, nie do końca wierząc, że obudziłem się jedynie ze straszego koszmaru; gapiałem się z obłędem w oczach na biały sufit. Zatroskana, niewiarygodnie piękna twarz o wiernopoddańczym, pełnym miłości spojrzeniu wypełniła przestrzeń pomiędzy moim wzrokiem a stropem. Chłodne usta musnęły spocone czoło, zgrabna sylwetka ledwie mignęła nade mną, lekko i z wdziękiem nastolatki wyskakując z łóżka.

To był tylko sen, tylko cholerny sen...

Kichnąłem głośno i wypluwając żółto-zielonkawą flegmę wprost na podłogę, wykaszałem w kierunku krzątającej się w kuchni małżonki:

– Z potrójnym cukrem! Pamiętaj!

Z trudem obróciłem się na bok, przyjmując pozycję do picia kawy i sięgnąłem po papierosa. Wypróżniłem się wprost w pampersa, chociaż jak zwykle strużka moczu wysączyła się bokiem, korzystając z niecki między fałdami tłuszczu. Pampers to był naprawdę dobry pomysł. Teraz nie musiałem już wstawać do toalety. Zresztą przy moich stu osiemdziesięciu kilogramach nagły spacer do wychodka mógł się skończyć zawałem, a ona i tak wszystko posprząta i wypierze. I niech lepiej się pospieszy, bo do roboty nie zdąży.

Gdy tak na nią patrzyłem, jak stoi z filiżanką kawy w dłoni, oświetlona porannymi promieniami słońca lekliwie muskającymi jej łabędzią szyję, odsłonięte ramiona, krągłości piersi, poczułem coś, czego dawno już nie doświadczyłem. Mrowienie w kroczu.

– Kochanie, miałeś zły sen? Strasznie stękałeś i wierciłeś się w nocy. – Stała, patrząc na mnie troskliwymi, modrymi oczami.

– Gównu cię obchodzi, co mi się śniło! – wyrzeziłem, dmuchając jej w twarz dymem z papierosa. – Ważne, że wszystko wróciło do normy – wysapałem, lubieżnie się uśmiechając. Czułem, jak potężna erekcja niemal rozsadała moją pełną pieluchę.

RANDKA

W końcu ją zaprosił. Nie mógł dłużej czekać, zwłaszcza że Marcin też ewidentnie do niej uderzał. Co prawda robił to z gracją orangutana, lecz nawet małpi wdzięk, wytrwałość i konsekwentny, przynosi ostatecznie efekty. Zgodziła się od razu, jakby tylko na to czekała. Zнали się już przecież kilka lat, pracując wspólnie w tej samej jednostce straży pożarnej. Taka praca niezwykle zbliża ludzi i choć Robert, od początku zauroczony młodszą koleżanką, marzył o czymś więcej niż przyjacielski buziak z jej strony, Dorota zdawała się tego nie dostrzegać. Teraz jednak powiedziała „tak” i mimo że miała być to tylko niewinna pierwsza randka, Robert był wniebowzięty, jakby przyjęła jego oświadczenia. Ustalili, że wyjdą razem w piątkowy wieczór (szczęśliwie oboje nie mieli dyżuru), a on wybierze miejsce, które – skąd mogła o tym wiedzieć? – już od dawna było wybrane. Robert przykładał do tego olbrzymią wagę i wszystko zawczasu przygotował. Mała klubokawiarnia na starym mieście spełniała wszystkie warunki dla udanej randki. Była na tyle duża, że można było potańczyć przy dźwiękach salsy i na tyle kameralna, że siedzenie przy butelce wina i obserwowanie pląsających po parkiecie par dawało równie dużo przyjemności. Stonowane światło, miła obsługa i zawsze idealnie dobrana muzyka z pogranicza jazzu, bluesa i meksykańskich rytmów tworzyły klimat, jaki sobie wymarzył.

Sprawdził zawczasu wszystko, zarówno pod względem repertuaru, przepisów BHP, jak i przeciwpożarowych. Zajął się gaśnicami, szybami wentylacyjnymi, zabezpieczył wyjścia awaryjne i dokładnie zbadał przewody elektryczne oraz kable od monitoringu. Wszystko było przygotowane i zapięte na ostatni guzik.

Kiedy po nią przyszedł, wyglądała olśniewająco. Jakże inaczej niż w służbowym kombinezonie. Prezentowała się wprost przepięknie w zwiewnej niebieskiej sukience i zgrabnych pantofelkach. Rozpuszczone blond włosy, podpięte gustowną spinką, tworzyły coś na kształt anielskiej peleryny opadającej na odsłonięte ramiona. Delikatny makijaż, błyszczące radosną ciekawością oczy o chabrowym odcieniu, dziewczęco zalotny uśmiech. Wiedział, że to ta jedyna. Teraz był już całkowicie pewien, że nie wolno mu niczego zepsuć. Nie może pozwolić sobie choćby na cień niepowodzenia, który mógłby narazić go na utratę Doroty. Czuł, że ją kocha.

Patrzyła na niego z nieukrywaniem zachwytem, kiedy elegancko odziany w grafitowy garnitur nieco niezdarne nalewał jej wino do kieliszka. Chłopięcy rumieniec nieśmiałości, czy też niewielkiego zażenowania dodawał mu tylko uroku. Nie spodziewała się, że właśnie on zaprosi ją do tak klimatycznej knajpki. Rytmiczne dźwięki fortepianu kołysły zmysły, zlewając się z lekko zawodzącym saksofonem, gubiły się na chwilę, by zaraz pod batutą chropowatego męskiego barytonu znowu się zespolic. Widziała, jak na nią spoglądał, uważnie i jakby z tęsknotą, a zarazem nieco władczo i natarczywie. Było naprawdę interesująco, nieco tajemniczo. Delikatne mrowienie rozchodziło się przyjemnie w okolicach krzyża, a w głowie zaczynało już szumieć, gdy kolejny raz skosztowała szkarłatnego trunku. Wtedy wstał od stolika i mamrocąc ciche przeprosiny, udał się w kierunku toalety. Obserwowała go przez pryzmat czerwieni na wpół opróżnionego kieliszka, jak szedł pospiesznie, roztrącając tańczące pary. Po trzecim łyku wina odjęło jej władzę w nogach, w uszach zaczęło niemiłosiernie dudnić, a oczy jak przez mgłę

rejestrowały rzeczywistość. Omiotła wzrokiem wnętrze lokalu. Ludzie przy stolikach obsuwali się z krzeseł z ustami wykrzywionymi niemym krzykiem. Tańczące przed chwilą pary zdawały się nadal płaszać, wczepione w siebie kurczowo w szaleńczym poziomym rytmie parkietowych konwulsji. Szedł w jej kierunku, wyłaniając się z mgły i rozrzucając dymiące pojemniki. Za jego plecami szalała burza ognia. Teraz i jej system nerwowy odczuł paraliżujący skutek gazu. Zamarła w pół oddechu, nie mogąc zmusić porażonych mięśni przepony do pracy. Na kilka sekund zapadła martwa cisza. Rozrywający dźwięk alarmu pożarowego rozlegał się miarowo, pulsacyjnie, zaraz potem uruchomił się system zraszaczy.

– Słyszysz? Leci nasza piosenka – odezwał się nieco zniekształconym przez maskę przeciwgazową głosem. – Zatańczysz?

Porwał ją w ramiona i próbował zgrać ruchy z dźwiękami syreny, podczas gdy ona obserwowała zdeformowane odbicie swojej groteskowo wykrzywionej twarzy w szklach jego nowych oczu.

– To zawsze była nasza piosenka! – Zdążyła jeszcze usłyszeć, zanim straciła przytomność.

DZIEWCZYŃKA ZE ŚWIECZKAMI

Lodowaty wiatr smaga małą, skuloną pod schodami ratusza postać. Liche palto ciasno otula wymizerowaną dziewczynkę. Czarny, postrzępiony szal dyskretnie zasłania sińce na szyi i dekolcie. Drobną, zgrabiła z zimna dłoń w jednopalczastej rękawiczce wysuwa się w błagalnym geście ku przechodniom. Oto Ania. Bezimienna dla płynącej rzeki pochłoniętych własnymi sprawami postaci, ledwo zauważalna na tle zawalonych śniegowym błotem schodów ratusza. Za stara, by z innymi dziećmi klęczeć pod kościołem, za młoda, by można ją sprzedawać na ulicy. Dwunastoletnie utrapienie Opiekuna. U jej stóp leży kilka świątecznych świeczek. Małe żółte karykatury o rachitycznych knotach, z krzywo przyklejonymi obrazkami. Dzieciątko Jezus – wytwór kolorowego powielacza – promiennie uśmiecha się ze żłóbka. W powietrzu rozchodzi się zapach prażonych migdałów i grzanego wina. Roześmiane dzieci próbują karmić osiołka, onieśmiałego tłumem gromadzącym się przy miejskiej szopce. Gdzieś z oddali płynie radosne *Jingle bells*, słychać okrzyki zachwytu i podniecone rozmowy. Ania już nie czuje zimna. Na chwilę daje się ponieść grze kolorowych świateł na śniegu, świątecznym zapachom. Coraz rzadziej wyciąga rękę, próbując zwrócić na siebie uwagę.

– Weź się do roboty, kocmołuchu! – Podchmielony młodzieniec bryluje przed swoją panią.

– Chcesz świeczuszkę? Ale to chyba nie twój rozmiar...

Tleniona blondynka zachłystuje się śmiechem.

Zataczając się w niepomamowanych spazmach radości, para oddala się powoli.

Żeby tylko sprzedać chociaż kilka... („Minimum pięć dych albo się nie pokazuj!”). Poranne krzyki skacowanego Opiekuna wracają. Krążą nad dziewczynką niczym czarne, złowieszcze kruki, głodne sępy wietrzące padlinę.

– Ile tego masz, drogie dziecko? – Przyjazny, wręcz aksamitny męski tembr wyrywa Anię z letargu.

– Dwanaście, proszę pana.

Podnosi pełną bólu i nadziei dziewczęcą twarz w stronę głosu. Tęgawy mężczyzna w średnim wieku, o wielkich czerwonych policzkach i łagodnych oczach uśmiecha się przyjaźnie.

– Poproszę wszystkie. – Pulchnymi palcami sięga do potężnego portfela. Czarny pugilares wręcz pęka od dobrobytu. – Czy tyle wystarczy? – Pięćdziesięciozłotowy banknot jawi się niczym zbawienie. Kawałek niebieskawego papieru, kawałek spełnienia. Panaceum na ból, mróz i samotność wśród tłumu. – A to dla ciebie.

Papierowa tutka pełna słodkich, świeżo uprażonych migdałów rozkosznie grzeje ręce. Niebiański zapach świąt, prezentów i kołęd wynagradza godziny spędzone na schodach ratusza. – Chodź, odprowadzę cię do domu.

Mężczyzna jest wyraźnie wzruszony. Jego oczy wilgotnieją pod wpływem emocji.

Biedna, mała sierotka wśród śnieżnej zamieci... Zupełnie jak u Andersena.

Dwie postacie suną wzdłuż deptaka – ramię w ramię; mężczyzna dopasowuje krok do radosnego dreptania dziewczynki. Ania raz po raz sięga po słodkie migdały.

Wzruszenie mężczyzny osiąga apogeum, gdy ją gwałci w przydworcowych krzakach – szłocha, zaciskając wielkie dłonie na chudej, posiniaczonej szyi.

Starszy aspirant Kwiatek pochyla się w milczeniu nad małym ciałem. Widok roznegliżowanych zwłok przyprawia go o mimowolne dreszcze. Żółte świece z Dzieciątkiem Jezus okalają małą blond główkę. Z zaciśniętej piąstki wystaje niebieski banknot.

– Świat schodzi na psy – burczy pod nosem aspirant Kwiatek, nie zdając sobie sprawy, jak komicznie brzmi to w ustach policjanta.

ANGRY DADS

Rysiek nie panuje nad emocjami. Z płonącymi purpurą policzkami wypływa najnowsze wieści wprost w rozdziawione gęby kolegów.

– Słyszeliście, co dostanę na urodziny?

– Niby skąd? – Dziwi się Marcin, przeczesując dłonią rudą grzywkę, opadającą niezdarnie na piegowate czoło.

– Przecież nie jestem jasnowidzem – obrusza się Grzesiek, klepiąc się po okazałym brzuchu, wypchanym świeżo pochłoniętymi frytkami z majonezem.

– Mówię wam, bomba! Od czasów pierwszej komunii nie zrobili mi takiej frajdy! – Rysiek z trudem łapie powietrze, wciąż zdyszany kilkusetmetrowym sprintem.

– Oj, tak, komunię miałeś ekstra! – Grzesiek delektuje się wspomnieniami. Brylował wtedy wśród ich wesołej trójki umiejętnościami w prowadzeniu quada.

– Tak, tak – wtóruje mu Marcin, któremu udało się wygrać pamiętne zawody w rozjeżdżaniu prosiaków na czas.

Organizatorzy festynu wypuścili wtedy chyba ze setkę różowych kwiczołów na ogrodzone pole, gdzie szczęśliwi chłopcy przez dwie godziny uganiali się za nimi na swoich spalinowych potworach, próbując na różne sposoby rozjeżdżać kolejne sztuki. A wszystko dzięki hojności rodziców Ryśka, którym uśmiech zadowolenia na twarzy syna wynagradzał każdą inwestycję. Teraz jednak, na dwunaste urodziny swej wychuchanej latorośli, postanowili dać z siebie wszystko. Zafundować mu prawdziwy dzień dziecka.

Inspiracją był dla nich telewizyjny show o nazwie *Angry dads*. Ostatnimi czasy ten program nie schodził wręcz z ust obywateli. Oto bowiem rząd wreszcie stanął na wysokości zadania i znalazł sposób na pozbywanie się społecznych śmieci – tatuśków-pedofilów, dręczycieli rodzin, pijackich niebieskich ptaków, którzy spłodzwszy potomstwo, nie chcieli bądź nie potrafili się o nie należycie zatroszczyć. Na wzór niegdyś słynnej gry komputerowej *Angry Birds* odtwarzano w naturze wymyślne budowle, instalacje architektoniczne lub po prostu udostępniano budynki przeznaczone do rozbiórki, by przy aprobacie żądnych sprawiedliwości tłumów, unicestwiać je rękoma siedzących za sterami komputerów dzieci. W roli pocisków – czasem wprost burzących kul budowlanych – występowali wyrodni ojcowie, skazani prawomocnymi wyrokami niezawisłych sądów.

Dzień dziecka był znakomitą okazją dla tak wyszukanej rozrywki. Ofiary mogły teraz własnoręcznie wymierzać sprawiedliwość swoim oprawcom, ku uciesze i zadowoleniu gawiedzi.

– Ale jak to? Prywatny pokaz na naszym szkolnym boisku? Twój osobisty dzień dziecka? – Grzesiek nie może wyjść z podziwu. – Jak oni to załatwili?

– Przecież to musiało kosztować fortunę! – Twarz Marcina wyraża bałwochwalczy wręcz podziw. Nie może uwierzyć, że rodzice Ryśka zdołali zorganizować lokalne igrzyska. To niewątpliwie wymagało nie tyle zasobnego konta, co poważnych znajomości na najwyższych szczeblach władzy. Zwłaszcza że takie imprezy odbywały się jedynie w międzynarodowy dzień dziecka, zaś prawo do zasiadania za sterami wyrzutni przysługiwało jedynie starannie wyselekcjonowanym ofiarom przemocy domowej.

– Oni naprawdę muszą cię bardzo kochać – mamrocze przejęty Grzesiek. – Piętnaście żywych pocisków, tylko dla nas... To niewiarygodne!

Słońce pręży się dumnie w południowym apogeum, gdy chłopcy zasiadają do konsoli usianej kolorowymi przyciskami, dżojstikami, pokrętłami. Sam burmistrz zajmuje miejsce w vipowskiej łoży, tuż obok wzruszonego dyrektora szkoły i rozanielonych rodziców Ryśka. Na środku boiska wznosi się wymyślna konstrukcja, kształtem przypominająca miniwieżowiec mieszkalny. Zadbane o wszelkie szczegóły, łącznie z zewnętrzną elewacją i kompletem szyb w miniaturowych oknach. Misternie wzniesiona budowla, wielkością dorównująca przeciętnemu, dwupiętrowemu domkowi jednorodzinnemu, czeka cierpliwie na atak leniwie rozłożonej maszyny, wyglądem przypominającej gigantyczną procę. Zręcznie ukryte przewody biegną od miotacza zagłady do pulpitu sterowniczego, za którym siedzą już rozentuzjasmowani chłopcy. Olbrzymi telebim wyświetla emocje malujące się na twarzach młokosów z dokładnością technologii HD.

– Ry-siek, Ry-siek, Ry-siek! – Okrzyki zachęty dobywają się z gardeł wygłodniałej wrażeń publiczności.

Ekipa techniczna wywleka, a właściwie wytacza pierwszy pocisk. Spętany mężczyzna z zakneblowanymi ustami, wymyślnie uformowany za pomocą zręcznych więzów i marynarskich węzłów w kształt niemal doskonale okrągły, zostaje usadowiony w wyrzutni.

– Strze-laj, strze-laj... – Zachęca tłum.

Rysiek naciska czerwony przycisk. Z nadmiaru emocji zapomina wziąć poprawkę na siłę wiatru i odległość. Mężczyznę wynosi w górę na kilka metrów; po chwili opada na murawę z głuchym plaśnięciem.

– Buuuu, buuu – ryczy niezadowolony tłum. Jakimś cudem więzy puszczają i mężczyzna, ciągnąc za sobą połamane nogi, pełźnie w panicznym, instynktownym odruchu ucieczki.

– Jeszcze raz, jeszcze raz! – Skanduje tłuszcza. – Strzelać flakiem, nie darować, strzelać flakiem...

Techniczni bez trudu doganiają uciekiniera i nadają mu na powrót pożądaną kształt kuli.

Drugi strzał jest udany. Tym razem pocisk sięga celu i z gracją rozbryzguje się na kawałki, tłukąc przy okazji kilka szyb w dolnej kondygnacji.

– Da-wać bomby, da-wać bomby! – Podniecenie udziela się już wszystkim. Na telebimie pokazuje się twarz matki Ryśka. Łzy wzruszenia żłobią tunele w grubej warstwie pudru pokrywającej jej policzki.

– To mój syn, moje dziecko! – próbuje przekrzyczeć radosną wrzawę.

– Chłopaki, musicie mi pomóc z „czteropakiem” – zwraca się do kolegów Rysiek. – Grzesiek, ty odpalasz ładunki nad celem... i nie spartacz, mamy tylko jedną próbę... Marcin, ustaw kąt wyrzutni – rozkazuje jak w amoku. Czuje się doskonale w roli dyrygenta.

– Taaa jeeest, szefie! – Chórem meldują koledzy.

Czteropak wylatuje w przestrzeń. Cztery ludzkie pociski, oklejone ładunkami wybuchowymi, szybują ku celowi pod doskonale obliczonym kątem. Grzesiek inicjuje wybuch we właściwym momencie. Budowlę prawie roznosi na strzępy, trzyma się jedynie w dolnych partiach.

– Krę-gle, krę-gle! – Skanduje rozochocony tłum.

Z wyrzutni wylatuje dziesięć postaci przytwierdzonych do wózków inwalidzkich. Zręcznie wyprowadzony przez Ryśka strzał obraca miniwieżowiec w ruinę.

Jest na co popatrzeć, co podziwiać. Multimedialny operator imprezy potrafi ukazać wszystko we właściwym świetle. Rozpędzone wózki suną po murawie wzorową tyralierą, siłą rozpędu wrywając

kępki boiskowej trawy, i wtedy: cudowna „stopklatka” na telebimie, gdy odpalają przymocowane do wózków rakiety, przyspieszenie obrazu, kiedy rydwany zagłady nabierają zabójczej prędkości, wreszcie nieziemsko detaliczne „slow motion” – zbliżenie na poetycko wykrzywione strachem twarze jeźdźców apokalipsy, zderzenie z celem ukazane w niewiarygodnie dokładnej rozdzielczości. W końcu moment eksplozji uchwycony na poziomie pikseli... Wybuch oddaje z powrotem w eter przemieloną na pył materię.

Nadpalone ludzkie szczątki lądują wprost w objęcia zachwyconej publiczności. Brawa, wiwaty, owacje na stojąco.

Wypuszczone z trybun dzieciaki, uzbrojone w noże, młotki i kije bejsbolowe, dobijają ostatnich bohaterów dzisiejszego *Angry dads* w wersji lokalnej. Rysiek z kolegami odbierają gratulacje od burmistrza i ekipy technicznej.

Na wielkim ekranie, zaraz po licznych powtórkach wyczynów strzelniczych solenizanta i spółki, pojawia się lista nazwisk straconych mężczyzn i ich przewinień.

Witold Ciota – kapał pięcioletnią córkę nago... Zygmunt Piesek – podcierał pupę trzyletniemu synowi... Zenon Bromski – upił się na oczach przedszkolaków...

Rysiek nie czyta napisów. Wpatruje się w jaśniejące wzruszeniem twarze rodziców.

– Zobaczysz, co ci zafundujemy na osiemnastkę... – szepcze tajemniczo mama. – Synku, jestem z ciebie taka dumna!

MUSIMY BARDZO POWAŻNIE POROZMAWIAĆ

Dla Jarka

Zycie pisarza jest przyjemnie monotonne. Nie walczę z tą monotonią; poddaję się jej z prawdziwą rozkoszą, pielęgnuję, utrwalam nawyki i przyzwyczajenia. Codzienną rutynę postrzegam jako błogosławieństwo – słodką niewolę, której jarzmo noszę z radością i zrozumieniem. Lubię wstawać – broń Boże zrywać się – o nieco nieprzyzwoitej, przedpołudniowej porze, zaparzyć kawę, odrobinę poleniuchować we wciąż zaspanych pieleszach, potem sięgnąć po lekturę – najczęściej zbiór opowiadań – przegryzając słowo pisane francuskim rogalikiem. Szare komórki przyjmują glukozę z równym zaangażowaniem, co strawę intelektualną. Następnie przychodzi kolej na balkonowego papierosa, czasem dwa, gdy okoliczności przyrody, z naciskiem na warunki atmosferyczne, sprzyjają. Potem obowiązkowy spacer – co najmniej godzina, bez względu na aurę. Pora lunchu zazwyczaj zaskakuje mnie w przytulnej kawiarence „Na rogu”, gdzie mogę podelektować się kolejną kawą, domową kanapką z serem, zapiekanką lub talerzem bulionu. W powrotnej drodze lubię zahaczyć o lokalną bibliotekę, zajrzeć do przytulnej księgarenki, czasami – już mniej chętnie – do osiedlowego sklepu, celem zabezpieczenia potrzeb kulinarnych na resztę dnia i początek następnego. Kiedy już wrócę do mej twierdzy, wyłączam telefony, domofonowy przycisk ustawiam w pozycji „off” – tak, nie omieszkałem dopisać flamastrem słowa „fuck”, co niezmiernie mnie ubawiło – i w ten sposób, odseparowany od świata zewnętrznego, oddaję się pisaniu. Kto tworzy piórem, zwłaszcza historie fantastyczne, ten wie, że nie ma nic przyjemniejszego od wprowadzenia się w stan błogiej pół-hipnozy – złośliwi będą twierdzić, że to łagodna odmiana schizofrenii – i czerpiąc garściami z zaobserwowanej rzeczywistości, przelewania na papier bądź ekran komputera opowieści tak niesamowitych, że za każdym razem od nowa zaskakujących nawet dla samego twórcy.

– Skąd pan czerpie pomysły, jak pan na to wpadł? – Często pytają czytelnicy. Ci nieco bardziej złośliwi wymieniają szereg środków pomocniczych, od czystej wódki poczynając, na barbituranach kończąc, które to niby miały natchnąć artystę. Nigdy w życiu nie popełniłem literackiego zdania – pomijając donosy na upierdliwego sąsiada, zabawiającego się wiertarką o północy – pod wpływem substancji psychoaktywnych. Wystarczy wnikliwa obserwacja i traktowanie rzeczywistości do bólu dosłownie. No, dobra, trochę wyobraźni i zjadliwego poczucia humoru też pomaga.

Z samymi pomysłami rzecz jest niewiarygodnie prosta; wydają się istnieć samodzielnie w eterze i podkładać mi nogi tak długo, aż się w końcu o nie potknę. Tak przynajmniej lubię sobie to wyobrażać, natomiast jestem przekonany, że „przychodzą” same. Nagle i bez pardonu, niekiedy łagodnie i subtelnie, innym razem ciosem prosto w zęby.

Każdy pisarz wie, a każdy czytelnik powinien sobie zdawać sprawę, że od pomysłu do gotowego utworu wiedzie droga kręta i zdradziecka. Sama idea jest eteryczna, zawiera się często w jednym zdaniu, puencie, przebłysku sceny, dialogu; rozkręca się w miarę pisania, nabiera kształtów fabuły, odziewa bohaterami, syci opisami. Żeby zaistniała w końcu jako pełnowartościowa opowieść, musi stać się

prawdziwą. Najprostszą drogą do celu wydaje się być przeniesienie autentycznych postaci z rzeczywistości, udekorowanie ich przymiotami psycho-fizycznymi wedle uznania autorskiej wyobraźni i osadzenie w fikcyjnym świecie, wygenerowanym jednak na bazie tego istniejącego w znanym nam wymiarze.

I tu możliwości jest sporo. Niektórzy obsadzają całą swoją rodzinę w literackim przedstawieniu, inni szukają twarzy i sylwetek, wycinając zdjęcia z kolorowych czasopism, jeszcze inni wymyślają postaci od a do z, skrzętnie notując wytyczne w sprawach ubioru, tuszy, charakterystycznych znamion, a nawet pełnych profili psychologicznych – niczym policyjna dochodzeniówka na tropie seryjnego mordercy. Ja jestem leniwy. Czerpię zachłannie, bezlitośnie i bez cienia pruderii z ludzi napotykanym przy okazji codziennych spacerów. Ten system ma jednak pewne minusy, o czym czuję się w obowiązku poinformować. I nie mam tu na myśli pukania się w głowę, kiedy pytam przypadkową matronę, prowadzącą dwójkę dzieci za rączkę, o kolor jej majtek, ani prób przywalenia mi w mordę przez grubego staruszka, gdy dociekam, czy z jego jamnikiem łączy go coś więcej niż zwykła męska przyjaźń. Problemem okazała się moja twórcza samowolka, pewnego rodzaju kreatywna, złośliwie kontrolowana chęć tworzenia – tworzenia z boskim rozmachem i diabelskim poczuciem humoru.

A wszystko zaczęło się w zeszły piątek, gdy termin naglił, a ja wciąż byłem w lesie. No, może nie do końca; pomysł był, szkic fabuły powoli się klarował, ale potrzebowałem wyrazistych, nietuzinkowych bohaterów – fizycznie oryginalnych i złożonych psychologicznie. Ruszyłem na łowy.

Zwlokłem się po wyszczerbionych schodach klatki schodowej i na bezdechu pokonałem odległość dzielącą drugie piętro od drzwi wyjściowych – duszną i gęstą od oparów, gotowanego jak zwykle o tej porze przez sąsiadkę spod siódemki kapuśniaku. Nabrałem powietrza... i już w notatniku zapisywałem pierwsze zdania do opowiadania: *Przywitało mnie lękliwe, październikowe słońce i woń uryny, którą gwałtownym haustem zaprosiłem do płuc. Stopień zasikania kamienicznej bramy spokojnie mógłby rywalizować z zaniedbanym szaletem miejskim. Tak samo jak poetyckość zdobiącego odrapane ściany graffiti: „Gonzo to huj niewłochaty”, „Lilka ciągnie druta jak andruta”.*

Niezły początek, może się przydać – pomyślałem i rzuciłem się jak wygłodniały wilk w poszukiwaniu dalszych inspiracji, w szczególności zaś ludzkich odpowiedników moich przyszłych herosów literackich.

Tuż za rogiem, na pierwszej prostej nieco pofałdowanego i garbatego chodnika, wystrzelił na mnie: *młodzieniec chudy jak szczapa; jego mizerne ciało tkwiło w szaleńczo powiewającym palcie, pełne niekontrolowanej energii kręciło się na niewidocznych biodrach, podrygiwało na długich, tragicznie krzywych nogach. Twarz miał wąską niczym brzytwa, szpotawą, jakby ktoś potraktował ją dłutem, zęby przydymione żółcią i brązem, koślawe, przerzedzone; spojrzenie matowe, choć drzemał w nim błysk szaleństwa, włosy mokre, zaczesane do tyłu tak niezdarnie, że wyglądały jak tupecik wykonany z rozjechanego na szosie szczura...* Aż się zachłysnąłem z przyływu weny, ręka nie nadążała kreślić wodospadu słów, długopis tańczył po kartce notatnika jak epileptyk. Zanim chłopak zniknął z pola widzenia dopisałem: *bezdomny, narkoman – metaamfetamina, gwałcony w dzieciństwie przez ojca, skorbit, pedał, mały fiutek, masochista.* Odetchnąłem z ulgą. Pierwszy zaliczony – wyrazisty, z bagażem doświadczeń, świetny materiał na kryminalistę albo sfrustrowanego dziwaka.

Nie zdążyłem zebrać myśli, gdy z samochodu wygramolił się puszysty dziadek, nerwowo rozglądając się za parkometrem. Ujrzałem: *wyblakłe oczy bez wyrazu, osadzone dość blisko długiego, pałkowatego nosa, osłonięte brązowym filcem kapelusza; ten odkrywał niewiele, kładąc mroczny półcień na nieszczerym grymasie uśmiechu, na usta ściągnięte skurczem niepokoju – pulchne, nierówne, bąblowate. Z całej jego postaci biła ukryta wrogość, napięcie i obrzydliwa tajemnica. Czy to jego chrapliwego oddechu nasłuchiwała siedmioletnia wnuczka, drżąc ze strachu pod przepoconą kołderką...?* Umknąłem wzrokiem przed zaciekawionym moim dziwnym zachowaniem staruszką –

pewnie wyglądałem jak postrzelony rysownik karykatur, który z zaskoczenia kreśli namiastki portretów przypadkowym „ofiarom”. Zanim zdążył mnie zagadać (opieprzyć? strzelić w ryj?), zapisałem w notesie kolejne uwagi: *...gdy się na niej kładł, falujący brzuch rozlewał się po mikrym ciałku dziewczynki, dusił, zasysał. Szarpała go za kudły na karku, resztki rozpaczliwie chwytanego tlenu wypierały wyziewy ze starczej, bezzębnej paszczy. Z rozkoszą patrzył na jej przerażoną, siniejącą twarzyczkę.* Odwróciłem się na pięcie, zostawiając kolejną zdobycz własnemu losowi.

Przysiadłem na osiedlowej ławeczce, o dziwo nieokupowanej przez miejscowych meneli. Zerknąłem na notatki. Szykował się niezły horror, prawdziwy *danse macabre*. Muszę przyznać, że to niesamowite uczucie spotkać nieznanego człowieka na ulicy, odrzeć go z godności i atrybutów urody, wydobyć na światło dzienne przywary, lęki, frustracje, obdarzyć fikcyjnym imieniem i nazwiskiem lub po prostu pozostawić anonimowym potworem. Im ktoś bardziej niewinnie i cnotliwie wygląda, tym większą radość sprawiają mi dywagacje na temat jego odrażających sekretów – schorzenia, które toczy go od środka. Ponoć wszyscy jesteśmy dotknięci chorobą swoich tajemnic. Jednak prawdziwie magicznym przeżyciem jest ponowne spotkanie osoby, którą wzięło się wcześniej „na warsztat”. Przestaje ona wtedy być zwykłym przechodniem, którego ścieżkę los skrzyżował z twoją, a zaczyna istnieć jako postać literacka, na którą natykasz się w realnym świecie. Może właśnie dlatego niespecjalnie przepadam za sąsiadami?

Tymczasem coraz dotkliwiej odczuwałem twarde deski ławki. Rozejrzałem się po *wąskiej uliczce, pod której nawierzchnią pulsował złem zapomniany cmentarz, zwróciłem uwagę na samochód, którego lampy zaparowały wściekłością, a ryk silnika przypominał nadchodzącą z oddali burzę, rzuciłem okiem na majaczące w oddali stragany; ich rachityczne, dziurawe plandeki wydymały się na wietrze jak żagle uszyte z łusek smoka*, by wreszcie ruszyć cztery litery i dokończyć misję. Potrzebnych mi było jeszcze kilka osób, a w głowie rodził się plan: jak stworzyć naprawdę rozbudowaną literacką postać.

Gdyby długopis był zdolny do zmęczenia się, to spływałby właśnie perliście potem, a notatnik – zakładając jego łatwopalność – prawdopodobnie zająłby się ogniem. Pisałem jak szalony. O kobiecie z *brzuchem plugawo zaciężonym szatańskim pomiotem, o nastolatku, co kotom łebki ucinął, trzewia wybebeszał, by potem rozpustnej orgii z truchłem się oddać, o bliźniakach syjamskich, z których jeden był martwy, lecz żyć pragnął i do mózgu brata dobrać się zamierzał* i wielu innych *toczonych robakiem chciwości, pijaństwa i mrocznych fetyszy; delectowałem się drobiazgowymi opisami ropiejących penisów skażonych tryprem, uschniętych kończyn, szerniałych resztek zębów.* Nie mogłem się doczekać, kiedy w końcu siądę przy wiernym laptopie i scalę wszystko do kupy jak należy – z poetycką werwą, nieskrępowaną dosadnością, fabularnym koszmarem i merytorycznie bezbłędnym poczuciem humoru, tak czarnym, że godnym najbardziej skruszałego wisielca.

Słowa lądowały na chciwym ekranie komputera, palce nie nadążały za myślą. Późną nocą luźne wątki nabrały spójności, postaci wyrazistego kształtu, puenta trafiała celnie, pozostawiając czytelnika z otwartą gębą i ugiętymi w bałwochwalczym pokłonie kolanami. To była zdecydowanie najlepsza krótka forma, jaką w życiu popełniłem, opowiadanie godne wszelkich nagród i recenzenckich pochwał. Tym razem nie ograniczyłem się do jednostkowego przenoszenia postaci na papier, skupiłem się na drobiazgowym umieszczeniu wszystkich cech wyglądu i charakteru w jednym superbohaterze. Skondensowałem wszelkie możliwe okropności w pojedynczym, pokracczym, groteskowym ciele i jedynym w swoim rodzaju umyśle, tak szalonym, że banda Mansona podniesiona do sześcianu jawiła się jedynie jako żłobek makabry.

Pewnie kusi was pytanie: w czym rzecz w takim razie, gdzie tkwi haczyk? Spieszę z odpowiedzią. Haczyk, który dla potrzeb wiekopomnego utworu pieszczotliwie ochrzciłem imieniem Legion, tkwi i dyszy tuż za moimi plecami; zionie pretensją, płacze poczuciem krzywdy. Opasłe cielsko dotknięte kompletem plag egipskich kołysze się niezdarnie, stęka i jęczy – jest i kawałek dziadka pedofila

z uschniętym prąciem, i ułamek ciężarnej z Antychrystem w trzewiach, i kapka narkomana o szpetnej facjacie, i odrobina martwego, żarłocznego bliźniaka syjamskiego. A monstrum śmierdzi, wyje; to się płaszczy, to grozi; macha niezdarnie obrzydliwymi kończynami, łąpie serią kaprawych ślepi, kłapie obłeśną szczęką o tysiącu nadpróchniałych kłów. Wciąż powtarza te same słowa; wydobywa je z najplugawszej we wszechświecie gardzieli, składając usta w groteskowy, jakby ulepiony z przypalonej skóry dzióbek:

– Musimy bardzo poważnie porozmawiać!

– Zamilcz, plugawy bydlaku – odpowiadam czule. Przecież nie skasuję tak wspaniałego opowiadania.

Jeśli jesteś pisarzem, doskonale wiesz, że za publikację tekstu czasem trzeba zapłacić wygórowaną cenę, nawet gdy ową ceną okazuje się niepożądany i nieco problematyczny lokator. Jeśli natomiast jesteś „tylko” zwykłym czytelnikiem, wiedz, że to wszystko z myślą o Tobie.

MUSIMY POROZMAWIAĆ JESZCZE POWAŻNIEJ: POSŁOWIE

Drogi Czytelniku,

jeśli zaliczasz się do tej samej kategorii czytaczy co ja, czyli do takich, którym sprawia przyjemność lektura wstępów do książek, tudzież posłowia, gdzie autor nachalnie wyjaśnia, co zainspirowało go do stworzenia literackiego dzieła (nawet jeśli owo dzieło okazuje się zwykłym grafomańskim wybrykiem), to serdecznie zapraszam do dalszego obcowania z *Bez znieczulenia*. Natomiast, gdyby rzecz miała się zupełnie na odwrót, proszę, nie katuj się. (Choć w takim przypadku pewnie nawet nie dobrnąłeś do tego miejsca).

Nadal mi towarzyszy? Bardzo mi miło. Oto okoliczności, które sprawiły, że napisałem to, co napisałem.

DZIWNY JEST TEN ŚWIAT

Powstały setki, jeśli nie tysiące opowieści o pisarzach kreujących świat realny za pomocą literackiej fikcji. Ja cierpię na upierdliwą skłonność do odwracania „kota ogonem”. W roli magika, zaklinającego rzeczywistość obsadziłem czytelniczkę-psychofankę, która, zakochana w subiektywnym wyobrażeniu autora-widmo, siłą woli nadaje mu pożądany wygląd, maniery, a nawet osobowość i narodowość. Oczywiście bez konsultacji z najbardziej tą metamorfozą zainteresowanym. Myślę jednak, że ku uciesze, starego, brzydkiego drania. Co mi tam, niech ma!

KONKURS

To jest jedno z tych opowiadań, które napisałem pod wpływem impulsu, dosłownie jednego zasłyszanego zdania, wygłoszonego ze srebrnego ekranu. Pamiętam, że klepałem akurat twórczo w klawisze laptopa. Zawsze jestem wtedy mocno skupiony, wyłączam się z rzeczywistości i pewne sygnały z zewnątrz dochodzą do mnie jak przez mgłę. W tle grał telewizor; sączył się jakiś słowotok, który mentalnie ignorowałem. W pewnym momencie, gdy kręgosłup zaczął domagać się zmiany pozycji, a płuca przerwy na papierosa, dotarła do mnie „sentencja” wypowiedziana nadzwyczaj spokojnym głosem (jak się później okazało, księdza udzielającego wywiadu w TVP INFO): „Bo to jest dobra matka. Matka, która karmi nas ciałem syna swojego”.

Natychmiast zobaczyłem to oczami wyobraźni. Dosłownie.

CHWYT MARKETINGOWY

Na *Chwyty marketingowe* złożyły się dwa główne czynniki. Pierwszym i najważniejszym okazała się teza, że biblijny Judasz, postrzegany powszechnie jako najgorszy typ zdrajcy, człowiek współodpowiedzialny za śmierć Jezusa, tak naprawdę zdradził swojego mistrza na jego wyraźne polecenie. Ktoś przecież musiał wydać Mesjasza, żeby „ofiara mogła się spełnić”. Idąc tym tropem, można by przyjąć, że to

właśnie Judasz był tym apostołem, który najbardziej kochał Jezusa i równocześnie tym jedynym z całej „dwunastki” na tyle silnym psychicznie, by wznieść się ponad ludzkie pojmowanie miłości i na tyle wtajemniczonym w boski plan, by aktu „zdrady” się dopuścić.

Drugim czynnikiem, który przyczynił się do utrzymanego w satyrycznej konwencji wydzwiku tego szorta, był niewątpliwie drabelek Rolanda Topora, gdzie Jezus, występując jako celebryta popisujący się chodzeniem po wodzie, pośliznął się na skórce od banana i rozbił głowę o falę.

Scalając wszystko do kupy, postanowiłem w swoim opowiadaniu zahaczyć również o wątek Wielkiego Planu, zakładającego – po ludzku patrząc – poświęcenie własnego syna przez ojca dążącego do duchowej hegemonii w materialnym świecie. Prawdziwie korporacyjne posunięcie.

GNIEW

To jedna z tych krótkich form, która swój początek miała w pojedynczym zdaniu, napisanym ot tak, na ekranie komputera. „Był cudowny majowy poranek”... I co dalej? Cierpiałem wtedy na chroniczny brak finansów pozwalających na w miarę znośną wegetację. Papierosy (nawet te z przemytu, kupowane po 5 złotych za paczkę lub po 30 groszy za sztukę) urosły do rangi niemal nieosiągalnego luksusu, a różnica w cenie bułek w sklepach nigdy wcześniej nie była tak ważna. Stan skrajnych emocji człowieka tkwiącego w swoistym matriksie prozy życia niewątpliwie przełożył się na nieco paranoiczny charakter opowiadania, a krwawa jatka, choć uskuteczniła jedynie w wyobraźni, nieco ten stan rozładowała.

Wyścig

Ile razy stałeś na przejściu dla pieszych, drząc o zdrowie i życie? Mnie się to zdarzało bardzo często, zwłaszcza na pozbawionej sygnalizacji świetlnej lokalnej zebrze. Kierowcy niejednokrotnie mieli miny maniaków z *Carmageddon*, a przechodnie za bardzo przypominali ofiary rzucone na żer stalowym potworom ku uciechu oblegającej przystanek MPK gawiedzi.

Miętówka

Dialog taksówkowy jest autentyczny i stał się motorem napędowym do stworzenia tego szorta. Dziękuję Jackowi Zacharzewskiemu – koledze, nieocenionemu mechanikowi skutecznie reanimującemu moje kolejne wynalazki motoryzacyjne, wreszcie świetnemu perkusiście, za sprzedanie mi tej historii.

DIABLI NADALI

Entourage niniejszej historii to (nie)zwykłe, codzienne życie w osiedlowej rzeczywistości. Punktem wyjścia było powiedzonko: „Nigdy nie wypowiadaj życzeń na głos, bo nie wiadomo, który bóg akurat słucha” – jedno ze, swego czasu, nagminnie wygłaszanych przez moją siostrę. Do ciekawostek godnych uwagi, mających pokrycie w rzeczywistości, zaliczają się: magiczny list windykacyjny, pan Wiertara i facet dopingujący swojego defekującego na trawniku psa.

URZĘDNIK

Zastanawiałem się, dlaczego budownictwo socjalne, choćby nie wiem jak wielkie pieniądze w nie zainwestowano, zawsze bardzo odbiega od standardowego. Ten sam fakt dotyczy całych osiedli „drugiej kategorii”, placów zabaw, enklaw tak zwanej patologii społecznej, czy jak kto woli, strefy komunalnej. Ale punktem zapalnym do powstania *Urzędnika* była prawdziwa sytuacja. Mieszkam w kawalerce bloku, gdzie zdecydowana większość populacji to ludzie ubodzy, często objęci „opieką” socjalną. Jednak mieszkańcy bardzo dbają o wygląd i czystość klatek schodowych, starając się, by było schludnie – po

prostu normalnie. Najwyraźniej komuś to przeszkadzało. Przez blisko dwa tygodnie, z uciążliwą i mocno cuchnącą dokładnością, na trzecim schodku półpiętra (zawsze na tym samym schodku) pojawiała się wielka i zdecydowanie ludzka kupa. Tak, jakby ktoś celowo, z urzędniczym uporem i poczuciem misji, noc w noc, defekował w ściśle wyznaczonym obszarze. Nie mogłem tego literacko nie wykorzystać.

PORA KARMIENIA

Wyobraziłem sobie, jak to jest być wyrzyganym przez kota kłaczkiem i co musiałyby się stać, żeby owo wyobrażenie, choć z natury fantastyczne, miało podstawy w realnym świecie. A mogło mieć tylko po ubraniu głównego bohatera w całą gamę nerwic natręctw, nieudolnie zwalczanych przez psychiatryczne medykamenty. No i nie mogło zabraknąć kota.

ZOO

Będąc – w urlopowych okolicznościach przyrody – u rodziny w Rudzie Śląskiej, nie omieszkaliśmy z małżonką odwiedzić chorzowskiego ogrodu zoologicznego. Ciężko przeżywam wizyty w takich przybytkach – po prostu nie znoszę widoku uwięzionych w klatkach zwierząt. Cierpię na dość wybujałą odmianę empatii, stąd trudno mi bez emocji postrzegać świat. Zastanowiłem się, co mogłoby się stać, gdyby współczucie w rozumieniu dosłownym podnieść do rangi tak wysokiej, że aż sprawczej. Dodatkowo zasłyszane dialogi pomiędzy znudzonymi rodzicami i ciekawskimi dziećmi napędziły nieco tę historię.

FELIX

Ten krótki tekst wynikał ze zwykłej głupawki okolicznościowej. Skojarzenie czterolistnej KONICZYNY z czterolistną KOŃCZYNĄ napędziło resztę historii w nie do końca kontrolowany sposób.

POCZEKALNIA

Pytanie stare jak świat: czy istnieje życie po życiu? A jeśli tak, to czy trafiamy wszyscy do jednego miejsca, czy może narzuconego nam przez indywidualną wiarę, religijne przekonania? Nie wiem, co mnie bardziej przeraża: możliwość reinkarnacji, spędzenie wieczności w zaświatach, czy świadomość absolutnego końca zaraz po zakończeniu biologicznego żywota. Grozę budzi we mnie każda opcja i o tym właśnie traktuje między innymi to opowiadanie.

UKŁAD

Za pomysł na tę pulpową opowiadankę powinienem podziękować Jackowi Ketchumowi. W jednym z jego opowiadań, którego miejscem akcji jest przytulna knajpka, bohaterowie prześcigają się w przytaczaniu dziwnych „encyklopedycznych” ciekawostek. W pewnym momencie pada pytanie: „Wiedziałeś, że dzieci rodzą się bez rzepek kolanowych? Wykształcają je dopiero w drugim roku życia”. Adresat pytania odpowiada ze śmiechem: „No, to jeśli masz zamiar zadrzeć z mafią, powinieneś zrobić to odpowiednio wcześniej”. To po prostu zasługiwało na osobną historię.

NA ZIARNKU GROCHU

Na pomysł wpadłem nagle, podczas niezwykle uciążliwej, niemal dwudobowej podróży kurierskim busem z Lublina do Londynu. Być może brak czucia w pośladkach od wielogodzinnego siedzenia skojarzył mi się z niegdyś dość często stosowaną i drastyczną metodą karno-wychowawczą: klęceniem

na grochu. Oczywiście musiało się mocno dostać opacznie rozumianej religijności i pseudopedagogice. Nienawidzę religijnego fanatyzmu i pruskiej szkoły wychowania.

ZACHOWAĆ TWARZ

Rzeczywistość to najpłodniejsza muza wszystkich literatów, zwłaszcza tych ze skłonnością do groteskowego postrzegania świata. Choć trudno w to uwierzyć, bazą do tej opowiadki jest autentyczne nagranie z archiwum policyjnego numeru alarmowego. Facet zadzwonił na policję i stwierdził, że udusił żonę. Po chwili przeprosił za kłopot, wyznając: „oszukała mnie, suka!”. Bardzo mnie ciekawiło, jak doszło do tej sytuacji, więc postanowiłem zmierzyć się ze swoją wyobraźnią.

O, LORD

O, Lord to moja pierwsza świadoma próba pulpowego pisania. Wcześniej zdarzało mi się bezwiednie popełnić coś stylistycznie pokrewnego, choćby *Gniew*. Tu jednak starałem się od początku zachować wymaganą poprawność gatunkową. Dziwnie się czułem w roli psychopaty, ale sam akt twórczy sprawił mi wiele (sadystycznej) frajdy. Punktem wyjścia to wysnucia tej mikroopowieści były resztki obiadowych buraczków zwodowanych w muszli klozetu.

TO ZAWSZE BĘDZIESZ TY

Pół roku po napisaniu tego tekstu obejrzałem film *Skóra* Pedro Almodovara. Mógłbym się upierać, że zerznął pomysł ode mnie. A tak na poważnie – zawsze chciałem popełnić rasową historię zemsty, a pomysł, żeby chirurgicznie przerobić oprawcę na zabitą przez niego ofiarę tylko po to, by zakochany pokrzywdzony mógł fizycznie odzyskać utraconą miłość, wydał mi się makabrycznie cudowny.

POSIEDZENIE

Tak zwana kultura spożywania pokarmów zawsze mnie fascynowała. Dlaczego zasiadamy do stołu i celebруем czynność z natury fizjologiczną, tak naprawdę niczym nie różniącą się od czynności wydalania? No właśnie.

GRAJEK

Motyw grajka-szczurołapa wyprowadzającego z miasta gryzonie za pomocą gry na fujarce jest piękną fabułą wykorzystywaną na setki sposobów w legendach, baśniach, przypowieściach. Mnie dodatkowo zastanowiło, co czuje przegrany życiowo człowiek, kiedy ma szansę poprzez śmierć znowu poczuć się szczęśliwym.

ZOMBIE

Stephen King popełnił kiedyś opowiadanie *I zjawi się tygrys*. Historia traktowała o chłopcu, który musiał wyjść do toalety podczas lekcji, a kiedy do niej w końcu dotarł, spotkał się z tygrysem – prawdziwym drapieżnikiem wylegającym się w szkolnej latrynie.

Zombie to nie tyle głęboka inspiracja tekstem Mistrza, co właściwie wariacja na temat jego opowiadania. Oczywiście po swojemu zmodyfikowałem losy bohatera i pointę całej historii oraz zadbałem by *end* nie był taki *happy*.

POŻĄDANA

Tym tekstem zadebiutowałem na portalu internetowym Niedobre Literki w styczniu 2013.

Pomysł zrodził się jak zwykle z „gdybania”. Co by się stało, gdyby jakaś siła wyższa postanowiła spełnić marzenie dziewczyny o byciu powszechnie pożądaną? Z drugiej strony – tak całkiem szczerze – nie przyszło Ci (zwłaszcza męski czytelniku) nigdy do głowy, co musiałyby czuć rozebrana na łamach Playboya piękność, gdyby fantazje erotyczne setek tysięcy napalonych onanistów, wlepiających gały w jej gazetowe zdjęcie, ziściły się naprawdę; w danej chwili i wszystkie naraz?

WULGARYNKA

Inspiracją do tej opowiadki była pewna grafika traktująca o złośliwym trollu, który podszywając się pod niegdyś popularną telefoniczną „zegarynkę”, raczy dzieci wulgaryzmami; ale również niezwykle nieudolnie działający w naszym kraju system pomocy osobom niepełnosprawnym w zatrudnieniu. Kilku znajomych, którzy ten tekst czytali przedpremierowo, zauważyło, że może być on odebrany jako obraźliwy w stosunku do osób niepełnosprawnych. Nigdy w życiu nie ośmieliłbym się na takie zagranie, zwłaszcza że zarówno w mojej rodzinie, jak i w kręgach najbliższych przyjaciół znajdują się osoby nie do końca sprawne. To, co chciałem uwidocznić, zawiera się w bezmyślnym, urzędniczym młynku pomysłów pomocy ludziom skrzywdzonym przez los. Uważam za uwłaczające wszelkim normom np. zatrudnianie osób z poważną wadą wymowy w działach sprzedaży telefonicznej lub infoliniach, czy ludzi z niedowładem kończyn albo poważnym zwyrodnieniem kręgosłupa przy magazynowych pracach fizycznych – a znam takie przypadki z autopsji. W równym stopniu razi mnie bezduszość pracodawców, którzy w przyjmowaniu na etat pracowników „z orzeczeniem” patrzą wyłącznie na ulgi w płaceniu ZUS-u. Często bywa tak, że osoby niepełnosprawne harują jak woły, wykonując czynności, które nawet tym w pełni sprawnym zrujnowałyby zdrowie.

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA

Był okres wczesno-przedświąteczny. Już po Zaduszkach, ale na przednówku adwentu. Podróżowałem autobusem komunikacji miejskiej w obrębie rodzinnego miasta. Autobusem, który – nie wiedzieć czemu – mocno odstawał od nowoczesnych standardów, do których już zdążyłem się przyzwyczaić po kompletnej wymianie taboru przez lubelskie MPK. Tkwiłem w brudnej, zapchanej ludźmi puszce, prowadzonej przez kierowcę wyglądającego jak potępieniec; na jego twarzy malowała się świadomość wiekistej kary – zostanie na zawsze przykuty do kierownicy tego właśnie pojazdu. Pasażerowie, jak to pasażerowie – niektórzy smutni, inni zamyśleni; ktoś nawijał przez komórkę, jakby gadał do megafonu, ktoś dyskretnie śmierdział pachą, jeszcze inny drzemał na miejscu dla inwalidów zmorzony alkoholowym snem. Mnie, w tej osobliwej scenerii, dopadły przemyślenia autoegzystencjalne; życie przewijało mi się przed oczami ze złośliwą skłonnością do akcentowania poniesionych porażek i bezwzględności przemijania. I wtedy przypomniało mi się, że taki pokaz slajdów z całego żywota zazwyczaj towarzyszy ludziom tuż przed śmiercią. A co, jeśli ktoś wiezie bombę pod siedzeniem, a ja odbieram tajne sygnały od swojego instynktu, jakiegoś szóstego zmysłu, jak bohaterowie serii filmów *Oszukać przeznaczenie*? Dużo odwagi wymagało ode mnie dojechanie do celu, dużo więcej przyjemności przysporzyło mi napisanie *Opowieści wigilijnej*.

OSIEDLOWE KRAJMSTORY

Jakie osiedle, takie *crime story*. A wszystko zaczęło się od kota, który (zamiast kwiatka) siedział w doniczce i obserwował otoczenie zza szyby mieszkania na parterze. To opowiadanie należy traktować jako pastisz ciężkiej, obyczajowo-wiejsko-społecznej prozy Stasiuka albo McCarthy'ego. Świetnie się bawiłem, pisząc ten... paszkwil.

DROBNY PROBLEM

Nie pamiętam, w której książce – ale na pewno był to jakiś „skandynawski” kryminał – bardzo spodobał mi się fragment opisujący stan umysłu pedofila. Na tej bazie powstał *Drobny problem*.

LALKA

Obejrzałem kiedyś cudowny film, gdzie w główną postać mocno wyalienowanego młodzieńca wcielił się Ryan Gosling. W małomiasteczkowej rzeczywistości ów młodzieniec obdarza uczuciem sklepowy manekin do tego stopnia, że przyprowadza go (ją) do rodziców i przedstawia jako narzeczoną. Piękno fabuły filmu polegało na tym, że (z przyczyn terapeutycznych) wszyscy mieszkańcy, z rodzicami chłopaka na czele, traktowali wystawową lalkę jak żywą osobę i brali czynny udział w przygotowaniach do ślubu. Ja postanowiłem zaczerpnąć z tej opowieści jedynie scenę przedstawienia lalki jako panny młodej, natomiast pomysł na całą resztę wziął się z miłości do historii o zabawkach – ich magicznej interakcji z dziećmi i na odwrót.

BARDZO NIETYPOWY POGRZEB

Paweł Kuczyński to prawdziwy mistrz w interpretacji rzeczywistości. Powiedzieć o nim „rysownik” byłoby nie na miejscu. To prawdziwy artysta, którego prace puentują świat tak celnie, że cienka granica między rzeczywistością a groteską niemal nie istnieje. Czasem jest smutno, czasem czarno-humorzasto, niekiedy po prostu pięknie, ale zawsze mądrze. Studiując jego rysunki-obrazy natknąłem się na taki, który aż krzyczał, by opowiedzieć go w całości. Scena, gdzie kot defekuje do mysiego grobu na mysim cmentarzu przy pełnej oprawie liturgiczno-żałobnej wydał mi się wręcz wzruszający. Mam nadzieję, że Paweł przeczyta kiedyś ten tekst i że sprawi mu on choć ułamek frajdy, jaką ja odczuwałem podczas pisania.

LOMBARD

Lombardy to instytucje smutne i nieco magiczne. Był taki okres w moim życiu, że nagninnie korzystałem z usług lichwiarzy, nie mogąc związać końca z końcem. Zastawiłem wiele emocjonalnie cennych przedmiotów, zdecydowanej większości nigdy nie wykupiłem. Doskonale pamiętam uczucia, jakie mną wtedy targały – od nadziei, przez frustrację i gniew, aż po całkowitą rezygnację. Jednocześnie fascynuje mnie klimat tych przybytków – każdy sprzęt ma swoją historię, dźwiga ciężar czyjejś porażki, w powietrzu można niemal wyczuć porzucone „dusze” czekające na zbawienie. Zastanowiła mnie również opcja groteskowego lombardu przyszłości, gdzie zastawić można by wszystko – począwszy od zwierząt, na dzieciach kończąc. I jak skrajnie musiałby być zdesperowany człowiek, by oddać pod zastaw drugiego, ukochanego człowieka?

LUBIĘ TO

Portale społecznościowe przeżywają prawdziwy i niesłabnący rozkwit, co często komercyjnie wykorzystują firmy, zarówno te małe, jak i olbrzymie korporacje. Niestety, nerwice „fejsbukowe” zaczynają nabierać cech klinicznych patologii, a mariaż obu zjawisk, choć z pozoru dowcipny, mnie osobiście przeraża.

BESTSELLER

Żyjemy w dobie błyskawicznej egzystencji, skrótowego myślenia i pędzącej na złamanie karku konsumpcji. Posługujemy się nowomową narzuconą przez SMS-y i portale społecznościowe, gdzie „ćwierkamy” zamiast się wypowiedzieć. Stan emocji opisujemy emotami, przestaliśmy pisać kartki na święta – przecież wystarczy „Wesołego!” na fejsbuku. Jak w tym wszystkim znaleźć czas na lekturę prawdziwej książki – tomiszczą grubego jak cegła? Co powinien zrobić pisarz, który chce wyjść naprzeciw współczesnemu czytelnikowi niedysponującemu czasem na lekturę? O tym właśnie jest *Bestseller*. Naprawdę z przerażeniem patrzę w przyszłość – tę najbliższą.

I WSZYSTKO WRÓCI DO NORMY

To niewątpliwie jedno z moich ulubionych opowiadań. Napisałem je, cierpiąc wyrzuty sumienia z powodu przedłużającego się bezrobocia i bezsilności wobec rzeczywistości. Oczywiście rozbuchałem tekst do granic groteski, posiłkując się wisielczym poczuciem humoru. Punkt widzenia zawsze zależy od punktu siedzenia – ale to już wiesz.

RANDKA

Oglądając jeden z odcinków pewnego serialu policyjnego, wyłowiłem taką kwestię scenariuszową: „Słyszysz? Gra nasza piosenka”. To zdanie padło, gdy dwaj stróże prawa, stojąc z bronią w rękę przed drzwiami świeżo obrabowanego banku, próbowali przekrzyczeć wyjąca syrenę alarmową. Fakt, że dla bardzo zaangażowanego w swoją robotę mundurowca wycie syreny może być „jego piosenką”, bardzo mi się spodobał i posłużył jako podkład do wysnucia opowieści o zakochanym na zabój strażaku.

DZIEWCZYŃKA ZE ŚWIECZKAMI

Zarzewiem tego krótkiego opowiadania była kwestia z wulgarnego dowcipu, którego dziś nie jestem w stanie w całości przytoczyć. Chodziło mniej więcej o to, że wspięcie się na wyżyny empatii gwałciciela małej dziewczynki sprowadziło się do tego, że „aż płakał, jak ją gwałcił”. Reszta to Andersen, niemniej „wesoły”.

ANGRY DADS

Cudownie makabryczna gra komputerowa *Angry Birds* aż się prosiła, by przenieść ją do rzeczywistości – do mocno surrealistycznej rzeczywistości, gdzie dzieci, będąc do absurdalnej przesady chronione przed „przemocą” przez państwowy system opieki, równocześnie same są potworami, dla których największą frajdą jest wyręczenie rządu w likwidacji „patologicznych” ojców.

MUSIMY BARDZO POWAŻNIE POROZMAWIAĆ

Często rozmyślałem o tym, jak zmienia się interpretowanie rzeczywistości w zależności od punktu widzenia i zamiaru jej postrzegania. Nierzadko zdarzało się, że anonimowe, napotykanie w codziennym życiu osoby kończyły w moich opowieściach jako prawdziwe ludzkie monstra. Czasem spotykałem je ponownie i – uwierz mi – zupełnie inaczej na nie patrzyłem, jakby uciekły z kart książki i naprawdę dopuściły się karygodnych czynów. Swoim pomysłem na opowiadanie, gdzie pisarz okrada prawdziwych ludzi z osobowości, by zrobić z nich jeden wielki miks potworności, a potem zadowolony z efektów literackiej pracy spotyka je wszystkie naraz we własnym mieszkaniu, podzieliłem się z Jarkiem Turowskim – kolegą po piórze, z którym czasem zdarza mi się spotkać przy piwku i puścić wodze fantazji. Jarek podsunął mi ideę, żeby pisarza nie prześladował tłum mocno wkurzonych ofiar, ale jeden

obrzydliwy zlepek. Od razu mnie przekonał. Pomysł z bliźniakami syjamskimi, gdzie jeden jest żywy a drugi martwy, też zawdzięczam jemu. Dzięki, Jarku.

Na sam koniec czuję się w obowiązku, ale i niekłamanej przyjemności, podziękować kilku osobom, które miały wpływ na ostateczny kształt *Bez znieczulenia*.

Basi Budrewicz dziękuję za pierwsze korekty i wytykanie mankamentów warsztatu w sposób, w jakim każdą krytykę jestem w stanie przyjąć.

Basi Mikulskiej oraz Kasi Chudy za cenne uwagi i poprawki do pojedynczych utworów.

Dziękuję też kolegom po piórze: Kazimierzowi Kyrzczowi i Markowi Zychli za nieocenione wsparcie.

Dziękuję też moim beta czytaczom, których dobre słowa i rady były i są nadal bezcenne.

Dziękuję również Tobie, drogi Czytelniku za to, że dojrzałeś aż tutaj.

Lublin, Żory, Londyn 2012-2016

O AUTORZE

Juliusz Wojciechowicz – rocznik '77, mieszkaniec Lublina. Prozaik, krótkoformista twórczo skupiony na literackiej grozie, grotesce oraz literaturze fantastyczno-obyczajowej. Publikował w antologiach: *Człowiekiem jestem* (Morpho, 2013), *Toystories* (Morpho, 2014), *Księga wampirów* (Studio Truso, 2014), *Horror na Roztoczu 2: Insomnia* (Alter Manes, 2015). Pomysłodawca i współautor książek *Pokłosie* (Gmork, 2015), *Hardboiled* (Gmork, 2015).



Copyright © Wydawnictwo GMORK Świątkowska Ryba sp.j.
© Copyright by Juliusz Wojciechowicz
Wrocław 2016

*Wszelkie prawa zastrzeżone.
All Rights Reserved.*

Korekta i redakcja:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
JUSTYNA MASERAK

Skład:
DOMINIKA ŚWIĄTKOWSKA
(ebook) PRZEMYSŁAW RYBA

Ilustracja i projekt okładki:
PRZEMYSŁAW RYBA

Wydanie I

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Gmork Świątkowska Ryba Sp.j.
ul. Domeyki 16, 53-209 Wrocław
tel: 795 626 546
www.gmork.pl
wydawnictwo@gmork.pl

ISBN: 978-83-941000-9-4
ISBN (ebook): 978-83-945604-0-9

Patroni medialni:

DZIKABANDA
PORTAL (NIE CAŁKIEM) KULTURALNY

 **CREATIO
FANTASTICA**
ISSN: 2300-2514



RZECZGUSTU



artofreading.pl

Kupując wspierasz:

